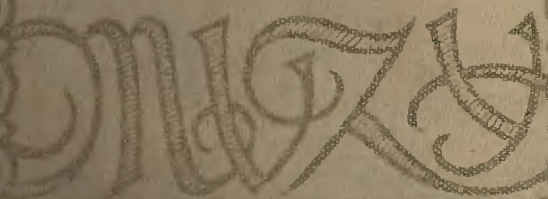
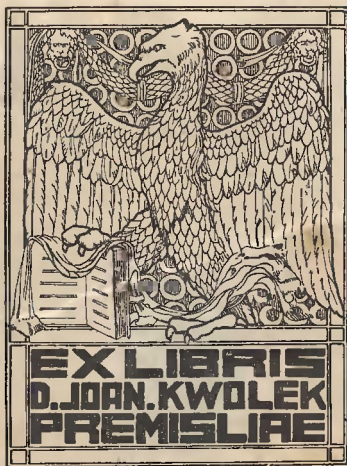


E. T. A. HOFFMANN

POWIEŚCI  
FANTASTYCZNE



WZS



# OWA

BIBLIOTEKA  
LITERACKO-ARTYSTYCZNA  
POD REDAKCYĄ  
JANA LORENTOWICZA



POWIEŚCI FANTASTYCZNE.





E. T. A. HOFFMANN

# POWIEŚCI FANTASTYCZNE

SŁOWO WSTĘPNE I UKŁAD

A. LANGELO

TOM II.



WARSZAWA

NAKŁAD I DRUK TOW. AKC. S. ORGELBRANDA S-ÓW  
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI E. WENDE I SPÓŁKA  
H. ALTENBERG — LWÓW.

K 339419  
715612 T ✓



## Ś L U B

---

W dzień Świętego Michała, o godzinie, w której dzwoniono na nieszpory w klasztorze Karmelitów, piękny powóz, zaprzężony w cztery konie pocztowe, toczył się przez ulice małego miasta I..., leżącego u granic Polski i zatrzymał się przed bramą domu starego burmistrza niemieckiego. Dzieci, zaciekawione, wychyliły głowę przez okno, gdy pani domu, wstając z krzesła i z niezadowoleniem rzucając na stół robotę, mówiła do starego urzędnika, który przybiegł z sąsiedniego pokoju:

— Znowu jacyś obcy ludzie nasz cichy dom biorą za oberżę. A to wszystko przez te twoje ozdoby. Po co kazałeś na nowo wyzłocić kamiennego gołębia, nad bramą naszego domu?

Starzec uśmiechnął się chytrze, nic nie odpowiadając. W jednej chwili zdjął szlaf-

rok i włożył uroczystą szatę, rozwieszoną na krześle. Zanim jego żona w zdumieniu miała czas zadać mu jakieś pytanie, był już u drzwiczek powozu, trzymając w ręku aksamitną czapkę i stał z odsłoniętą siwą głową, osrebrzoną promieniami księżyca. Dama w latach dojrzałych, przystrojona szarym płaszczem, wyszła z powozu, prowadząc ze sobą kobietę młodszą, wytworną, o twarzy zasłoniętej, a która chwiejnym krokiem weszła do domu, oparta na ramieniu burmistrza; ta, za ledwie przestąpiła próg mieszkania, upadła półomdlała na fotel, który jej żona urzędnika pośpiesznie, na znak męża, podsunęła.

— Biedne dziecko! — żalosnym głosem szeptała starsza z podróżniczek. Muszę jeszcze parę chwil przy niej zostać.

Jednocześnie przy pomocy starszej córki burmistrza, zdjęła płaszcz podróżny i ukazała się w sukni zakonnej ze złotym krzyżem na piersi, z czego w niej rozpoznano przeoryszkę klasztoru cystersanek.

Młoda zasłonięta kobieta dawała znaki życia jedynie za pomocą głębokich westchnień. W końcu zażądała szklanki wody. Pani domu przyniosła rozmaite esen-

cye, których skuteczność bardzo chwaliła i prosiła młodą kobietę, aby ta zrzuciła ciężkie okrycia, które jej przeszkadzały oddychać. Ale młoda dama, chyląc głowę z wyrazem przestachu, odmówiła tej prośbie i użyła flakonu wody pachnącej, nie podnosząc zasłony.

— Panie burmistrzu — rzekła przeorysza, — jak sędzę, przygotowano wszystko podług naszych życzeń.

— Tak, bez wątpienia, wielebna pani — odrzekł starzec. — Mam nadzieję, że nasz prześwietny książę będzie ze mnie zadowolony, jak również i dama, dla której uczynić jestem gotów wszystko, co będzie w mojej mocy.

— Pozostawcie mnie na chwilę sam na sam z mojem biednem dzieckiem — odparła przeorysza.

Rodzina wyszła z izby i słyszano, jak przeorysza żywo i z tkliwością przemawiała do młodej kobiety, a ta jej odpowiadała tonem, rozdzierającym serce. Nie chcąc bynajmniej podsłuchiwać, gospodyni domu jednak pozostała u drzwi pokoju; obie kobiety mówiły po włosku, nadając tem jeszcze dziwniejszy, bardziej tajemniczy charakter całemu zdarzeniu. Bur-

mistrz posłał żonę i córkę po małą przekąskę i sam wszedł do sali; młoda kobieta stała przed przeoryszą z pochyloną głową, ze złożonymi rękami i zdawała się bardziej doprowadzoną do równowagi. Przeorysza nie odmówiła przekąski, jaką jej podano, a potem rzekła:

— Teraz już na mnie czas.

Dama w zasłonie padła na kolana, gdy towarzyszka podróży położyła jej swe ręce na głowie i modliła się po cichu. Gdy skończyła modlitwę ze łzami w oczach objęła młodą kobietę, i z głębokim smutkiem przycisnęła ją do piersi; potem z godnością błogosławiąc rodzinę burmistrza, pośpieszyła do powozu, do którego nowe konie zaprzężono. Pocztylion odjechał galopem, grając hucznie na trąbce po ulicach miasta.

Gdy pani domu ujrzała rozmiary kufra, który przyniesiono, zrozumiała, że dama w zasłonie zamierza dłuższy czas przebywać w jej domu; nie mogła z tego powodu ukryć niepokoju oraz ciekawości; poszła do przedsionka naprzeciw swemu mężowi, który odprowadzał starszą damę i rzekła:

— W imię Boga! Cóż to za kobietę



sprowadziłeś do mego domu, bo ty wszystko wiesz, a nie uprzedziłeś mnie o niczem.

— Dowiesz się wszystkiego tego, co wiem sam — odparł jej spokojnym głosem starzec.

— Ach, ach! ty może nie wiesz wszystkiego, — odpowiedziała z trwogą — nie byłeś teraz w pokoju. W chwili, gdy przeorysza odjechała, młoda kobieta, czując się zapewne zbyt skrzepowana ciężkiem odzieniem, podniosła długą zasłonę, co ją okrywa od stóp do głów — i cóżem ja zobaczyła?

— A zatem cóżeś zobaczyła? — rzekł starzec do swej żony, która, drżąc, patrzyła się naokół, jakby dostrzegła widmo.

— Nie, — zawołała staruszka — nie mogłam rozpoznać rysów jej twarzy pod zasłoną; ale bladość, straszliwa, trupia bladość uderzyła mnie i mówię ci, jasnem jest dla mnie, jasnem jak dzień, że ta dama jest w ciąży, i że za parę tygodni...

— O tem wiem, moja kobieto — rzekł burmistrz markotnie; i abyś nie stała się ofiarą niepokoju i ciekawości — dowiedz się w dwóch słowach, o co tu idzie. Książę Z..., nasz potężny opiekun, pisał mi przed kilku tygodniami, że przeorysza kła-

sztoru O... sprowadzi mi damę, którą mam przyjąć w swoim domu w milczeniu i bez ceremoniału. Dama ta, która życzy sobie być znaną jedynie pod imieniem Celestyny, ma tu oczekiwać połogu i tu przyjadą po nią oraz po dziecko, które się urodzi. Jeżeli dodam do tego, że księżę prosił mnie bardzo gorąco, abym dla niej miał jaknajwiększe względy i że mi przysłał sakwę ze stu dukatami, które znajdziesz w komodzie, to myślę, że raz na zawsze pozbędziesz się trwogi.

— A więc — rzekła burmistrzowa — mamy brać udział w grzechach, jakie popełniają możni tego świata.

Zanim starzec jej odpowiedział, córka jej wyszła z izby i doniosła, że dama pragnie odpocząć w siedzibie, jaką dla niej przygotowano.

Burmistrz przyozdobił, o ile mógł, dwa pokoje na górnem piętrze swego domu i nie mało był zdziwiony, gdy Celestyna go zapytała, czy nie ma jeszcze izdebki z oknem na tyły domu. Odpowiedział najpierw przecząco, poczem dodał, że jeszcze ma niewielki pokój z oknem na ogród, ale że to mała komórka, gdzie zaledwie się zmieści łóżko, stół i krzesło.

Celestyna chciała go zobaczyć natychmiast i, zaledwie weszła, oświadczyła, że właśnie tego jej potrzeba i że opuści komórkę dopiero wówczas, gdy ją do tego zmusi stan zdrowia, aby wziąć pokój obszerniejszy. Burmistrz porównał ten pokój do celi klasztornej — i rzeczywiście nazajutrz komórka przybrała odpowiednią postać.

Celestyna zawiesiła na ścianie obraz Matki Boskiej i na stole postawiła krucyfiks. Łóżko składało się z worka ze słomą, z wełnianego nakrycia, przyczem Celestyna nie chciała mieć innych sprzętów, jak zydel drewniany i mały stolik. Gospodyni domu, wzruszona wyrazem bólesci obcej kobiety, sądziła, że należy do jej obowiązków zabawiać chorą; ale nieznajoma prosiła w słowach wzruszających, aby nie naruszano jej samotności, w której żyła, cała oddana kontemplacyi Dziewicy oraz świętych.

Co rano, o świcie, Celestyna udawała się do klasztoru Karmelitanek, aby asystować przy pierwszej mszy świętej, resztę czasu przepędzała w swym pokoju, na ćwiczeniach pobożnych: Ile razy ktokolwiek chciał w jakiej bądź sprawie

zajść do jej pokoju, zawsze ją widywano przy modlitwie lub przy czytaniu ksiązek pobożnych. Nie chciała przyjmować innych potraw, oprócz jarzyn ani innego napoju, prócz wody; natarczywe dopiero nalegania burmistrza, który jej tłumaczył, że stan jej zdrowia wymaga pożywienia daleko solidniejszego, przekonali ją tak, że zgodziła się zjeść trochę bulionu i wypić wina. To życie surowe, jakie widocznie narzuciła sobie w charakterze pokuty, budziło w otoczeniu głębokie współczucie, a jednocześnie szlachetność jej zachowania i wdzięk jej postawy—napęłniały ludzi szacunkiem. Pewna szczególna okoliczność dodawała do tych uczuć coś strasznego: młoda kobieta nigdy nie zdejmowała zasłony. Zbliżał się do niej tylko burmistrz oraz jego żona i córka, a nigdy nikt nie mógł zobaczyć jej twarzy. Co znaczył ten ponury welon? Wyobrażnia obu kobiet, zajęta ową tajemnicą, wkrótce dla wyjaśnienia obmyśliła straszną historię. Przypuszczały one, że szpony diabła poszarpały twarz nieznajomej i że stąd pochodzi jej upór, by wiecznie być osłoniętą. Burmistrz z niemałym trudem rozproszył te przypuszczenia i nie

dopuścił do ich rozpowszechnienia w sąsiedztwie, gdzie już znany był pobyt nieznajomej w jego domu. Spostrzeżono też jej wizyty w klasztorze karmelitanek i wkrótce stała się ona znaną pod imieniem czarnej kobiety, co budziło myśl jakiegoś fantastycznego zjawiska.

Owóż zdarzyło się pewnego dnia, w chwili, gdy burmistrzówna wchodziła do pokoju obcej damy, by jej zanieść obiad, że powiew wiatru podniósł jej gęstą zasłonę; młoda kobieta odwróciła twarz z szybkością błyskawicy, aby ujść oczu dziewczyny; ta ostatnia pobladła jak trup i z dreszczem trwogi opowiadała matce, że widziała twarz białą, marmurową, na której błyszczało dwoje skrzących się ognistych oczu.

Burmistrz zapewniał córkę, że jest ofiarą własnej wyobraźni. Bądź jak bądź uderzyła go bardzo opowieść dziewczyny — i wielce pożałował, aby ta kobieta, która mimo swą pobożność, takie zamieszanie wywoływała w jego domu, oddaliła się jak najprędzej.

W jakiś czas potem, wśród nocy, obudził żonę i powiedział jej, że od kilku chwil

słyszy jęki i nadzwyczajne poruszenia w pokoju Celestyny. Żona burmistrza, przeczuwając co się dzieje, wstała co prędzej i zobaczyła Celestynę odzianą, w zasłonie, której nigdy nie zdejmowała. Kobieta półzemdlona leżała na łóżku i widocznie lada chwila miała zostać matką. Wszystkie przygotowania konieczne natychmiast poczyniono i w niedługim czasie młoda kobieta dała życie młodemu, silnemu chłopcu. Zdarzenie to wytworzyło bardziej poufale stosunki między obcą panią a rodziną burmistrza. Dziecko, rzekłbyś, przybliżało Celestynę do świata rzeczywistego. Stan młodej matki nie pozwalał na dalsze prowadzenie życia ascetycznego, a starania, jakich wymagała, przyzwyczajały zacnych gospodarzy do jej widoku. Burmistrzowa, która najwięcej zajmowała się chora, powoli zapomniała szczególnych myśli, jakie się w niej zbudziły. Mąż jej wesoło nosił na rękach małe dziecko, jakby to był jego wnuk, i wszyscy tak nawykli do zasłony Celestyny, że już o tem nie myśleli. Akuszerce kazano przysiądz, że nie podniesie w żadnym wypadku zasłony, chyba gdyby nieznajoma umarła. Jednak żona burmistrza przypad-



kowo ujrzała odsłoniętą twarz Celestyny, ale nie chciała o tem mówić, tylko wołała:

— Ach, biedna kobieta! Tak, ona się musi osłaniać!

W kilka dni potem przybył mnich-karmelita, który ochrzcił nowonarodzonego; rozmawiał z Celestyną więcej niż dwie godziny; słyszano, jak mówił i modlił się z zapalem. Gdy odjechał, Celestyna siedziała w fotelu, trzymając na kolanach dziecko, które miało na ramionach szkaplerzyk a na piersi *Agnus Dei*. Tygodnie i miesiące mijały, a wciąż się nie sprawdzała obietnica księcia, zapowiedziana burmistrzowi; nikt nie przyjeżdżał po młodą kobietę. Uważano ją niewątpliwie za członka rodziny, gdyby nie fatalna zasłona, która powstrzymywała wszelki objaw czułości. Starzec ośmielił się razu pewnego powiedzieć o tem nieznajomej; ale ta głosem uroczystym mu odrzekła, że zasłona spadnie dopiero przy jej śmierci. Zamilkł i bardzo życzył sobie, aby znów przeorysza przyjechała swoim powozem.

Była wiosna. Rodzina burmistrza wracała pewnego dnia z przechadzki, z bukietami kwiatów, z których najpiękniejsze

były przeznaczone dla Celestyny. W chwili, gdy mieli wchodzić do domu, jakiś jeździec nadbiegł galopem, pytając o burmistrza. Starzec przedstawił siebie, jeździec zsiadł z konia, przywiązał go do słupa i wbiegł do domu, wołając:

— Ona jest tu! jest tu!

Drzwi się otworzyły i nagle usłyszano żałosny krzyk Celestyny. Starzec pobiegł przerażony. Jeździec, oficer szaszerów gwardyi francuskiej, przyozdobiony orderami, porwał dziecko z kołyski; lewem ramieniem je uchwycił, a prawem odpychał Celestynę, która mu chciała je odebrać. W walce, oficer zerwał mimowoli zasłonę młodej kobiety — i ukazał twarz białą jak marmur, nieruchomą, o oczach ognistych, jak płomień. Starzec poznał, że Celestyna nosiła bardzo cienką maskę, przystającą do skóry.

— Straszliwa kobieto — mówił oficer, — czy chcesz, abym dzielił twe szaleństwo?

I, mówiąc te słowa, odepchnął Celestynę tak gwałtownie, że runęła na podłogę. Wówczas kobieta błagalnie objęła nogi porywcy i tonem najgłębszej boleści zawołała:

— Pozostaw mi dziecko! Błagam cię

w imię twego zbawienia, nie zabieraj mi go; w imię Chrystusa i Najświętszej Panny, pozostaw mi to dziecko, pozostaw!

Gdy go błagała w ten sposób, ani jeden muskuł nie poruszał się na jej twarzy; wargi nawet zdawały się nieruchome, a starzec i jego żona i wszyscy, którzy na to patrzyli, lodowacieli z przerażenia.

— Nie — odrzekł oficer z krzykiem rozpacz — nie, kobieto nieludzka i nielitościwa, mogłaś wyrwać serce z mego łona, ale nie zatracisz, w swym obłędzie, tej niewinnej istoty, która ma ranę moją uleczyć.

Mówiąc to, oficer ścisnął dziecko tak mocno, że aż zapłakało.

— Zemsta! — głuchym zawołała głosem Celestyna — zemsta niebios na ciebie, zabójco!

— Precz, precz ode mnie, zjawisko piekielne! — odparł wojskowy. I konwulsyjnym ruchem odepchnąwszy Celestynę — rzucił się ku drzwiom.

Starzec chciał mu drogę zagrozić, lecz obcy, wydając pistolet, i zwracając go ku niemu lufą, rzekł:

— Ta kula głowę roztrzaska temu, co by chciał dziecko zabrać ojcu! — Poczem

rzucił się w dół po schodach, skoczył na grzbiet konia i popędził galopem.

Żona burmistrza, pełna przerażenia, poszła do Celestyny, by jej służyć pomocą; znalazła ją na środku pokoju, ze zwieszonymi ramionami, nieruchomą i niemą jak posąg; napróżno chciała z niej słowo wydobyć, a nie mogąc z niej wydobyć słowa, pokryła ją zasłoną, przyczem Celestyna najmniejszym nie reagowała ruchem. Wpadła w stan całkowitej bezwrażliwości — i biedna staruszka, pełna bólu i trwogi, w głębi serca, błagała niebo, aby ją wkrótce uwolniło od tej straszliwej nieznamomej. Modlitwa jej zostawała wysłuchana.

W tej chwili zaturkotała na ulicy ta sama karoca, która przywiozła Celestynę. Przeorysza wyszła z powozu wraz z księciem Z..., protektorem burmistrza. Gdy książę się dowiedział o tem, co się stało, rzekł z boleścią:

— Zaiste, przybywamy zbyt późno. Musimy się pogodzić z wolą Boga.

Wciągnięto do powozu Celestynę, która była wciąż niema, nieruchoma i nie dawała żadnej oznaki wolnej woli. Powóz odjechał szybko, a starzec i jego ro-

dzina odetchnęli, jakby ze złego snu przebudzeni. Wkrótce po tych zdarzeniach, które miały miejsce u burmistrza, pochowano w klasztorze cystersanek zakonnicę i rozeszła się pogłoska, że ta zakonnica była to hrabianka Jadwiga, o której sądzono, że wyjechała do Włoch z ciotką, księżniczką Z...

W owym czasie hrabia Nepomucen C., ojciec Jadwigi, przybył do Warszawy i aktem prawnym zapisał wszystkie dobra rodowe swym siostrzeńcom, dwu synom księcia Z., dla siebie zachowując tylko drobną posiadłość na Ukrainie. Gdy go pytano, co zrobił dla córki, oczy łzami przepełnione podnosił ku niebu i mówił żałośnie:

— Nie próbowałem potwierdzić wieści o śmierci Jadwigi, ani wyjaśnić tajemniczych pogłosek, które ją przedstawiały jako ofiarę, przedwcześnie do grobu wtrąconą.

Znaczna liczba potryotów, zgiętych lecz nie złamanych upadkiem Polski, pragnęła bardzo wciągnąć starego księcia do tajemniczego spisku, który miał na celu odzyskać niepodległość kraju. Ale nie był to już ów entuzysta wolności oraz idei na-

rodowych, skłonny do śmiałego podjęcia wszelkich zamiarów energicznych. Był to tylko starzec osłabiony boleścią, który marzył jedynie o tem, aby się ze wszystkich spraw wycofać i pogрузić się w głębokiej samotności. Jeszcze przed paru laty, gdy pierwszy podział Polski wywołał insurekcyę, dobra dziedziczne hrabiego Nepomucena były utajonem miejscem spotkania wszystkich patryotów. Tam, na ucztach uroczystych, rozpałały się dusze myślą o wyzwoleniu ojczyzny; tam ukazywała się pośród tych pełnych zapалу wojowników Jadwiga \*), jako anioł z nieba. Zgodnie z charakterem kobiet swego narodu, brała ona udział we wszystkich rozprawach politycznych; mając lat siedmnaście, nieraz określała położenie rzeczy i wyrażała opinię zupełnie sprzeczną z tem, co dokoła niej mówiono i podtrzymywała swe zdanie w sposób tak ścisły i przezroczysty, że wszystkie głosy szły za nią. Prócz niej, najwięcej talentu i przenikliwości wykazywał hrabia Stanisław R. Był to człowiek zapalny

---

\*) W oryginale imię bohaterki brzmi „Hermenegilda“, co pozwoliliśmy sobie zmienić (przyp. tłum.).



i szlachetny; miał dwadzieścia lat. Często Jadwiga i Stanisław sami jedni prowadzili dyskusyę, badali projekty, przyjmowali je lub odrzucali, podawali inne i wynik tej rozprawy pomiędzy młodą panną a młodzieńcem przyjmowali słuchacze najdoświadczeńsi, jako ideę najmędrszą i najmożliwszą do urzeczywistnienia. Było więc naturalnem myśleć o połączeniu tych dwojga ludzi, którzy wzajem posiadali zdolności konieczne dla zbawienia ojczyzny. Zresztą, ze stanowiska politycznego, związek obu tych rodzin wydawał się bardzo użyteczny, gdyż dzieliło je dotychczas przeciwieństwo poglądów, jak to często bywa w szlacheckich rodach w Polsce. Jadwiga, tą myślą przenikniona, przyjęła jako dar ojczyzny ofiarowanego sobie małżonka a zebrania patryotyczne zakończyły się w zamku jej ojca uroczystemi zaręczynami. Wiadomo, że Polacy upadli; że przedsięwzięcie Kościuszki, oparte na zbyt wielkiem zaufaniu i zbyt wysokiem pojęciu o wierności rycerskiej, zakończyło się nieszczęśliwie. Hrabia Stanisław, któremu zawód wojskowy, młodość, siła, zapewniały wysokie stanowisko w armii, walczył z bohaterską odwa-

gą. Z trudem uniknął niewoli i powrócił ciężko ranny. Jadwiga jedynie przywiązywała go do życia. Przy niej oczekiwał pociechy i ożywienia nowej nadziei. Skoro tylko nieco wyzdrowiał, popędził do zamku hrabiego Nepomucena, gdzie jeszcze większa boleść miała go zranić. Jadwiga powitała go z gorzką ironią:

— A więc to jest ów bohater, co miał umrzeć za ziemię rodzinną?

W egzaltacyi zdawało się, że go traktowała jako jednego z tych rycerzy z wieków bajecznych, których miecz mógł całe armie unicestwiać. Żadne przysięgi o poświęceniu dla ojczyzny, żadne błagania najgorętszej miłości nic nie pomogły: Jadwiga zapowiedziała, że rękę swą odda Stanisławowi w takim tylko razie, jeżeli obcy zostaną wygnani z Polski.

Hrabia zapóźno spostrzegł, że panna nigdy go nie kochała, i że warunek, jaki mu postawiła, może nigdyby się nie mógł urzeczywistnić. Pożegnał swą narzeczoną, przysięgając, że wiecznie będzie jej wierny; zaciągnął się do armii francuskiej i pojechał do Italii, gdzie toczyła się wojna.

Powiadają, że kobiety polskie mają

szczególnego rodzaju kaprysy. Uczucie głębokie, lekkomyślność niespodziewana, poświęcenie stoickie, namiętność gorąca, chłód lodowaty wszystko łączy się w ich duszy i wyraża na powierzchni ruchów niestałych, niby igrzysko fal na dnie strumienia.

Jadwiga bez wzruszenia spoglądała na odjazd swego narzeczonego; ale w kilka dni potem, czuła się wstrząśnioną gwałtownemi pragnieniami, jakie obudzić może tylko najpotężniejsza miłość. Wrza-wa wojenna ucichła, ogłoszono powszechną amnestyę. Wielu oficerów polskich wyszło z więzienia. Towarzysze broni Stanisława, jeden po drugim zjawiali się w pałacu księcia. Z głęboką boleścią mówiono o tych dniach nieszczęśliwych, o męztwie zwyciężonych, a zwłaszcza o heroizmie Stanisława. Rozproszone swe oddziały zorganizował nanowo do walki; przy pomocy swej konnicy złamał pułki cudzoziemskie. Losy bitwy były jeszcze niepewne; kula trafiła dzielnego dowódcę, który spadł z konia, krwią oblany. Ostatnie jego słowa były: Polska! Jadw...

Każde słowo tej opowieści przenikało w serce panny jak sztylet.

— Nie, — mówiła sobie, — jam nie wiedziała, że go kocham taką straszliwą miłością. Jakiż obłęd mię oślepił? Jakże mogłam myśleć, że będę mogła istnieć bez tego, który jest całem mem życiem. Sama go na śmierć posłałam; on już nigdy nie powróci.

Tak Jadwiga wykrzykiwała w rozpaczy. Nocą, wstrząsana temi niepokojami, błądziła po parku i jakgdyby wiatr miał ponieść jej skargi do nieocenionego kochanka, wołała:

— Stanisławie, Stanisławie! wróć do mnie, wróć! To ja — twoja narzeczona przywołuję ciebie. Czy mnie nie słyszysz? Jeżeli nie przyjdiesz, umrę z rozpaczy.

Rozstrój w usposobieniu Jadwigi bliski był stanu obłędu i wywoływał liczne dziwactwa w jej postępowaniu. Hrabia Nepomucen, niespokojny na widok córki swej w takim stanie, chciał użyć sztucznych środków i poprosił jednego ze znakomych lekarzy, aby ten jakiś czas przebył w jego zamku. Ale mimo wszystkich sposobów użytych przez człowieka nauki, zdawało się bardzo wątpliwem, czy młoda hrabianka kiedykolwiek powróci do zdrowia. Po krótkich okresach spokoju,

na nowo wpadała w najdziwaczniejsze paroksyzmy. Pewna szczególna okoliczność zmieniła nagle położenie rzeczy.

Jadwiga miała lalkę przybraną w strój ułański, jak jej ukochany. Hrabianka nadawała ułanowi najtkliwsze imiona, aż pewnego dnia rzuciła go w ogień, gdyż lalka nie chciała śpiewać piosenki:

Podróż twoja nam niemiła,  
Milsza przyjaźń w kraju była! \*) i t. d.

Wykonawszy to, chciała wrócić do swego pokoju, gdy usłyszała, że ktoś głośnym krokiem szedł za nią. Odwróciła się i ujrzała oficera w mundurze gwardyi francuskiej, z ręką na temblaku. Rzuca się ku niemu i woła:

— Stanisławie! mój Stanisławie! — poczem upadła zemdłona na jego ramię.

Oficer, zdumiony, niemałą miał trudność w jej podtrzymywaniu, ile że jednym tylko władał ramieniem, a Jadwiga była rośła i ciężka. Przycisnął ją do serca—a czując, jak gwałtownie uderza serce młodej dziewczyny, wyznać musiał, że jest to jedna z najpiękniejszych przygód jego życia.

---

\*) W oryginale po polsku,

Chwile mijały szybko; oficer, rozpłomieniony nagłym uczuciem miłości, pocałunkami okrywał słodkie usta Jadwigi... Hrabia Nepomucen wszedł właśnie i zastał go w tej sytuacji i również z radością zawołał:

— Hrabia Stanisław!

W tej samej chwili Jadwiga wróciła do przytomności — i przyciskając do piersi młodego oficera, powtarzała z zapalem:

— Stanisławie, mój ukochany, mój małżonku!

Przybysz, półprzytomny, z twarzą rozpłomienioną, lekko się wyrывая z objęć młodej panny, wykrzyknął:

— Oto zapewne najpiękniejszy moment mego życia! Nie mogę jednak wyzyskiwać szczęścia, które zawdzięczam pomyłce. Nie jestem Stanisławem, niestety, nie jestem Stanisławem.

Jadwiga cofnęła się z przerażeniem i gdy, przyjrzawszy się nieznajomemu, przekonała się, że jest igraszką próżnego podobieństwa dwojga twarzy, uciekła ze łzami i jękiem. Hrabia Nepomucen zaledwie mógł uwierzyć, że oficer, który się przedstawił jako Ksawery R..., kuzyn Stanisława, wyrósł tak prędko w ostatnich



czasach na dorosłego mężczyznę. Życie wojskowe przyśpieszyło jego mężki wyraz twarzy. Ksawery opuścił Polskę jednocześnie ze Stanisławem i tak jak on służył w armii francuskiej, w legionach włoskich. W osiemnastym roku życia tak się wyróżnił swem męstwem, że generał wybrał go sobie za adjutanta, a w dwa lata potem nadał mu stopień pułkownika. Z powodu ran, zmuszony był jakiś czas odpocząć; powrócił do ojczyzny i przedstawił się w zamku Nepomucena, z poleceniem swego brata stryjecznego do Jadwigi. Hrabia i lekarz namówili ostatecznie pannę, aby wyszła ze swego pokoju. Zgnębiona wstydem i cierpieniem, zapowiedziała, że wyjdzie ze swego ukrycia dopiero, gdy nieznajomy dom opuści.

Ksawery napisał jej, że zbyt okrutnie jest ukarany za podobieństwo, którego nic nie jest winien; że ta surowość nie tylko jego dotyka, że dotyka również Stanisława, którego list jej przynosi, a list ów tylko jej osobiście do rąk ma być wręczony.

Pokojowa, którą Ksawery wtajemniczył w swoje sprawy z hrabianką, obiecała dać swej panie, w chwili właściwej, list

oficera, a Jadwiga zdecydowała się go przyjąć.

Przyjęła go w swym pokoju, w milczeniu, z oczami opuszczonemi. Ksawery chwiejnym krokiem zbliżył się do niej, zajął miejsce na kanapie, na której ona siedziała i raczej ukląkł niż usiadł wobec niej i, jakgdyby popełnił zbrodnię nie do przebaczenia, klął się, w najbardziej wzruszających wyrazach, aby nie składała ciężarem na jego barki omyłki, która mu pozwoliła poznać szczęśliwość jego przyjaciela. To nie on, mówił, to Stanisław sam odebrał te pocałunki, w upojeniu powitania. Mówiąc te słowa, oddał jej powierzony sobie list i opowiadał o męstwie Stanisława, o wierności jego dla ojczyzny i dla ukochanej.

Ksawery opowiadał z porywającym ogniem. Poruszył serce hrabianki, która przezwyciężywszy pomieszenie, zatrzymała na nim swoje niebiańskie spojrzenie tak, iż jak Calaf Gozzi'ego uderzony wzrokiem Turandola, młody oficer, wzruszony do głębi, zaledwie był w stanie dalej opowiadać. Nie wiedząc prawie co mówi, wstrząśniony walką wewnętrzną swej nagłej namiętności, zaczął bez końca opi-

sywać marsze wojskowe i bitwy. Opo-  
wiadał o atakach kawaleryi, o rozgromio-  
nych pułkach, o zdobytych bateriach.

Jadwiga przerwała mu niecierpliwie:

— Dość, dość mi opisu tych krwawych  
scen. Powiedz mi raczej, że on mnie jesz-  
cze kocha.

Ksawery ujął rękę Jadwigi i, przyciska-  
jąc ją do serca, rzekł:

— Posłuchaj więc własnych słów Sta-  
nisława, twego Stanisława. — I najgoręt-  
sze jał mówić jej zaklęcia miłości.

Upadł do nóg panny; objął ją ramie-  
niem; ale w chwili, gdy miał ją przyci-  
snąć do serca, został odepchnięty gwał-  
townie. Jadwiga utkwiała w nim spojrzenie  
i głuchym głosem mu rzekła:

— Próżna lalko, gdybym ci nawet od-  
dała żar swego łona, tyś nie Stanisław  
i nigdy nim nie będziesz! — Rzekłszy te  
słowa, opuściła pokój.

Ksawery zbyt późno rozpoznał swą  
niekonsekwencyę. Czuł, że szalenie go  
opętała Jadwiga i że każda próba jego ku  
zaspokojeniu żądzy, byłaby zdradą przy-  
jaźni. Odjechać natychmiast, nie widząc  
więcej Jadwigi, było to bohaterskie posta-

nowienie, które też wykonał bez zwłoki, rozkazawszy konie zaprządź do powozu.

Hrabia Nepomucen był wielce zdziwiony, gdy Ksawery nagle przyszedł się z nim pożegnać. Probował go zatrzymać; ale Ksawery trwał w swem postanowieniu z jakimś uporem, który mu dodawał mocy. Z szablą u boku, z wojskową czapką w rękę, stał na środku salonu, a jego ordynans czekał go z płaszczem w rękę, w przedpokoju. Na zewnątrz, niecierpliwe konie były kopytami.

Naraz drzwi się otwierają, Jadwiga idzie ku hrabiemu z niewymownym wdziękiem i z uśmiechem mu powiada:

— Chcesz odjechać, Ksawery, a zdawało mi się, że jeszcze tyle rzeczy masz mi do powiedzenia o moim Stanisławie. Czy wiesz, że twoje opowiadania były dla mnie cudownem pocieszeniem.

Ksawery, zarumieniony spuścił oczy. Usiedli: hr. Nepomucen zapewniał kilkakrotnie, że od wielu miesięcy nie widział Jadwigi w tak miłym usposobieniu. Dał znak i przyniesiono wieszak do salonu. Najlepsze wino węgierskie perliło się w kielichach, a Jadwiga podniosła czarę

do ust ku pamięci kochanka, ojczyzny i wolności.

— Tej nocy odjadę — mówił sobie Ksawery — i gdy wstali od stołu, zapytał ordynansa, czy powóz gotowy. Ten odpowiedział, że go wyprzągł i pomieścił w woźni, na rozkaz hrabiego Nepomucena, że konie były w stajni i że woźnica chrapał już na słomie. Ksawery był zrezygnowany.

Niespodzianie zjawienie się Jadwigi przekonało go, że byłoby miłem i odpowiedniem zostać i to przekonanie wywołało w nim inne. Myślał, że zasadniczą rzeczą byłoby tu zapanować nad sobą t. j. oprzeć się namiętności, któraby tylko jeszcze więcej rozpłomieniła chorą duszę młodej hrabianki, a dla niego byłaby fatalną; że gdyby Jadwiga przeniosła szczęście obecne nad nieokreśloną przyszłość, byłaby to wola przeznaczenia i nie było już mowy o pogwałceniu praw przyjaźni.

Nazajutrz, Ksawery, znajdując się wobec Jadwigi, umiał pohamować porywy swej gorącej myśli. Umiał się zatrzymać w granicach najściślejszego konwenansu i zachować nawet chłód ceremonialny.

Nadał swej rozmowie tylko charakter owej słodkawej galanteryi, która jest dla kobiet fatalną trucizną. Młody jeszcze i bardzo niedoświadczony w stosunkach miłosnych, działał za wpływem swej niewinności tak, jakby to czynił mistrz najzręczniejszy. Mówił tylko o Stanisławie i o jego nienaruszonej wierności; ale po przez tę mowę, przybłyskiwał jego własny ogień tak, że młoda hrabianka, zabłąkana pod wpływem tej konwersacyi, nie wiedziała jak oddzielić Stanisława od Ksawerego.

Wkrótce towarzystwo młodego oficera stało się potrzebą dla Jadwigi i bywali prawie zawsze razem, w rozmowach o miłości pogrążeni. Przyzwyczajenie powoli rozproszyło pewną sztywność Jadwigi i Ksawery podobnie porzucił ceremonialność, którą chciał tak mądrze zachować. Panna podawała mu ramię i tak wraz z nim przechadzała się po parku, spokojnie pozwalając mu trzymać dłoń w dłoni, gdy, siedząc w swym pokoju, słuchała jego opowiadań o Stanisławie. Gdy nie rozważano spraw państwa i ojczyzny, hrabia Nepomucen nie wnikał w cudze myśli; inne rzeczy oglądał tylko powierzchownie; serce jego, zamarte dla wszystkich in-



nych zainteresowań, odbijało zwykle obrazy życia tylko jako zwierciadło, w którem wszystko mijało, nie zostawiając śladów. Nie domyślał się zupełnie uczuć Jadwigi i z zadowoleniem tylko się przypatrywał, że zmieniała dziecinną zabawę z lalką na przystojnego młodzieńca; zauważył też z przyjemnością, że Ksawery, którego chętnie nazwałby zięciem, wkrótce mógłby zająć miejsce Stanisława.

Ksawery miał taką samą myśl. Kilka miesięcy upłynęło, a hrabianka, zdawało się coraz więcej smakowała w zalotach młodego oficera. Pewnego ranka zawiadomiono, że Jadwiga zamknęła się w swym pokoju wraz z pokojówką i nie chciała widzieć nikogo. Hrabia sądził, że to nowy paroksyzm choroby, który długo nie potrwa, i prosił Ksawerego, aby ten użył swego wpływu, by Jadwigę doprowadzić do zwykłego stanu. Ale jakież było jego zdumienie, gdy młody oficer odmówił tej prośbie: nie chciał zbliżenia z ukochaną i zmienił się całkowicie. Zamiast być śmiałym jak zwykle, drżał nawskroś, jakby widział jakie upiory; głos jego był niepewny, mowa pełna trwogi i bez związku. Zapewniał, że musi powrócić do

Warszawy; że nigdy już nie będzie się widział z Jadwigą, której usposobienie naruszało równowagę jego duszy; że namiętna wierność Jadwigi przypominała mu obowiązek jego własnej wierności dla przyjaciela i że natychmiastowa ucieczka była jedynym sposobem ocalenia. Hrabia nic z tego wszystkiego nie rozumiał; zdawało mu się tylko, że obłąd jego córki udzielił się młodzieńcowi. Próbował go doprowadzić do rozsądku, ale na próżno; im bardziej nastawał, tem Ksawery był bardziej zdecydowany odjechać. W końcu młody oficer, jakby siłą nieodpartą popchnięty, rzucił się do powozu — i zniknął.

Hrabia Nepomucen, zmartwiony i rozdrażniony postępowaniem córki, nie zajmował się już nią wcale; ona zaś dłuższy czas pozostała zamknięta w swoich apartamentach i nie dopuszczała do siebie nikogo, oprócz swej pokojowej.

Pewnego ranka siedział zamyślony w swoim pokoju, cały zajęty bohaterskimi czynami człowieka, którego Polacy czczą jak bożyszcze. Naraz drzwi się otwarły i Jadwiga ukazała się w sukni żałobnej. Uroczystym krokiem ruszyła ku

ojcu, upadła przed nim na kolana i zawołała:

— Ojcie mój, hrabia Stanisław, mój małżonek już nie żyje; umarł, walcząc jak bohater. Jego nieszczęsna wdowa klęczy przed tobą.

Właśnie poprzedniego wieczoru hrabia otrzymał nowiny o Stanisławie, tak, iż uważał całą tę scenę, jako nowy atak szaleństwa swej córki.

— Uspokój się, moje dziecko,—powiedział — Stanisław żyje i niezadługo będzie w twem objęciu.

Na te słowa, Jadwiga głęboko i boleśnie westchnęła, i półprzytomna upadła na poduszki kanapy. Późem, wracając do przytomności, rzekła głosem spokojnym i silnym:

— Pozwól ojcie, że ci opowiem, jak się to wszystko stało, a zobaczysz, że jestem wdową po Stanisławie. Sześć dni temu byłam wieczorem w pawilonie, który się znajduje na krańcach naszego parku: wszystkie moje myśli były ześrodkowane na tym, którego kocham. Mimowoli czułam, jak oczy me się zamykają; nie spałam bynajmniej, czuwałam i marzy-

łam. Wkrótce usłyszałam pomieszaną wrzawę i nieustanne wystrzały, huczące w sąsiedztwie; wstałam, i nie mało byłam zdziwiona, widząc, że jestem w namiocie obozowym. Przedemną klęczał Stanisław. Porwałam go w objęcia, przycisnęłam do serca.

— Bądź pochwalony, Boże! — zawołał — ty żyjesz, tyś moja.

Powiedział mi, że po naszych zaręczynach upadłam zemdlona i wtedy przypomniałam sobie, że ojciec Cyprian, który w owej chwili również był w namiocie, połączył nas w kaplicy sąsiedniej, w obliczu armat, w czasie bitwy. Pierścień ślubny błyszczał na moim palcu. Odczuwałam radość niewymowną, gdym mogła przycisnąć do łona swego małżonka. Upojenie szczęścia kobiecego opanowało całą moją duszę. Straciłam przytomność, potem naraz dokoła zionęło lodowatym zimnem. Otworzyłam oczy... O, co za widok okropny! Znajdowałam się w samym środku bitwy; namiot, w którym siedziałam przed chwilą, był w płomieniach a tuż obok Stanisław stał otoczony przez żołnierzy nieprzyjacielskich; towarzysze przybiegli mu na pomoc, ale, było już za

późno! Jeden z jeźdźców uderzeniem szabli ciał go śmiertelnie!

Jadwiga, złamana boleścią, zemdlął powtórnie. Hrabia ją orzeźwił, a jego córka rzekła uroczyście:

— Niech się stanie wola Boga. Nie przystoi mi się skarżyć, ale aż do śmierci będę wierną swemu małżonkowi. Żaden węzeł ziemski nie rozłączy mnie z nim; będę się modliła o jego zbawienie i o nasze: oto moje przeznaczenie.

Hrabia Nepomucen myślał słusznie, że tylko wstrząśnienie moralne Jadwigi wywołało te przerażające widziadła, a ponieważ panna żyła życiem samotnem i spokojnem, nie martwił się zbyt jej położeniem, któremu — jak sądził zresztą — rychły powrót Stanisława koniec położy. Jeżeli zaś kiedy przypadkiem żartował z marzeń i snów, Jadwiga uśmiechała się boleśnie, podnosiła pierścień do ust i zalewała go pocałunkami i łzami. Hrabia z pewnem zdziwieniem zauwaył, że nigdy nie widział tego pierścienia na palcu swej córki; ponieważ jednak miała ona sto sposobów, by go dostać, nie zastanawiał się dłużej nad tem. Tymczasem doniesiono mu, że hrabia Stanisław dostał się do

niewoli — i ta wiadomość dotknęła go żywo. W tym czasie Jadwiga zaczęła się skarżyć na jakieś osobliwe cierpienie, którego nie mogła określić, a które przenikało całą jej istotę.

Książę Z... przybył do zamku z żoną. Matka Jadwigi umarła przedwcześnie; księżna Z. zastępowała hrabinę, a panna była do niej wielce przywiązana. Powierzyła jej swe cierpienia i żaliła się wielce, że ją traktują jako opętaną, gdy właśnie ona mogła dać najbardziej przekonywające dowody swego związku ze Stanisławem. Księżna, znając chorobę moralną panny, nie chciała jej zaprzeczać; mówiła, że czas wyjaśni wszystkie te tajemnicze okoliczności i dodawała, że w każdym razie należy się poddać woli nieba. Ale uważniejszą się stawała, gdy Jadwiga zaczynała jej mówić o swoim stanie fizycznym i o symptomatach niepokojącej ją choroby. Istotnie, księżna zaczęła teraz Jadwigę obserwować z żywym współczuciem, które zdawało się rosnać w miarę tego, jak dusza hrabianki się uspokajała. Białe policzki, sinawe wargi Jadwigi zabarwiły się nanowo, a oczy jej nabrały znów naturalnego blasku, wychudłe ciało znów się



zaokrąglalo; objawiła się powtórnie w całym blasku piękności i młodości. Tymczasem księżna zdawała się uważać ją jako bardziej chorą niż kiedykolwiek, i gdy ta zaczynała wzdychać, księżna wciąż pytała:

— Jakże się czujesz, moje dziecko? jak ci jest, co robisz?

Hrabia, książę i księżna rozważali razem, jakich środków użyć należy, by oderwać pannę od tej *idée fixe*, że jest wdową po Stanisławie.

— Sądzę niestety — mówił książę — że jej obłęd jest nieuleczalny, bo jej stan fizyczny jest doskonały i tylko podtrzymuje bezład jej duszy. Tak, — mówił dalej, patrząc na księżnę, która miała wyraz twarzy bolesny — tak, Jadwiga jest zupełnie zdrowa, choć, z jej szkoda, wszyscy upieramy się, by ją traktować jako chorą.

Księżna utkwiała oczy w księciu i powoli a stanowczo odparła na to:

— Nie, Jadwiga nie jest chorą, ale gdyby można było przypuścić, że się zapomniała, to mogłabym przysiąc, że jest w odmiennym stanie.

Rzekłszy te słowa, wyszła z pokoju.

Hrabia i książę spojrzeli na siebie zdu-

mieni. Książę zaś dodał, że jego żona miała czasem szczególne widzenia.

Hrabia odpowiedział:

— Księżna ma zupełną słuszość, uważając fakt, o jakim mówiła, za rzecz niepodobną. Ale co powiesz, gdy ci wyznam, że wczoraj, przypatrując się Jadwidze, miałem zupełnie to samo podejrzenie?

— W takim razie — rzekł książę — trzeba poradzić się lekarza i akuszerki, aby ich opinia zniweczyła zbyt pośpieszny sąd księżnej lub też, by stwierdziła naszą hańbę.

Przez kilka dni rzecz rozważano, już to przyjmując, już odrzucając różne postanowienia. Księżna nie chciała, aby wzywano lekarza, który mógłby być niedyskretny; dodała, że za parę miesięcy będzie czas na wezwanie pomocy medycyny.

— Co chcesz powiedzieć? — zawołał przerażony hrabia.

— Tak, — odparła księżna, — niema wątpliwości; albo Jadwiga jest największą obłudnicą, jaka istniała kiedykolwiek, albo była niegodziwie oszukana, gdyż jest w ciąży.

Hrabia osłupiały milczał długą chwilę; poczem, przemógłszy się, błagał księżnę,

aby się wszelkim sposobem dowiedziała, co za nędznik okrył jego dom niezgłodzoną hańbą.

— Jadwiga — rzecze księżna — nie wie jeszcze, że ja znam jej stan. Oczekuję wszystkiego od chwili, w której powiem jej, co mi się wydaje. Zdumiona dziewczyna albo straci maskę obłudy, albo wykaże swą niewinność w sposób cudowny, nie mam pojęcia jaki.

Tegoż wieczoru księżna znalazła się sama z hrabianką. Wzięła ją za rękę, spojrzała jej w oczy i powiedziała stanowczo:

— Moje dziecko, ty jesteś w ciąży.

Na te słowa Jadwiga podniosła ku niebu spojrzenie, w którym czytałeś błogość niewysłowioną i zawołała z uniesieniem:

— Wiem o tem, moja matko! Dawno już przeczuwałam, że jeżeli mój małżonek padł w szeregach nieprzyjaciół, to jednak czeka mnie jeszcze nieskończone szczęście. Tak jest, moment najwyższej radości, jakiej doznałam — trwa dla mnie wciąż. Ujrzę swego małżonka w owocu, jaki mi pozostawił w zakładzie po naszym słodkim związku.

Księżna czuła się tak zdumioną, że — zdawało się — sama rozum utraci. Ton

prawdy w słowach Jadwigi, jej uniesienie, wyznanie — usuwały wszelką myśl oszustwa i tylko obłęd mógł wyjaśnić sytuację. Opanowana tą myślą księżna, odepchnęła Jadwigę i rzekła jej gwałtownie:

— Szalona! czyż to sen, marzenie wtrąciło się w ten stan haniebnny dla nas wszystkich? Czy myślisz, że mi się wykręcisz za pomocą takich opowiastek? Rozważ, przypomnij sobie wszystkie okoliczności tego, co się stało; spowiedź szczerą, pełną skruchy może jedynie nas pogodzić z tobą.

Z twarzą łzami gorącemi zalaną i z sercem rozdartem, Jadwiga padła do nóg przed księżniczką i tak jej rzecze:

— Jakto! matko, i ty również traktujesz mnie jako obłąkaną wizyonerkę? Nie wierzysz, że przez kościół zostałam poślubiona Stanisławowi i że jestem jego żoną? Ale spójrz na ten pierścień, który noszę na palcu. Cóż mam ci jeszcze powiedzieć? Ty znasz mój stan — jakież mam ci ponad to dać dowody, by cię przekonać, że nie było to senne złudzenie?

Księżna zauważyła, ku niezmiernemu swemu zdumieniu, że młoda hrabianka najmniejszego nawet nie miała poczucia,

jakoby popełniła błąd i nie rozumiała wcale zarzutów swej matki przybranej. Ujawszy księżnę za obie ręce i przyciskając je do serca, zaklinała się, by uwierzono we wszystko, co mówiła o swoim małżonku; ta zaś, zmieszana, już nie władując sobą, nie wiedziała, co odpowiedzieć biednej dziewczynie i jakiego użyć środka, by rozwikłać tę tajemnicę. W kilka dni potem, powiedziała hrabiemu i księciu, że panna upiera się przy twierdzeniu, jakoby była brzemienna za sprawą swego męża, i że sama wierzyć zaczęła w rzeczywistość tego faktu.

Obaj panowie traktowali Jadwigę jako obłudnicę i hrabia Nepomucen przysiągł, że jeżeli mu się nie uda łagodnością zwalczyć jej szalonych myśli, to użyje najsurowszych środków. Księżna przeciwnie, uważała, że wszelka surowość byłaby tu okrucieństwem bezużytecznem. Była przekonana, jak to już powiedziała, że hrabianka wyraża jak najszczerzej to, co myśli.

— Są — mówiła — tysiączne tajemnice w świecie, których jeszcze nie jesteśmy w stanie zrozumieć. Czyż nie byłoby możliwe, że samo połączenie serc wywołu-

je wpływ fizyczny i że to połączenie doprowadziło Jadwigę do stanu, w jakim się znajduje?

Mimo gniewu i powagi okoliczności, książę i hrabia nie mogli się powstrzymać od śmiechu, słysząc to przypuszczenie; uważali je za najbardziej eteryczne, jakie wyszło kiedykolwiek z ludzkiej głowy. Księżna, rumieniąc się, wyjaśniła, że zmysłowość męska przeszkadza im rozumieć takie rzeczy; że sama przekonana jest o niewinności panny, i że udawały się z nią w podróż, aby ją uwolnić od podejrzeń i sarkazmów otoczenia. Hrabia przystał na tę myśl; zważywszy bowiem, że Jadwiga bynajmniej nie ukrywała swego stanu, trzeba ją było usunąć z przed oczu wszystkich osób znajomych.

Postanowienie to uspokoiło umysły. Hrabia był poniekąd zadowolony, widząc w tem środek osłony tego przykrego zdarzenia przed szyderstwami świata; książę zaś uważał, że jedyną rzeczą właściwą jest tu oczekiwać do czasu wyjaśnienia tej dziwnej zagadki. Goście hrabiego Nepomucena mieli już odjechać, gdy nagły przyjazd hrabiego Ksawerego R... wtrącił ich w nowy kłopot i nowe przeciwieństwa.



Rozgrzany konną jazdą, pokryty pyłem, wszedł do pokoju, półprzytomny, i nie witając się z nikim, nie zachowawszy żadnej z form grzeczności towarzyskiej, zawołał:

— Hrabia Stanisław umarł! nie jest w niewoli!... nie, został przez nieprzyjaciół rozsiekany! Oto dowody.

Mówiąc to, wręczył hrabiemu Nepomucenowi kilka listów, które ten pośpiesznie odczytał. Księżna rzuciła na nie okiem, i poglądając ku niebu z załamanemi rękami, wołała boleśnie:

— Jadwiga! biedne dziecko!.. Co za nieprzenikniona tajemnica!

Przekonała się, że Stanisław umarł tego samego dnia, kiedy Jadwiga roiała, że go widzi, i że wszystko ściśle się odbyło tak właśnie, jak to młoda panna opowiadała.

— Umarł! — rzecze gwałtownie Ksawery. Jadwiga jest wolna. Niema już żadnej przeszkody dla mnie, który ją kocham nad życie. Proszę o jej rękę.

Nepomucen nie mógł nic odpowiedzieć.

Książe przemówił i objaśnił, że pewne okoliczności nie pozwalają na zaspokojenie tej prośby; że Ksawery nie może w tej

chwili widzieć Jadwigi i że najlepiej byłoby, gdyby natychmiast powrócił do domu, jak przybył.

Ksawery odpowiedział, że zna wstrząśnienie moralne Jadwigi, o którym zapewne chciano mówić; że nie jest to bynajmniej przeszkoda, oczekiwał bowiem, że właśnie małżeństwo wyzwoli ją od tej choroby. Księżna zapewniła, że hrabianka do śmierci zostanie wierną swemu narzeczonemu i że zresztą niema jej w pałacu.

Ksawery wybuchnął śmiechem na te słowa i oświadczył, że prosił tylko o zgodę hrabiego, co do reszty zaś, to sam podejmuje się sprawy.

Rozgniewany tą niewłaściwą przemową Nepomucen, powiedział, że napróżno oczekuje jego zgody i radził, żeby młody człowiek natychmiast odjechał. W odpowiedzi na to Ksawery otworzył drzwi do przedpokoju, rozkazał służącemu przynieść walizę, wyprządz konie i zaprowadzić je do stajni; potem rzucił się w fotel koło okna i zapowiedział, że dopóki nie zobaczy Jadwigi i z nią się nie rozmówi, wyjdzie z pałacu, chyba przemocą zmuszony. Hrabia objaśnił, że nie może mu przeszkodzić po-

zostać w tym domu, ale że sam uda się gdzieindziej.

Po tych słowach wyszedł wraz z obojgiem księstwem, aby ile można przyśpieszyć odjazd Jadwigi. Przypadkowo w tej chwili, hrabianka swym zwyczajem przechadzała się po parku; Ksawery ujrzał ją przez okno, wybiegł za nią w pościgu i dopędził w chwili, gdy wchodziła właśnie do odosobnionego pawilonu; stan jej był już doskonale widoczny.

— O potęgi niebieskie! — zawołał Ksawery, upadając jej do nóg i zaklinał najtkliwszem błaganiem, aby jego miłości ustąpiła i aby go przyjęła za małżonka. Jadwiga, przerażona i drżąca, powiedziała mu, że jakiś demon grobowy jej go nasyła, aby pokój jej naruszyć; że będzie na zawsze wierną Stanisławowi i nigdy innego nie poślubi. Ksawery powtórzył błagania i powiedział, że się myli sama, że już mu udzieliła najśłodszych dowodów miłości, poczem się podniósł, aby ją porwać w objęcia. Jadwiga wówczas, odpychając go ze zgrozą i pogardą, zawołała:

— Niedorzeczny! nie zdołasz tego sprawić, abym uchybiła swej wierności, abym

unicestwiła owoc miłości, jaki w sobie noszę. Idź precz z moich oczu!

— Czyż nie ty sama — wołał Ksawery z wściekłością — czyż nie ty sama uchybiłaś tym nadprzyrodzonym przysięgom? Dziecko, które w łonie swem nosisz, jest mojem dzieckiem. Mnie to pieściłaś i całowałaś na tem samem miejscu. Byłaś moją kochanką i jesteś nią jeszcze, jeżeli nie będziesz moją małżonką.

Jadwiga, rzucając mu straszliwe spojrzenie, zawołała:

— Nikczemny! — i padła zemdlona na ziemię.

Ksawery poleciał do pałacu, jakby go furie pędziły, napotkał księżnę, zaciągnął ją do izby i rzecze:

— Odepchnęła mnie ze zgrozą, mnie, który jestem ojcem jej dziecka!

— Ty, Ksawery! — zawołała księżna.  
— Wielki Boże, jakże to możliwe?

— Potępiaj mię, jeśli zechcesz — odparł Ksawery — ale ktokolwiek ma krew gorącą jak moja, upadłby jak ja w takiej chwili. Ujrzałem Jadwigę w pawilonie, pod władzą jakichś dalekich, tajemniczych wpływów, których nie mogę opisać; była jakby uśpiona i rozmarzona na so-

fie. Zaledwie wszedłem, powstała, podeszła ku mnie i biorąc mię za rękę uroczyście, przeprowadziła mię przez pawilon. Uklękła i ja również ukląknęłam; zaczęła się modlić — i jakim to zrozumiał, wydawało się, że ksiądz jakiś jest wobec nas. Zdjęła pierścień ze swego palca i przedstawiła go księdzu; wziąłem go i dałem jej inny pierścionek. Wówczas padła mi w objęcia w miłosnem upojeniu. Gdy się oddalałam, była pogrążona jakby we śnie głębokim, podobnym do zemdlenia.

— Nędzniku! — zawołała księżna. — Niegodziwy zbrodniarzu!...

Hrabia i książę weszli w tej samej chwili i dowiedzieli się w niewielu słowach, o tem co się stało. Księżna wielce była urażona, słysząc z ich ust, że zbrodnia Ksawerego jest zupełnie zrozumiała i godna przebaczenia i że jego małżeństwo z Jadwigą wszystko wyrówna.

— Nie, — zawołała księżna — nigdy Jadwiga nie będzie żoną człowieka, który się ośmielił zatruć ekstazę młodej panny haniebną zbrodnią.

— Będzie moją żoną — zimnym, sardonicznym tonem rzekł Ksawery — odda mi

rękę, aby ocalić honor. Pozostanę tu i wszystko się załatwi.

W tej chwili usłyszano głuchy odgłos kroków; przyniesiono Jadwigę, którą ogrodnik znalazł nieprzytomną w pawilonie. Złożono ją na kanapie i zanim księżna mogła temu przeszkodzić, Ksawery wziął ją za rękę. Naraz panna wstała; rzuciła na młodego oficera spojrzenie płomienne, wydając zarazem okrzyk, podobny do ryku dzikiego zwierzęcia. Ksawery, złamany jakby go piorun uderzył, mógł tylko zawołać:

— Konie, konie!

Na znak księżny wyprowadzono go do przedpokoju.

— Wina, wina! — dodał jeszcze. Wypił kilka szklanek, jedną po drugiej — potem skoczył na konia i odjechał najszybszym galopem.

Stan Jadwigi, bliski obłąkania, zmienił postanowienia księcia i Nepomucena. Przekonali się, że czyn Ksawerego był nie do wyrównania; chcieli posłać po lekarza, ale księżna oświadczyła, że pannie właściwie potrzebne jest pocieszenie duchowe i zamiast lekarza, wezwano ojca Cypryana, spowiednika domu. W cudowny



sposób udało mu się uspokoić obłęd Jadwigi. Więcej nawet: wprowadził do jej duszy równowagę i pokrzepienie. Spokojnie rozmawiała z księżną i wyraziła życzenie, by po połogu usunąć się do klasztoru w O... i przepędzić tam życie w żałobie i pokucie.

Od tej chwili włożyła czarną zasłonę, która całkowicie jej twarz pokrywała, a której nigdy nie podnosiła. Księżę napisał do burmistrza w L. i do przeoryszy klasztoru Cystersanek, która miała odwieść Jadwigę do domu, gdzie ta odbyła połóg. Tymczasem księżna miała pojechać do Włoch, rozszerzywszy wieść, że wywozi ze sobą Jadwigę.

Była północ. Powóz, mający odwieść Jadwigę do klasztoru, stał przed bramą. Księżę, księżna i Nepomucen, złamani boleścią, zebrali się, by pożegnać nieszczęsną dziewczynę. Ukazała się, w gęstej zasłonie, w towarzystwie mnicha, w sali oświetlonej pochodniami.

— Siostra Celestyna — mówił uroczysto ojciec Cyprian — grzeszyła za czasów swego życia światowego. Tchnienie szatana splamiło jej białosc, ale ślub nieodwołalny da jej pocieszenie, spokój,

szczęście wieczne; nigdy świat nie zobaczy już tej twarzy, której piękność kusiła demona. Patrzcie, tak zaczęła ona i tak wykona swą pokutę.

Przy tych słowach mnich podniósł czarny welon Jadwigi i krzyk rozdzierający wydarł się ze wszystkich ust, gdy ujrzało trupioblada maskę, pod którą Jadwiga ukryła na zawsze swoje anielskie oblicze.

Odeszła, nie mówiąc ani słowa do ojca, który, boleścią udręczony, rychłej oczekiwał śmierci. Książę, mimo wszystką moc charakteru, zalał się łzami; księżna jedynie, zwalczywszy swe straszne wrażenia, zachowała spokój pełny religijnego podania.

Nie wiadomo, jak Ksawery odkrył miejsce pobytu Jadwigi i dowiedział się, że dziecko, które na świat wydała, było poświęcone Kościołowi.

Porwanie syna miało wynik fatalny. Przybywszy do P., gdzie chciał go oddać w ręce kobiety zaufanej, spostrzegł z rozpaczą, że dziecko, które sądził zemdlonem z powodu mrozu, w istocie umarło. Ksawery zniknął i przypuszczano, że popełnił samobójstwo.

Książę Bolesław Z..., podróżując po

Włoszech, zatrzymał się w okolicach Paulipalu, i udał się w góry do klasztoru Kamiedulów, pomieszczonego na pewnej wyżynie, skąd można się zachwycać wspaniałym widokiem. Wstępował na jedną ze skał, które się wznoszą w ogrodzie klasztornym, gdy ujrzał mnicha, siedzącego na kamieniu; mnich trzymał brewiarz na kolanach i spoglądał na widnokrąg; twarz jego, młodą jeszcze, pomarszczyło i rozłożyło cierpienie. Przyglądając mu się bliżej, podróżny czuł, że się w nim budzi jakieś niewyraźne wspomnienie. Przybliżył się i zauważył, że książka, którą mnich miał w ręku, była to książka polska. Zagałdał więc do niego w języku polskim. Ów odwrócił się z rodzajem przerażenia i za ledwie rzucił okiem na księcia, natychmiast spuścił na twarz kaptur i zniknął w gęstwinie drzew.

Książę Bolesław, opowiadając tę przygodę Nepomucenowi, zapewniał, że tym mnichem był hrabia Ksawery R...

---

# **WYBÓR NARZECZONEJ**

**HISTORIA, W KTÓREJ ZACHODZĄ ROZMAITE  
NIEPRAWDOPODOBNE PRZYGODY,**

# WYBÓR NARZECZONEJ

---

## ROZDZIAŁ I,

w którym jest mowa o narzeczonych, weselach, tajnych sekretarzach, turniejach, procesach czarownic, dyabłach zaklętych i innych przyjemnych rzeczach.

W jesienną noc, w czas zrównania dnia z nocą, sekretarz kancelaryi państwowej Tussman wyszedł z kawiarni, w której zazwyczaj przesiadywał co wieczoru kilka godzin, i powracał do domu. Sekretarz ten pod wszystkimi względami ścisły i punktualny; przywykł zdejmować surdut i buty dokładnie w chwili, kiedy zegary na kościołach Świętego Mikołaja i Przenajświętszej Panny biły jedenastą, tak, że przy ostatniem uderzeniu dzwonu, kładł na głowę szlafmycę. By tego dnia nie był spóźniony, gdyż dzwony już zaczynały

swe kołysanie, przyśpieszył kroku tak, że zdawało się biegł klusem, i gdy właśnie z ulicy Królewskiej wchodził na Szpan-dawską, usłyszał w pobliżu szczególny hałas, który go zatrzymał na miejscu. Pod wieżą starego ratusza, przy blasku latarni ujrzał długą postać, całą w ciemny płaszcz zasnutą. Nieznajomy walił do drzwi Warnatza, handlującego żelazem, cofał się, wzdychał i podnosił wzrok ku zrujnowanym oknom wieżycy.

— Drogi panie — rzekł sekretarz tajny do tego człowieka — pan się myli. Ani jedna dusza ludzka nie mieszka na szczycie tej wieży i mógłbym nawet powiedzieć, żadna istota żywa, z wyjątkiem szczurów i myszy oraz pary sów. Jeżeli pan ma jakiś interes do p. Warnatza, to musi pan powrócić jutro rano.

— Czcigodny panie Tussman...

— Sekretarz prywatny kancelaryi państwowej od wielu lat — pośpieszył dodać Tussman, choć bardzo zdziwiony, że obcy zna jego nazwisko. Ten nie zwracał zupełnie uwagi na te słowa i mówił dalej:

— Czcigodny panie Tussman, myli się pan co do powodów mojej obecności w tem miejscu, nie mam żadnego intere-



su do p. Warnatza. Ponieważ jest to dziś równonocny moment jesieni, chcę widzieć narzeczoną. Już ona słyszała bicie mego serca, westchnienia mej miłości i wkrótce się w oknie pokaże.

Ton głosu, jakim nieznajomy wypowiedział te słowa, był tak uroczysty i tak dziwny, że sekretarz kancelaryi poczuł zimny pot, oblewający naraz całe jego ciało. Pierwsze uderzenie godziny jedenastej zabrzmiało na szczycie wieży Panny Maryi; w tej samej chwili, usłyszano pewien szmer na wieży ratuszowej i w oknie ukazała się postać kobieca. Gdy blask latarni oświecił tę nową twarz, Tussman żalosnym głosem szepnął:

— Sprawiedliwy Boże! potęgi niebieskie, co znaczy ta tajemnica?

Postać znikła wraz z ostatniem uderzeniem zegara — to znaczy w tej chwili, gdy Tussman miał zwyczaj wciągać na uszy szlafmycę.

To zdumiewające zjawisko, rzekłbyś, odebrało sekretarzowi przytomność. Jęczał, wzdychał, patrzył w okno i mówił sam do siebie po cichu:

— Tussmanie, Tussmanie, sekretarzu prywatny kancelaryi, miej siłę ducha, nie

pozwól się obłąkać własnemu sercu, nie pozwól dyabłowi, by cię na manowce sprowadził.

— Zdajesz mi się bardzo wzruszony tem, co widziałeś, mój dobry panie Tussman! — rzekł nieznajomy. — Ja chciałem tylko widzieć narzeczoną; a co do ciebie, to zdaje się, doznałeś jakichś szczególnych wrażeń.

— Proszę cię, proszę — szeptał Tussman — nie odmawiaj mi moich tytułków; jestem sekretarzem tajnym kancelaryi państwowej, a o godzinie, jaką mamy teraz, sekretarz jest bardzo zmieszany i przygnębiony. Przebacz mi, dostojny panie, jeżeli mu nie nadaję tytułu, jaki mu się należy; nie mogę tego uczynić wobec mej całkowitej nieświadomości wszystkiego, co dotyczy jego szanownej osoby. Ale nazywać go będę radcą tajnym, gdyż w naszym kochanym Berlinie tylu jest ludzi, co noszą ten tytuł, że używając go na chybił-trafił, rzadko kiedy się omylisz. Powiedz mi zatem, panie radco tajny, jaką to narzeczoną chciałeś widzieć o tak spóźnionej godzinie?

— Jest pan — rzekł, podnosząc głos nieznajomy — jest pan szczególny czło-

wiek ze swoją manią tytułów i rang. Jeżeli dla znajomości różnych spraw tajemnych i dla udzielania dobrych rad można się tytułować tajnym radcą, to niewątpliwie jestem tajnym radcą. Dziwię się, że człowiek, co jak pan czytał tyle ksiąg i rękopisów, nie wie, że gdy wtajemniczony... rozumie pan, wtajemniczony przychodzi w czas zrównania dnia z nocą, by o godzinie 11 uderzyć u stóp tej wieży, zobaczy w tem oknie dziewczynę, która aż do chwili równonocnej wiosennej, będzie najszcześniejszą narzeczoną w Berlinie.

— Panie radco tajny! — zawołał Tusman w uniesieniu nagłej radości — mój najlaskawszy radco tajny, czyżby to była prawda?

— Bez wątpienia — odrzekł nieznajomy. — Ale cóż my tak długo robimy tu na ulicy? Minęła już chwila, w której się kładziesz do łóżka. Idźmy do nowej winiarni na placu Aleksandra. I jedynie po to, abyś się mógł więcej dowiedzieć o narzeczonej i abyś na nowo odzyskał spokój ducha, który utraciłeś, nie wiem jak i dlaczego.

Sekretarz prywatny był człowiekiem, który prowadził nadzwyczaj regularne życie. Jedyną jego rozrywką było, że co

wieczór parę godzin spędzał w kawiarni i, pijąc szklankę piwa, czytał gazety i broszury polityczne. Prawie nie pijał wina: w niedzielę tylko, po kazaniu, wchodził do winiarni i kazał sobie podawać szklankę Malagi i biszkopt. Myśl, że ma spędzić noc przy stole, przepełniała go dreszczem strachu; i nie podobna zrozumieć, jakim sposobem dał się pociągnąć nieznajomemu i bez najmniejszego oporu poszedł z nim razem, aż się znalazł na placu Aleksandra.

W sali, do której weszli, był już tylko jeden człowiek siedzący przy stole, z wielką szklanką wina Reńskiego. Głębokie zmarszczki na jego twarzy świadczyły o podeszłym wieku. Spojrzenie miał bystre, przenikliwe, a z białej brody poznać było można żyda, który ściśle zachował obyczaje przodków. Odziany był starą modą, jaka istniała między 1720 a 1730 r. Ale nieznajomy, którego spotkał Tussman, wyglądał jeszcze osobliwiej.

Był to człowiek wysokiego wzrostu, chudy, lecz mocny, a zdawał się mieć około pięćdziesięciu lat. Twarz jego może niegdyś była ładna; wielkie oczy miały jeszcze niemało blasku młodzień-

czego pod czarnemi brwiami. Czoło otwarte, nos orli, usta delikatne i okrągły podbródek, wszystko to nie bardzo go wyróżniało wśród tysiąca innych. Ale gdy jego kapelusz i spodnie były wykrajane podług ostatniej mody, płaszcz i kołnierzyk — datowały z końca XVI w., a jego spojrzenie lśniące jak błyskawica w głębokiej nocy, przygłuszony dźwięk głosu, i cała jego osoba budziła swą obecnością jakieś poczucie szczególne i niepokojące. Nieznajomy powitał jak dobrego przyjaciela starca siedzącego przy stole.

— A więc jesteś na koniec — zawołał. — Zawsze zdrowy?

— Jak widzisz — odparł starzec tonem wielkości — zdrowy i cały; gdy trzeba, czynny i wesoły.

— To kwestya, to kwestya — rzekł nieznajomy z uśmiechem i zażądał od posługacza butelki starego wina francuskiego.

— Mój szanowny i dostojny radco tajny — rzekł Tussman. Ale cudzoziemiec szybko mu przerwał:

— Dajmy pokój — rzekł — z temi tytułami, drogi panie Tussman! Nie jestem ani radcą tajnym, ani sekretarzem tajnym. Jestem poprostu artystą, który obra-

bia szlachetne metale, drogie kamienie i nazywam się Leonard.

— A zatem jest to złotnik, jubiler — szeptał do siebie Tussman. Rozważył też zaraz, że na pierwszy widok cudzoziemca, powinien był zrozumieć, że ten człowiek nie może być radcą tajnym, gdyż jego płaszcz i beret nie odpowiadają zupełnie osobie utytułowanej.

Leonard i Tussman siedli w pobliżu starca, który ich powitał wykrzywionym uśmiechem.

Gdy Tussman, pod naciskiem Leonarda, wypróżnił kilka szklanek wina, jego blade policzki zarumieniły się i na usta powrócił uśmiech; z zadowoleniem przyglądał się nieznanemu, jakby najśłodsze obrazy migwały mu przed okiem.

— Teraz — rzekł Leonard — powiedz mi, progi panie Tussman, dlaczego tak osobliwie się zachowywałeś, gdy narzeczona ukazała się w oknie wieżycy i jaka myśl zajmuje cię teraz? Jesteśmy, czy wierzysz czy nie, starzy znajomi, a wobec tego zacnego człowieka, niema potrzeby się krępować.

— O Boże! — odparł sekretarz prywatny kancelaryi — o Boże!... Szanowny



profesorze, pozwól, że będę cię tytułował w ten sposób, bo, że pan jest, jak sędzę, wybornym artystą, miałbyś prawo być profesorem w Akademii Sztuk Pięknych. A zatem, czcigodny profesorze, jakże zamilczeć mam przed tobą to, czem serce me jest przepełnione? Jestem, jak to mówią, konkurentem i w równonocny czas wiosenny zamierzam do swego domu wprowadzić słodką narzeczoną. Jakże nie mam być wzruszony, gdy ty mi pokazałeś szczęśliwą narzeczoną?

— Jakto? — zawołał starzec zgrzytliwym głosem. Jakto? pan się chce żenić? Ależ pan jest na to i za stary i za brzydki.

Tussman był tak zdumiony niewiarogodną brutalnością starego żyda, że nie mógł słowa powiedzieć.

— Nie gniewaj się na tego człowieka, — rzekł Leonard — że w ten sposób mówi do ciebie; niema on tak złych zamiarów, jakby można przypuszczać. Ale muszę ci szczerze wyznać, zdaje mi się, że trochę zbyt późno postanowiłeś się ożenić; masz zapewne około pięćdziesięciu lat.

— Dziewiątego października, w dzień Świętego Dyonizego — odparł nieco żywo Tussman — kończę rok 48-my.

— Niechaj będzie jak pan chce — mówił dalej Leonard — wiek nie jest przeszkodą; aż dotąd prowadziłeś proste i spokojne życie człowieka beżżennego, nie znasz rodzaju kobiecego i nie będziesz wiedział, jak załatwić tę sprawę.

— Jak załatwić sprawę? — rzekł Tusman. — Ach, drogi profesorze, traktujesz mnie, jako człowieka szczególnie lekkomyślnego i głupca, jeżeli sądzisz, że mógłbym działać na ślepo, bez rady i bez rozwagi. Obmyślałem bardzo poważnie każdy krok, jaki czynię i gdy czuję się trafiony grotem tego przewrotnego boga, którego starożytni nazywali Kupidynem, czyż nie jest moim obowiązkiem, wyteńczyć wszystkie siły mego umysłu, by się dostosować należycie do swego nowego położenia? Ten, co ma zdawać trudny egzamin, czyż nie bada starannie wszystkich kwestyj, o jakie mógłby być zapytywany? A więc, drogi profesorze, małżeństwo moje jest to egzamin, do którego się przygotowuję i który myślę zdać ze stopniem celującym. Oto spójrz, mała książeczka, którą ciągle noszę ze sobą i którą studuję co chwila, odkąd powziąłem postanowienie, by się kochać i by się ożenić. Patrz na nią, a prze-

konasz się, że sprawę badam do gruntu i że nie jestem bez doświadczenia, chociaż płeć żeńska, wyznaję, była mi dotychczas całkowicie obca.

To rzekłszy, sekretarz prywatny kancelaryi otworzył małą książeczkę, oprawną w pergamin i odczytał jej tytuł, który brzmiał, jak następuje:

*„Krótki wykład mądrości politycznej, który zawiera sztukę prowadzenia siebie i prowadzenia innych w towarzystwie ludzkim. Tłumaczył z łaciny mistrz Tomaszus, ku największemu pożytkowi tych, którzy chcą osiągnąć mądrość. Fränkfurt i Lipsk, u spadkobierców Jana Grossa, 1710“.*

— Uważaj, — rzekł Tussman z nader miłym uśmiechem, — jak ten szanowny autor mówi, w R. VII, o małżeństwie i o przeźorności ojca rodziny:

„§ 6. Nie należy się z tem zanadto śpieszyć. Ten, który się żeni w wieku dojrzałym, jest w tej sprawie o tyle zręczniejszy, o ile mędrszy. Małżeństwa zbyt prędko zawarte — rodzą podstęp i hańbę — i niszczą naraz ciało i duszę... Co do wyboru osoby, którą zamierzasz kochać i po-

ślubić, oto co mówi ten doskonały Tomasius.

„§ 9. Miara średnia jest zawsze rzeczą najpewniejszą. Nie bierz kobiety ani zbyt pięknej, ani zbyt brzydkiej; ani zbyt bogatej, ani zbyt ubogiej; ani postawionej zbyt wysoko, ani też zbyt nisko: ale stanu równego naszemu, a co do innych cech — miara średnia jest najlepsza“.

— Podług rad Tomasiusa, — mówił dalej Tussman, — nie ograniczyłem się wcale do jednej rozmowy z miłą osobą, którą sobie wybrałem; rozmawiałem wielokrotnie, gdyż, jak to czytamy w § 17 tej książeczki, można przez jakiś czas ukrywać swe wady i udawać cnoty, ale po dłuższym okresie prawda wyjdzie na wierzch jak oliwa.

— Aby takie mieć stosunki — rzekł Leonard — albo, jak to pan mówi, takie rozmowy z kobietami, sędzę że dla uniknięcia pomyłki, trzeba już mieć dość znaczne doświadczenie.

— Tu — rzekł Tussman — wielki Tomasius raz jeszcze przychodzi mi z pomocą, gdyż naucza, jak należy z niewiastami prowadzić rozmowę poważną, i jak w nią wtrącać miłe żarciki: Trzeba,

— mówi ten uczony autor, w rozdziale V swego dzieła—tak używać żartu, jak kucharz soli, lub by powiedzieć lepiej, jak się używa broni nie dla ataku, lecz dla obrony.

— Widzę, — rzekł złotnik — że nie można cię zwalczyć: jesteś przygotowany na wszelki przypadek i założyłbym się, że dzięki swemu postępowaniu, już zdobyłeś sobie miłość wybranej damy.

— Staram się — rzekł Tussman — zdobyć ją sobie drogą uprzejmości i szacunku, gdyż jest to najnaturalniejsza oznaka miłości. Lecz nie posuwam szacunku zbyt daleko, przekonany, jak to naucza Tomasz, że kobieta nie jest ani szatanem, ani też aniołem, ale prostym stworzeniem ludzkim, kruchszem od nas co do ciała i ducha.

— Bodajeś miał zły rok! — krzyknął stary żyd rozgniewany. — Cóż ty tu pleciesz bez końca i bez sensu, i burzysz mi spokój, którego tu oczekiwałem, dokonawszy swego *opus magnum*.

— Milcz, starcze! — zawołał złotnik podniesiony głosem. — Bądź kontent, że ci tu pozwalają siedzieć, bo przy swojej brutalności, jesteś niemiłym gościem, któ-



regoby należało wygnać za drzwi. Niech pan nie zwraca uwagi na tego człowieka, drogi panie Tussman. Jesteś pan zwolennikiem dawnych czasów, lubisz Tomasiusa. Co do mnie—idę dalej jeszcze: kocham tylko czas, z którym się wiąże część mego ubioru. Tak, godny sekretarzu, ów czas wart był więcej niż dzisiaj, i z tej to epoki datują wszystkie czarnoksiężstwa, które widziałeś dziś na starym ratuszu.

— Jakże to, szanowny profesorze? — zapytał sekretarz.

— Niegdyś — mówił złotnik — bywały na ratuszu często gody weselne a wyglądały one inaczej niż dzisiejsze. Wtedy szczęśliwa Narzeczona promieniała w oknie i muszę wyznać, że nasz kochany Berlin był w owym czasie bardziej ożywiony, bardziej uśmiechnięty niż dziś, gdy wszystko jest robione podług jednego wzoru, gdy w nudzie nawet szukają jeszcze rozkoszy nudzenia się. W owych czasach zabawy publiczne były wcale inne niż dzisiaj. Przypomnę tylko uroczystość odprawioną w r. 1581, kiedy elektor August Saski przybył z Kolonii, ze swą małżonką, synem Chrystyanem i wspaniałym



orszakiem szlachty. Mieszczanie Berlina, Kolonii i Szpandawy ustawili się w dwa szeregi od bramy Köpenickiej aż do pałacu. Nazajutrz był huczny turniej, na którym widziano elektora Saskiego, hrabiego de Barby i wielu innych, w hełmach wysokich, z chorągwiami ozdobnemi lwią głową, a na nogach mieli strój barwy ciała, by naśladować starożytnych wojowników pogańskich. Śpiewacy i grajkowie na różnych instrumentach, ukryci byli w budynku na wzór arki Noego, pięknie wyzłoconym, a na tej arce małe dziecko w materyi cielistej, ze skrzydełkami, z łukiem i kołczanem, z przepaską na oczach, jak malują Kupidyna. Dwoje innych dzieci, pokrytych białośnieżnemi piórkami, o złotych oczach i dziobach gołębih, prowadziło arkę, w której brzmiała muzyka w chwili przyjazdu księcia; potem liczne gołębie wyleciały z arki, a jeden z nich, siadłszy na sobolowej czapce naszego najświetniejszego elektora, zaczął bić skrzydłami i śpiewać jakąś aryę cudzoziemską, daleko piękniejszą, niż ta, jaką słyszano w 70 lat później, gdy śpiewał mistrz kapeli Bernard Pasquino Grosso z Mantui. Był potem turniej, na którym się ukazał ele-

ktor Saski i hrabia de Barby, w okręcie pokrytym materyą żółtą i czarną i z chora-  
 ragwią złotą. Za nimi dziecko, które dnia  
 wczorajszego grało rolę Kupidyna, uka-  
 zało się tym razem w długiej, pstrej sukni,  
 w czapce żółto-czarnej i z długą siwą bro-  
 dą. Dokoła okrętu tańczyły i skakały  
 osoby szlacheckiego rodu, przystrojone  
 w głowy i ogony łososiów, śledzi i innych  
 lekkich rybek. Wieczorem o dziesiątej —  
 puszczoneo ogień sztuczny, wyobrażający  
 twierdzę obleżoną przez lancknechtów,  
 którzy byli znakomitymi strzelcami i za  
 pomocą swych arkebuzów urządzali roz-  
 maite figle. Widziano w powietrzu, jak  
 zapalali się i rozpryskiwali ludzie ogniści  
 i ogniste konie, ptaki nieznane i inne nad-  
 zwyczajne zwierzęta. Zabawa ta trwała  
 dwie godziny.

Kiedy złotnik wszystko to opowiadał,  
 sekretarz prywatny słuchał go z wyra-  
 zem najwyższego zaciekawienia; pocie-  
 rał ręce, wykrzykiwał, poruszał się na  
 krześle i co chwila pił nowy kieliszek  
 wina.

— Mój szanowny profesorze — zawo-  
 łał wreszcie falsetem, jaki zwykle przy-  
 bierał w ekstazie radości; mój drogi i sza-

nowny profesorze, są to rzeczy nadzwyczajne, a ty je opowiadasz tak, jakbyś je sam był widział.

— Ba, — odparł Leonard — i czemuż bym ich sam nie miał widzieć?

Tussman, nie rozumiejąc znaczenia tych zdumiewających wyrazów, chciał dalsze zadawać pytania, gdy starzec rzekł do złotnika:

— Zapominasz o najpiękniejszych uroczystościach, co to cieszyły Berlin w czasie, którego chwałę opiewasz. Nie mówisz o tych stosach, na których płynęła krew nieszczęsnych ofiar, którym za pomocą okropnych tortur, wydzierano wszelkie zeznania, jakie tylko mógłby sobie wyobrazić najgrubszy przesąd.

— Ach, — rzekł sekretarz prywatny — chcesz zapewne, drogi panie, mówić o tych procesach czarnoksiężników, jakie robiono dawnemi czasy. Tak, były to rzeczy złe, którym szczęśliwie kres położył nasz wiek oświecony.

Złotnik rzucił osobliwym spojrzeniem na starca i na Tussmana i z tajemniczym uśmiechem zapytał, czy znają historię intendenta skarbu, żyda Lippolda, która się odbyła w r. 1572.

Zanim Tussman odpowiedział, Leonard zaczął mówić:

— Ten Lippold, który miał całe zaufanie elektora i któremu powierzone były finanse kraju, oskarżony został o wielkie szachrajstwa; ale, czy to, że się umiał usprawiedliwić, czy też, że miał do rozporządzenia inne środki, by wykazać swą niewinność wobec elektora; czy też przepił osoby zaufane: dość, że go uniewinniono całkowicie. Tylko straże miejskie czuwały koło jego domu, na ulicy Stralsowskiej. Pewnego dnia pokłócił się z żoną, która w gniewie zawołała:

— Gdyby elektor wiedział, jakim ty jesteś niegodziwcem i ile złego możesz zrobić za pomocą swojej księgi czarnoksięskiej, to by cię upiekli na stosie!

O tych słowach doniesiono księciu, który nakazał zrobić surową rewizję w domu Lippolda. Znaleziono księgę magiczną, a ponieważ byli ludzie, co ją rozumieli, oczywistą się stała zbrodnicość żyda. Zażywał on dyabelskich środków, aby uwieść swego pana i rządzić krajem. Spalono go na nowym rynku: ale gdy płomienie pożarły jego ciało i przekłętą księgę, naraz ze stosu wyszła wiel-

ka mysz; niejeden z widzów był przekonany, że to właśnie jest demon Lippolda.

W czasie tego opowiadania złotnika starzec siedział, oparłszy o stół ramiona i ukrył twarz w dłoniach, przyczem jęczał i wzdychał, jak człowiek, który doznaje niewymownych cierpień.

Tajny sekretarz prywatny zdawał się przeciwnie mało zwracać uwagi na to opowiadanie. Twarz jego była uśmiechnięta, a umysł zajęty wcale inną sprawą. Gdy Leonard skończył mówić, sekretarz zwrócił się do niego i słodkawym głosem powiedział:

— Mój czcigodny i szanowny profesorze, czy to istotnie była panna Albertyna Voswinkel, co spoglądała na nas swemi pięknymi oczami ze szczytu wieży?

— Jakto? — odparł złotnik. — I cóż pan ma za sprawę z czarującą panną Albertyną?

— Ach, — zawołał nieśmiało Tussman — ależ to jest właśnie ta miła osoba, którą postanowiłem kochać i poślubić.

— Panie, — zawołał złotnik, zaczerwieniony, łyskając płomieniami w oczach — panie, sądzę, że jesteś opętany przez dyabła lub całkowicie pozbawiony zmysłów:



pan chce poślubić młodą Albertynę, pan, nędznik zużyty do szczeru przez lata, pan, który z całą swoją mądrością szkolną i z swoim Tomasiusem — nie widzisz nic o trzy kroki przed nosem? Nie oddawaj się ani na chwilę takim myślom albo ci kark złamię w to zrównanie dnia z nocą!

Sekretarz prywatny był człowiekiem łagodnym, spokojnym, nawet bojaźliwym, który nigdy nie odpowiadał ostro na zaczepki. Lecz odezwa złotnika była zbyt gwałtowna, a że zresztą Tussman pił więcej niż zwykle, podniósł się rozgniewany i chrapliwym głosem jął krzyczeć:

— Nie wiem na jakiej zasadzie przypisuje pan sobie prawo mówienia do mnie w ten sposób, panie nieznajomy! Sądzę, że chciałeś sobie ze mnie zakpić szeregiem igraszek dziecinnych, i że sam ośmielasz się miłować pannę Albertynę. Narysowałeś na szkle jej portret i za pomocą latarni magicznej, którą ukryłeś pod płaszczem, pokazałeś mi na wieży starego ratusza tę miłą postać. Ale ja znam te wszystkie fortele i mylisz się, jeśli ci się zdaje, że mię złamiesz tymi figlami i swoją grubiańską mową.

— Strzeż się — rzekł złotnik — strzeż



się, bratku! Masz tu sprawę z bardzo ciekawymi ludźmi!

W tej samej chwili twarz złotnika zmieniła się w lisią głowę, która tak przeraziła sekretarza, że upadł i wyrzucił się na krześle. Starzec nic a nic się nie zdziwił tą przemianą złotnika:

— Patrzcie — rzekł — co za żarty! To pusta igraszka. Ja znam lepsze, a dla ciebie za wysokie, Leonardzie!

— Pokaż — rzekł złotnik, który znów przybrał twarz ludzką i spokojnie siedział przy stole. — Pokaż, co umiesz robić.

Starzec wyjął z kieszeni wielką czarną rzodkiew, zdjął z niej dokładnie łupinę nożem, pokrajał ją na małe plasterki i położył je na stole. Za każdym razem, gdy uderzał w rzodkiew, powstawała sztuka złotej monety, którą żyd podawał Leonardowi, a skoro tylko ów jej dotykał, złoto rozpadało się w iskierkach. Starzec rozdrażniony, że sztuki złota tak się kruszą, coraz więcej bił w rzodkiew i coraz nowe monety składał w ręce złotnika.

Sekretarz, przerażony, wyrwał się nagle z oszołomienia i rzekł głosem drżącym:

— Moi czcigodni panowie, mam zaszczyt was pożegnać.—Poczem, pochwywszy laskę i kapelusz, wyskoczył z winiarni.

Na ulicy słyszał, jak dwaj zagadkowi jegomości pękali ze śmiechu. Krew zastygła mu w żyłach.

## ROZDZIAŁ II,

gdzie autor opowiada, jak to za sprawą cygara, które nie chciało się palić, zakwitnął stosunek miłosny między dwojgiem kochanków, którzy już przedtem głowami się szturgnęli.

Młody malarz Edmund Lehsen zapoznał się ze złotnikiem w sposób daleko poważniejszy, niż sekretraz prywatny Tussman. Edmund siedział pewnego dnia w samotnem miejscu w parku i rysował podług natury grupę drzew, gdy Leonard nadszedł i bez ceremonii poprzez ramię zaczął się przyglądać jego pracy. Edmund rysował dalej, aż złotnik zawołał:

— Szczególną rzecz tu robisz, młodzieńcze; to przecież nie jest grupa drzew, to zupełnie coś innego.

— Cóż widzisz w tym rysunku?—rzekł Edmund błyskając okiem.

— Zdaje mi się — rzekł złotnik — że widzę tu z gęstwiny liści wychodzące najrozmaitsze postacie, geniusze, osobliwe zwierzęta, młode dziewczyny i kwiaty, a jednak wszystko to tworzy dość dobrze grupę drzew, po przez które świecą promienie słońca.

— Ah, panie — rzekł Edmund — albo ma pan głębokie poczucie i przenikliwe oko, albo też byłem szczęśliwszy niż kiedykolwiek w tej próbie. Czy nie zdaje się panu także, gdy się oddajesz gorącemu poczuciu natury, że tysiące istot cudownych patrzy na ciebie skroś drzewa o miłym spojrzeniu? To właśnie chciałem wykazać w tej kompozycji i zdaje mi się, że cel osiągnąłem.

— Rozumiem — odparł Leonard tonem suchym i zimnym, — chciałeś się wyzwolić od wszelkich studyów i rozkoszować się grą własnej fantazyi.

— Nie, panie — odparł Edmund — uważam ten sposób pracy według natury, jako studyum najlepsze i najużyteczniejsze; w tem widzę prawdziwą poezyę. Malarz pejzażysta powinien być poetą, jak malarz historyczny: inaczej będzie tylko lichym uczniem.

— Niechaj Bóg czuwa nad nami! Jakto? i ty także, drogi Edmundzie Lehse.

— Jakto, pan zna moje nazwisko?

— Czemuż bym nie miał go znać? Wiedziałem cię w chwili, której zapewne sobie nie przypominasz, w chwili twoich narodzin. Przy bardzo małym doświadczeniu, jakie było wówczas twym udziałem, prowadziłeś się zgoła przyzwoicie; gdyż matce swojej ból sprawiłeś niewielki i wydałeś okrzyk radości na widok światła, którego ci za moją sprawą nie odmówiono. Przekonany jestem, zgodnie z opinią nowych lekarzy, że to światło nie tylko nowonarodzonemu nie szkodzi, ale owszem dopomaga ich rozwojowi fizycznemu i moralnemu. Pan ojciec był też bardzo zadowolony; skakał na jednej nodze i śpiewał arye z *Fleta zaczarowanego*. Potem złożył twoją malutką osobę w moje ręce i prosił mię, bym ci postawił horoskop, co też z miejsca uczyniłem. Bywałem częstym gościem u twego ojca i pochopnie przyjmowałeś z moich rąk rodzyнки i migdały, które ci przynosiłem. Potem udałem się w podróż; miałeś wtedy sześć lub siedm lat. Po powrocie do Berlina, dowiedziałem się z przyjemno-

ścią, że ojciec twój przysłał cię tutaj na studia malarskie, którym trudnoby ci było poświęcić się w twojej wiosce, gdzie, o ile mi wiadomo, nie wiele się znajduje obrazów, marmurów, bronzów i innych dzieł drogocennych.

— Boże! — zawołał Edmund. — Teraz wszystkie wspomnienia młodości odrysowują się w moim umyśle. Czy nie jesteś panem Leonardem?

— Istotnie — rzekł złotnik. — Nazywam się Leonard, byłbym jednak bardzo zdumiony, gdybyś o mnie jakieś wspomnienie zachował.

— A jednak to prawda — rzekł Edmund. — Wiem, że twoja obecność była mi bardzo przyjemna, że mi przynosiłeś wszelkiego rodzaju łakocie, i że wiele się mną zajmowałeś. Wiem, że twój widok budził we mnie jakiś trwożny szacunek i zaniepokojenie, co trwało nawet po twojem zniknięciu; ale zwłaszcza wryło mi się z pamięci to, co ojciec mój opowiadał o tobie; szczycił się twoją przyjaźnią i mówił mi, żeś go z rzadką zręcznością wydobył nieraz z kłopotliwej sytuacji; mówił też z entuzjazmem, jak to przeniknąłeś wiedzę tajemną; twierdził, że dowoli władasz

tajemniczemi potęgami natury, a niekiedy, wybaczyć, wyrażał przypuszczenie, że możesz być Ahaswerem czyli Żydem Wiecznym Tułaczem.

— Czemuż nie Szczurolapem z Hammeln, albo starym Wszędobylskim i Nigdziebylskim, albo jakimś Koboldem, Krasnoludkiem? — odrzekł złotnik. — Ale to prawda, i nie mogę zaprzeczyć, że mam w sobie pewne osobliwości, które w ludziach budzą zawsze złośliwe podejrzenia. Prawda i to, że oddałem twemu ojcu liczne i ważne usługi dzięki swym naukom tajemnym i zwłaszcza rozradowałem go horoskopem, jaki ci postawiłem przy urodzeniu.

— A więc — odparł z rumieńcem na twarzy Edmund — twój horoskop nie był świetny. Mój ojciec często mi powtarzał, że podług waszej sentencji, miałem zostać czemś wielkiem: albo wielkim artystą albo wielkim waryatem. Ale tej to przepowiedni zawdzięczam, że ojciec dał mi zupełną swobodę w poświęceniu się karierze artystycznej; czy sądzisz, że się horoskop urzeczywistni?

— Och, niewątpliwie—odrzekł Leonard spokojnie — niewątpliwie! Bo w tej chwili



jesteś na najlepszej drodze, aby stać się wielkim waryatem.

— Jakto, panie — zawołał malarz — W żywe oczy mi to mówisz?

— Od ciebie zależy — rzekł złotnik — uniknąć niebezpiecznej alternatywy mego horoskopu i zostać dobrym artystą. Twoje rysunki i szkice zapowiadają żywą i bogatą fantazyę, wielką siłę wyrazu i śmiałość planu. Przy takich pierwiastkach można wspaniały gmach wybudować. Zrzecz się tych wszystkich próżnych a przesadnych wymagań mody i oddaj się poważnym studyom. Pochwalam cię, że starasz się odtworzyć godność i prostotę starej sztuki niemieckiej; ale w tych usiłowaniach nawet unikaj niebezpiecznych skał, o które inni się rozbili. Trzeba głębokiego uczucia, duszy energicznej, aby się oprzeć zniewieściałym wpływom sztuki nowoczesnej, aby ująć ducha mistrzów dawnych i przeniknąć treść wewnętrzną ich obrazów; tym sposobem jedynie poczujesz, jak zapłonie w twym sercu ogień zapалу i stworzysz dzieła godne lepszego czasu. Ale dziś młodzi ludzie wyobrażają sobie, że, gdy namalują oblicza surowe, twarze łokciowe, szaty wy-

dęte i kanciaste oraz fałszywą perspektywę — wykonali dzieło na sposób dawnych mistrzów. Ci naśladowcy bez ducha i bez życia są podobni do chłopów, którzy w kościołach szepcą modlitwy łacińskie, nie rozumiejąc ich treści, choć melodyę umieją powtórzyć.

Złotnik wypowiedział jeszcze niejedną rozsądną i niejedną podniosłą uwagę o sztuce, i dał Edmundowi tyle dobrych wskazówek, że ten, zdziwiony, zapytał, jakim sposobem Leonard zdobył sobie tyle wiadomości, nie będąc sam malarzem i dlaczego żyje nie znany nikomu, gdy mógłby potężnie wpływać na rozwój sztuki.

— Mówiłem ci już — rzekł złotnik tonem łagodnym i poważnym, że długie i nawet cudowne doświadczenie dało przenikliwość mojej władzy sądzenia i memu spojrzeniu. Co do mego sposobu życia, to wiem, że wszędzie bym wyglądał dziwnie, co wypływa nie tylko z mojej organizacyi, ale też z poczucia pewnej potęgi, która się mieści we mnie, a wszystko to zamąciłoby mój spokojny żywot. Często myślę o człowieku, który mógłby być pod pewnymi względami moim przodkiem,

a z którym utożsamilem się tak doskonale co do ciała i ducha, że nieraz mi przychodzi osobiwa myśl, jakobym był nim samym. Ten, o którym mówię, był to szwajcar, Leonard Turmhauser z Thurm, który, w r. 1582 żył tutaj na dworze elektora Jana Jerzego. Owymi czasy, jak to wiesz, każdy chemik był alchemikiem a każdy astronom nazywał się astrologiem. Turmhauser był jednym i drugim. Rzecz pewna, iż dokonał rzeczy najdziwniejszych i że między innemi odznaczył się jako znakomity lekarz. Miał jednak tę wadę, że wszędzie wystawiał na widok publiczny swoją naukę, że chciał się wtrącać do wszystkiego radą i czynem. Próżność ta obudziła przeciw niemu zazdrość i nienawiść; elektora zapewniano, że Turmhauser umie robić złoto, a on tymczasem, czy że nie znał tej roboty, czy też z innych powodów, uparcie odmawiał zająć się tą sprawą. Wtedy nieprzyjaciele Turmhau-sera jęli szeptać elektorowi:

— Patrzcie, jaki to człowiek bezczelny! Chwali się wiedzą, której niema, oddaje się różnym złowrogim praktykom. Powinien zginąć haniebną śmiercią, jak żyd Lippold.

Wiadomo, że Turmhauser był złotnikiem, a zaprzeczano mu wszelkiej nauki, której przecież dał dowody niezbite. Puszczono pogłoskę, że nie on sam ułożył, ale za pieniądze kupił mądre księgi i przepowiednie, które ogłosił.

Nienawiść, potwarz, doszły do takiego stopnia, że, aby uniknąć losu żyda Lippolda—Turmhauser musiał potajemnie uciec z kraju. Nieprzyjaciele jego mówili, jakoby miał przystać do papistów, ale to fałsz. Ukrył się w Saksonii i dalej prowadził swój zawód złotnika, nie wyrzekając się nauki.

Edmund czuł się mocno pociągniętym ku staremu złotnikowi a ten mu się wywdzięczał zaufaniem i szacunkiem, nie tylko za pomocą poważnej krytyki, ale też ucząc go różnych tajemnic, znanych starym malarzom co do wyrobu i mieszania farb.

Tak zadzierzgnął się między Edmundem i starym Leonardem związek w rodzaju tych, jakie się układają pomiędzy uczniem wielkich nadziei a mistrzem tklwym i pobłażliwym.

W jakiś czas potem, pewnego wieczoru letniego, w parku radca Melchior Voswin-

kel nie mógł mimo starań zapalić żadnego ze swoich cygar; rzucał je na ziemię jedno po drugim i z gniewem krzyczał:

— O Boże, ileż to się nastarałem, ileż wydałem pieniędzy, aby te cygara sprowadzić z Hamburga! I oto mi się psuje ta miła przyjemność! Jakże teraz mógłbym się należycie przyglądać pięknej naturze i pograżyć w użytecznych rozmyślaniach? To okropne!

Mówił niejako te słowa do Edmunda, który siedział koło niego, a którego cygaro paliło się żywo i radośnie. Jakkolwiek Edmund nie znał radcy, wyjął z kieszeni pudełko cygar i po przyjacielsku je przedstawił nieszczęśliwemu sąsiadowi, zapewniając go, że odpowiada za doskonałość tytoniu, choć ten nie pochodzi wprost z Hamburga.

Radca ożywił się nagle i pełny radości, wziął jedno z cygar, dziękując serdecznie i natychmiast je zapalił, z rozkoszą się przyglądając lekkim, srebrnym obłoczkom dymu, spiralnie w górę się unoszącym.

— O, drogi panie — zawołał — wyprowadzasz mię z przykrego położenia. Dziękuję panu jeszcze sto razy i ośmielę się nawet być tyle bezczelnym, aby pana

poprosić o drugie cygaro, kiedy to wypałę.

Edmund ofiarował mu do rozporządzenia swe pudełko i pożegnali się.

Artysta, zajęty pewnym pomysłem, który chciał namalować, przedzierać się zaczął przez tłum, aby swobodnie przebrnąć w pustszą aleję, gdy nagle radca znalazł się przed nim i pytał go życzliwie, czy nie zechciałby zasiąść z nim razem przy jednym stoliku.

Edmund już o mało co nie odmówił staremu, gdy przy stoliku, gdzie radca ofiarował mu miejsce, ujrzał młodą pannę, zachwycającej piękności i wdzięku.

— To moja córka Albertyna — rzekł radca Edmundowi, który na nią spoglądał nieruchomo tak, że zapomniał się jej ukłonić. Poznał w Albertynie prześliczną osobę, którą rok temu widział na wystawie, gdy właśnie stała przed jednym z jego obrazów; wyjaśniała umiejętnie pewnej starszej damie i dwom panienkom, które jej towarzyszyły, znaczenie tego fantastycznego malowidła. Badała kolejno rysunek kompozycji, chwaliła autora tego dzieła i mówiła, że musi to być artysta pełen talentu i że byłaby rada go



poznać. Edmund, stojąc za nią, rozkoszował się temi pochwałami, wypowiadaniem przez tak różowe usta. Serce drżało mu z trwogi i radości i chciał się przedstawić jako twórca obrazu. W tej samej chwili Albertynie wypadła z dłoni rękawiczka. Edmund nachyla się, by ją podnieść, Albertyna podobnież — i oto uderzają się głowami; Albertyna wydaje okrzyk bólu.

Edmund cofa się przerażony, wchodzi na nogi małego psiaka, którego jakaś starsza dama prowadzi na sznurku, aż pies zaskowyczał; potem nasz artysta depce odciski jakiegoś tłustego profesora, który zaryczał okrutnie i do wszystkich dyabłów posyła młodzieńca. Przybiegają ze wszech stron; wszystkie lornety skierowane są na biednego Edmunda, który, wśród skowytu pinczera, przekleństw profesora, obelg starszej pani, szyderstwa panien — ucieka zawstydzony, gdy kilka kobiet śpieszy na pomoc Albertynie i pociera jej skronie wodą pachnącą.

W tym momencie krytycznym, Edmund zakochał się, sam nie wiedząc jak, i przykre uczucie niezgrabności było mu jedyną przeszkodą, że nie poszukiwał

panny po wszystkich krańcach miasta. Nie mógł jej sobie wyobrazić inaczej jak z napuchniętem czołem i z gniewem na twarzy; ale tegoż wieczoru niktby nie dostrzegł śladów tego zdarzenia. Coprawda, Albertyna bardzo się zarumieniła i była wielce zmieszana na widok młodzieńca, ale gdy radca zapytał Edmunda o imię i stanowisko, panna z uśmiechem powiedziała, że rozpoznaje w nim świetnego artystę, którego rysunki i malowidła oglądała z głębokiem wzruszeniem.

Można sobie wyobrazić żywe wrażenie, jakie te słowa wywarły na młodego malarza. W zachwycie chciał pannie złożyć tysiączne podziękowania, gdy nagle radca go zatrzymał i rzecze:

— A więc, mój drogi, gdzież to cygaro, któreś mi obiecał?—Poczem mówił dalej:

— A zatem jesteś malarzem i do dobrym malarzem, jak powiada moja córka, która się na tem zna doskonale. Raduje mię to wielce; lubię malarstwo albo raczej sztukę, żeby powiedzieć jak moja córka Albertyna. Nie dam się oszukać: jestem znawcą, prawdziwym znawcą obrazów i nikomu się nie uda zwieść mię, abym wziął Iksa za Ygreka. Powiedz mi szcze-

rze, drogi artysto, pominąwszy wszelką niepotrzebną skromność, czy to nie ty jesteś owym zręcznym malarzem, którego obrazy codzień, przechodząc, oglądam, a których świetne barwy codziennie podziwiam.

Edmund nie rozumiał dobrze, o jakich obrazach chciał mówić radca. Wreszcie, rozpytawszy się należycie, znalazł, że Melchior Voswinkel miał na oku poprostu tace lakowe, ekrany i inne tego rodzaju dzieła, które istotnie oglądał co rana z prawidłowym zachwytem, przechodząc obok wystawy bogatego magazynu Staubwassera. To właśnie uważał za doskonałą sztukę. Edmund nie bardzo czuł się pochlebiony podobnym komplementem i kłął radcę, który mu przeszkadzał rozmawiać z Albertyną. W końcu ktoś ze znajomych zbliżył się do radcy i wdał się z nim w długą rozmowę, z czego Edmund skorzystał, by się przybliżyć do Albertyny, która bynajmniej z tego nie była niezadowolona.

Wszyscy, którzy znają Albertynę, wiedzą, że jest to wcielenie młodości, wdzięku i piękności; że się ubiera ze smakiem podług ostatniej mody, że śpiewa w Aka-

demii Muzycznej, że brała lekcye fortepianu od najlepszych nauczycieli, że naśladować umie piruety najpierwszej tancerki, że potrafi kopiować kwiaty z doskonałą umiejętnością, że jest z natury wesoła i pełna równowagi. Każdy też wie, że nosi przy sobie mały sztambuch w safianowej okładce, że złożonymi brzegami i że wypisuje w nim sobie najpiękniejsze myśli, jakie znaleźć można w dziełach Goethego, Jean-Paula i innych wybitnych pisarzy i наконец powszechnie wiadomo, że nie robi nigdy błędów gramatycznych.

Albertyna, siedząc obok pełnego zapału malarza, doznała wzruszenia daleko żywszego, niż je odczuwała w towarzystwie zwykłym i głosem melodyjnym szeptała miłe słowa.

Wiatr wieczorny zaczął szumieć, unosząc na skrzydłach zapach kwiatów. W gęstym gaju słowiki wyśpiewywały swoje tęsknoty miłosne. Wówczas Albertyna zaczęła mówić wiersz z poezyi Fouqué'go:

Szelesty i szumy wiosny  
Przez gajów płyną zagłusze:  
Niby sidła, żar miłosny —  
Pęta nam ciało i duszę.

Ośmielony ciemnością, Edmund ujął rękę Albertyny i przycisnął ją do serca, przyczem mówił dalej:

Gdym śpiewał, to, co tak rzewnie  
 Wieści to życie serdeczne:  
 Zda się w mą pierś wnikło śpiewnie  
 Miłowania światło wieczne.

Panna wyrwała mu rękę, ale po to tylko, by zdjąć rękawiczkę i dłoń obnażoną pozostawić szczęśliwemu Edmundowi, który już miał ją okryć pocałunkami, gdy naraz zbliżył się radca:

— Wieczór staje się chłodny; szkoda, że nie wziąłem płaszcza lub okrycia; owiń się szalem, moja Albertyno! Jest to szal turecki, kochany panie malarzu, za który zapłaciłem pięćdziesiąt dukatów. Owiń się nim i wracajmy. Do widzenia, drogi przyjacielu!

Edmund, kierowany delikatnym taktem, w tej chwili wyjął pudełko i ofiarował radcy nowe cygaro.

— Dzięki, dzięki po tysiąc razy — zawołał Mechior — jesteś niezmiernie uprzejmy. Policya nie pozwala w ogrodzie palić w czasie przechadzki, to też cygaro wyda mi się tem lepsze.

Gdy radca zbliżał się do latarni, by zapalić cygaro, Edmund nieśmiało zapytał Albertynę, czy pozwoli sobie towarzyszyć. Wzięła go za ramię i oboje poszli razem, a gdy radca ich dogonił, zdawałoby się, że przewidział, iż Edmund wraz z nimi pójdzie do miasta.

Ktokolwiek był młody i zakochany, albo jest jeszcze młody i zakochany — zrozumie, że Edmund krocząc obok Albertyny, nie sądził, że jest w lesie, ale w najwyższych obłokach, koło jakiej istoty nadziemskiej.

Podług Szekspirowskiej Rozalindy oto z jakich cech można rozpoznać zakochanego: policzki obwisłe, oczy podsiniałe, umysł roztargniony, broda nieuczesana, podwiązki rozplątane, czapka na wywrót położona, rękawy niezapięte, trzewiki nie zasnurowane i rozpaczliwa niedbałość we wszystkich rzeczach.

Edmund nie objawiał tych wszystkich osobliwości, ale jak zakochany Orlando niszczył wszystkie drzewa, wypisując na ich korze imię Rozalindy, tak Edmund zmarnował niemało papieru, pergaminu, płótna, farb, aby opiewać swą ukochaną lichym wierszem i aby ją rysować i ma-



lować, nie dosięgając nigdy obrazu, jaki widział w imaginacyi. Ponieważ przytem nieustannie ciężko wzdychał, zdarzyło się, że stary złotnik w krótkim czasie odkrył tajemnicę swego młodego przyjaciela. Na pierwsze zapytanie, Edmund natychmiast otworzył przed nim swe serce.

— Jakto — zawołał — czyżbyś o tem myślał na prawdę? Nie wolno kochać cudzej narzeczonej. Albertyna jest prawie zaręczona z sekretarzem tajnym Tussmanem.

Na tę okropną wiadomość, Edmund wpadł w gwałtowną rozpacz. Leonard spokojnie oczekiwał, póki się jego paroksyzm nie skończy i pytał go, czy poważnie marzy o małżeństwie z Albertyną. Edmund zapewniał, że to jego najgorętsze życzenie i błagał starego przyjaciela, aby ten całej swej potęgi użył, by mu dopomódz i usunąć sekretarza.

Złotnik mu odrzeczł, że za bardzo właściwe uważał, aby młody artysta był zakochany, co nie znaczy, aby myślał się żenić. Tak młody Sternbald nigdy się nie mógł na to zdecydować. Ta uwaga uderzyła Edmunda, który chętnie odczytywał

*Sternbalda Tiecka* i bardzoby pragnął być bohaterem tego romansu.

— A więc dobrze! Niech będzie co chce — rzekł w końcu złotnik — oswobodzę cię od twego rywala, a ty wciśniesz się do domu radcy i postarasz się przybliżyć do Albertyny. Moje operacye mogą jednak się zacząć dopiero w czas zrównania dnia z nocą.

Widzieliśmy w jaki sposób złotnik zabrał się do rzeczy, aby usunąć sekretarza tajnego.

### ROZDZIAŁ III,

zawiera rysopis tajnego sekretarza Tussmana oraz przyczyny, dla których musiał on zleść z konia wielkiego kurfirsta — a nadto wiele innych godnych czytania rzeczy.

Ze wszystkiego, co wiesz, drogi czytelniku, o prywatnym sekretarzu kancelaryi Tussmanie, możesz sobie wyobrazić tego człowieka i jego maniery. Dodam, co się tyczy jego postaci zewnętrznej, że był to człowiek małego wzrostu, łysy, przygarbiony nieco i poprostu śmieszny. Nośił surduł wycięty dawną modą, z połami niepomiernej długości, nie mniej długą kamizelkę, szerokie spodnie, trzewiki skrzy-

piące jak buty robotnika, a ponieważ, zamiast kroczyć równym krokiem po ulicach, biegł w poskokach i w susach, poły surduta, wiatrem unoszone, latały jak skrzydła. Choć jego twarz była bardzo zabawna, pocciwy uśmiech, błędzący mu po ustach, wywoływał dla niego życzliwość i lubiono go wogóle, pomimo jego pedantyzm i niezgrabność. Jego namiętnością było czytanie: wychodząc z domu, zawsze miał kieszenie, pełne książek; czytał wszędzie, gdzie się pokazał: na przechadzce, w kościele, w kawiarni; czytał bez wyboru wszystko, na co natrafił, aby tylko była mowa o dawnych czasach, bo nowych nie cierpiał. Tak jednego wieczoru naprzykład czytał w kawiarni starą algebrę, nazajutrz regulamin kawalerii Fryderyka Wilhelma I, potem cudowne dzieło p. t. *Cycero wyobrażony w dziesięciu mowach, jako wielki gaduła i wielki blagier*, 1720. Tussman posiadał nadzwyczajną pamięć; notował zwykle wszystko, co go w książce uderzyło, potem odczytywał swe noty i nigdy ich nie zapominał. W ten sposób stał się polyhistorem, encyklopedyą żywą, którą przerzucał każdy, co potrzebował jakiejś informacyi historycz-

nej czy naukowej. Jeżeli się zdarzyło, że nie mógł dać natychmiast żądanej wiadomości, w tej chwili zaczynał poszukiwania po wszystkich bibliotekach, aż nakoniec znalazł, o co mu chodziło i powracał z radością, przynosząc odpowiedź. Rzecz szczególna, że pozornie zaabsorbowany w czytaniu, słyszał wszystko, o czym mówiono dokoła niego. Często się wtrącał do rozmowy z jakąś rozsądną uwagą, a jeżeli ktoś powiedział jakie słowo dowcipne lub zabawne, wówczas, nie podnosząc oczu od książki, przyklaskiwał głośnym śmiechem.

Radca Voswinkel był w szkole mnichów szarych z sekretarzem i od owych czasów datowała ich ścisła przyjaźń. Albertyna rosła w oczach Tussmana, a gdy miała lat dwadzieścia, przyniósł jej piękny bukiet i pocałował ją w rękę z galanterią, jakiejbyś nie oczekiwał od niego. Od tego dnia, radca postanowił ożenić swego starego kolegę z Albertyną; miał nadzieję, że Tussman zadowoli się skromnym posagiem i w ośmnastą rocznicę urodzin córki, objawił sekretarzowi projekt, który dotychczas utrzymywał w tajemnicy. Ten był przerażony słowami sta-

rego kolegi: nie śmiał oddać się zuchwalej myśli, by zawrzeć małżeństwo, a zwłaszcza z młodą panną. Zwolna jednak przywykł do tej idei i poczuł, jak serce mu zapłonęło gorącą miłością w dniu, w którym Albertyna ofiarowała mu sakiewkę wyhaftowaną własnoręcznie. Oświadczył wtedy radcy, że postanowił się ożenić, a ponieważ ten ucałował go, tytułując swym zięciem, pocziwy Tussman zaczął się uważać za małżonka Albertyny, choć panna ani słowa o tem nie słyszała i nie miała najmniejszego przypuszczenia co do tych projektów.

Nazajutrz rano po owej nocy, kiedy sekretarza spotkała dziwna przygoda pod starą wieżą ratuszową i na placu Aleksandra, ten, blady i w bezładnych sukniach, przybył do swego starego przyjaciela. Radca był nie mało przerażony na widok Tussmana, przybywającego tak wczesnym rankiem i postrzegając wyraz wstrząśnień moralnych, na jego fizjonomii odbity, zawołał:

— Drogi sekretarzu, skąd przychodzisz? Co znaczy ta przerażona twarz i co się zdarzyło?

Tussman rzucił się w fotel i po kilku mi-

nutach ciężkiego wzdychania, zaczął mówić drżącym głosem:

— Przyjacielu, jak mnie widzisz z tem ubraniem i *Traktatem Mądrości Politycznej* w kieszeni, przybywam z ulicy Szpan-dawskiej, po której tłukłem się całą noc od wczoraj. Nie wróciłem do domu; nie widziałem swego łóżka; nie zamknąłem oka.

Wówczas Tussman zaczął opowiadać wszystko, co mu się nocy poprzedniej wydarzyło, poczynawszy od pierwszego spotkania z bajecznym złotnikiem, aż do chwili, w której uciekł z winiarni, przerażony wszystkim, co się tam działo.

— Mój drogi sekretarzu, — rzekł radca — wbrew przyzwyczajeniu piłeś zadużo i miałeś sny dziwadlane!

— Jakto? — zawołał Tussman — więc ci się zdaje, że spałem, że roilem? Czy myślisz, że nie wiem, co to jest sen, a co marzenie? Mogę ci rozwinąć teorię Nudowa co do snu — i dowieść, że można spać bez marzeń; dla tego Hamlet mówi: Spać, może marzyć! Co do widzeń sennych, to wiedziałbyś w tym przedmiocie tyleż co ja, gdybyś był czytał *Somnium*



*Scipionis* oraz sławne dzieło Artemidora o marzeniach i *Księgę snów* wydaną we Frankfurcie. Ale ty nie czytasz nic i zawsze wydajesz fałszywe sądy.

— No, no — rzekł radca, — uspokój się; wierzę ci, że wpadłeś wczoraj w ręce jakichś szarlatanów, którzy sobie zadrwili z ciebie i zabawili się tobą, ale powiedz mi, dlaczego opuściwszy winiarnię, nie wróciłeś do domu raczej, zamiast włóczyć się całą noc po ulicach?

— Drogi radco! -- zawołał sekretarz tajny, — drogi towarzysz ze szkoły mniichów szarych, nie obrażaj mej boleści obelżywem zwątpieniem; ale dowiedz się, że ta dyabelska przygoda w najlepszy sposób rozwijała się dalej, kiedy byłem na ulicy. Podeszedłszy do ratusza, ujrzałem wszystkie okna oświetlone, usłyszałem odgłos tańca i wesołą muzykę z towarzyszeniem bębna janczarskiego. Nie wiem, jak się to stało, że choć nie jestem wysokiego wzrostu, jednak stanawszy na palcach, zdołałem rozróżnić widowisko, odbywające się wewnątrz budynku. Cóżem obaczył, Stwórco niebieski!? Córka twoja, panna Albertyna, przybrana w świetny strój weselny tańczyła szalenie z jakimś

młodzieńcem. Uderzam w okno i wołam: „Czcigodna panno Albertyno, co czynisz, o czem myślisz w tej godzinie?“ W tej samej chwili jakaś istota ohydna wchodzi z ulicy Królewskiej, w biegu obrywa mi nogi od ciała i ucieka z wybuchami śmiechu. Ja, nieszczęsny sekretarz prywatny, upadłem w błoto i krzyczę: „Straże nocne, łucznicy policyjni, patrole przeznaczne — przybywajcie, przybywajcie na pomoc! Zatrzymajcie nędznika, co mi ukradł nogi!“ Ale naraz wszystko pociemniało i zamilkło w Ratuszu, a mój głos przepada w powietrzu. Gdy zaś ja tonę cały w rozpacz, widziadło ukazuje się powtórnie i nogi w twarz mi ciska. Powstaję i pędzę w ulicę Szpan-dawską. I otóż, gdy chcę klucz włożyć we drzwi swego domu, widzę samego siebie, tak, samego siebie przed sobą; patrzę na siebie temi samemi wielkimi, czarnemi oczami, jakie mam pod rzęsą—cofam się ze zgrozą—i wpadam na człowieka, który mnie obejmuje mocną ręką. Z halabardy w jego rękach, poznaję, że to strażnik nocny: „Ach, mój miły człowieku, mówię, uczyni mi tę przyjemność i przepędź tego łajdaka, sekretarza tajnego Tussma-

na, abym ja, prawdziwy, uczciwy Tussman, mógł wejść do swego mieszkania“.

— Zdaje mi się, żeś dostał bzika — odpowiada mi ten człowiek głosem bezdźwięcznym; i poznaję strasznego złotnika. Zgroza mię ogarnęła i zimnym potem zrosiło się me czoło: „Mój szanowny profesorze, rzekłem mu drżąc, wybacz mi, jeżeli w ciemności wziąłem cię za stróża nocnego. Nazywaj mię, jak chcesz; mów „panie Tussman“ po prostu albo nawet „mój kochany“; traktuj mnie jako sługę, zniosę wszystko; tylko błagam cię, uwolnij mnie od tego czarnoksiężstwa, które tej nocy rzuciłeś na mnie“.

— Tussman, — odparł mi ten złowrogi czarownik — unikniesz na zawsze tego rodzaju przypadków, jeżeli mi przysięgniesz natychmiast, że się wyrzekasz swego małżeństwa z Albertyną.

Możesz sobie wyobrazić, drogi radco, co za wrażenie wywołały we mnie te okropne słowa.

— Szanowny profesorze, — odparłem — do krwi ranisz mi serce. Walc jest to taniec nieprzyzwoity, a panna Albertyna, moja narzeczona, walcowała z jakimś nieznajomym młodzieńcem w sposób taki,

że traciłem zmysły. A przecież nie mogę się jej wyrzec, nie, nie mogę!

Zaledwie wyrzekłem te słowa, gdy przeklęty złotnik uderzył mnie tak gwałtownie, że zacząłem się kręcić dokoła samego siebie. Pchany jakąś niezwalczoną siłą, bez wytchnienia tańczyłem walca w ulicy Szpandawskiej i trzymałem w ręku brudną miotłę, która mi twarz drapała, gdy psy niewidzialne szarpały mi grzbiet, a tysiące sekretarzy Tussmanów kręciło się dokoła mnie z miotłami w rękach. Na koniec upadłem bez przytomności. Gdy zaczynało świtać i gdym oczy otworzył, wyobraź sobie moje przerażenie, siedziałem na koniu statui wielkiego elektora, z głową opartą o zimne piersi ze spiżu. Szczęściem, straż była uśpiona, tak że mogłem zejść niepostrzeżony, lecz bądź jak bądź, mogłem kark złamać. Uciekłem wtedy w stronę ulicy Szpandawskiej, a jakiś przestrah niewytłomaczony pociągnął mię ku tobie.

— Nie sądzisz chyba, drogi sekretarzu, — rzekł radca, — abym mógł uwierzyć w twoje wszystkie szaleństwa. Czy kto słyszał o takich czarodziejskich sztukach w naszym, tak oświeconem mieście?

— A więc — widzisz, drogi przyjacielu, jaki popełniasz błąd, że nic nie czytasz. Gdybyś tylko czytał jak ja *Microchro-nicon Marchicum* Haftitiusa, rektora dwóch szkół w Berlinie i w Kolonii, to byś wiedział, że bywało tu i wiele innych rzeczy. Ostatecznie, skłonny jestem do wiary, że złotnik to dyabeł we własnej osobie, który mnie prześladowuje i dręczy.

— Proszę cię, drogi sekretarzu, oszczędź mi tych dziecinnych guślarstw; uspokój się i wyznaj, żeś pił nieco za wiele i że w stanie podchmielonym włazłeś na konia wielkiego elektora.

Sekretarz, słysząc to podejrzenie, zaczął płakać i wszelkimi siłami starał się je rozproszyć.

Radca przybrał minę poważniejszą, a ponieważ jego przyjaciel nieustannie dowodził, że wszystko odbyło się tak właśnie, jak on to opowiedział, rzekł wreszcie:

— Słuchaj, im bardziej rozmyślam nad tem, co mi tu opowiadasz o złotniku i starym żydzie, z którymi całą noc przepełdziłeś na pijaństwie, wbrew swoim trzeźwym i skromnym obyczajom, tem bar-

dziej zdaje mi się pewnem, że ów żyd to mój stary Manasse, a złotnik — to zapewne Leonard, który czasami bywa w Berlinie. Nie czytałem tyle książek co ty, ale to nie jest konieczne, aby wiedzieć, że ci dwaj twoi nieznajomi, są to ludzie prości i poczciwi, którzy nie uprawiają żadnych sztuk czarnoksięskich. Dziwię się, jak ty przy swojej znajomości prawa, zapominasz o tem, że wszelka operacya magiczna jest surowo zakazana i że tu w Berlinie rząd nie scierpiałby żadnego czarownika. Słuchaj, kochany kolego, nie chcę przystać na podejrzenie, jakie budzi się we mnie, ale mimowoli przypuszczam, że się chcesz wycofać z małżeństwa z moją córką i wymyśliłeś sobie całą tę fantasmagoryę, aby mōdz mi powiedzieć:

— Drogi radco, musimy się rozłączyć, bo jeżeli się z twoją córką ożenię, to dyabeł ukradnie mi nogi i grzbiet mi rozszarpie. Żleby było z twojej strony, gdybyś mię chciał zwieść w ten sposób.

To nowe podejrzenie wyprowadziło sekretarza z równowagi. Ze łzami w oczach przysięgał, że kocha pannę Albertynę miłością nieskończoną; że jak Leander, jak Troilus umarłby dla niej i przystałby na



wszelkie męczeństwo, nie wyrzekając się nigdy swego uczucia.

Gdy Tussman powtarzał swe zaklęcia, uderzono we drzwi i stary Manasse wszedł do pokoju. Zaledwie Tussman go zobaczył, krzyknął:

— Ojciec niebieski! toż to ów stary żyd, co robił sztuki złota z czarnej rzodkwi. Drugi czarownik pewnie jest niedaleko.

Mówiąc te słowa, miał się ku drzwiom, aby uciec. Radca go zatrzymał i mówi:

— Obaczmyż, co on nam powie.—Potem, zwracając się do Manassego, powtórzył mu opowiadanie Tussmana. Manasse w sposób szczególny uśmiechnął się i odpowiedział:

— Nie wiem, czego ten pan sobie życzy; przyszedł wczoraj wraz ze złotnikiem Leonardem do winiarni, gdzie piłem spokojnie szklanekę wina, po ciężkiej pracy całodziennej; pił nad miarę tak, że nie mógł ustać na nogach i wyszedł chwiejąc się niepewnie.

— Widzisz, mój miły! — zawołał radca. — Mówiłem ci, że wszystkie te zdarzenia pochodzą z twego przekłętego pijaństwa, z którego musisz się poprawić, jeżeli chcesz poślubić moją córkę.

Biedny sekretarz, zniweczony tym zarzutem niezasłużonym, padł nieruchomo na fotel, zamknął oczy i szeptał jakieś niezrozumiałe wyrazy.

— Oto, co się z nimi dzieje: — rzekł radca — piją przez całą noc, a potem są bez siły i bez rozumu.

Pomimo wszelkie zapewnienia, Tussman musiał pozwolić, że mu głowę obwiązano ręcznikiem i że go dorożką odwieziono do domu.

— Cóż nowego? — zapytał radca starego żyda.

Manasse przybrał minę uśmiechniętą i odparł, że radca ani przypuszcza, jakie szczęście go czeka.

Wobec nalegań radcy, żyd powiedział, że jego siostrzeniec Benjamin Dümmerl, młodzieniec piękny, posiadacz pół miliona, odznaczony przez dwór wiedeński tytułem barona dla usług, jakie mu oddał, wrócił świeżo z Włoch, że gorąco się zajął panną Albertyną i prosi o jej rękę.

Często widać młodego barona w teatrze, gdzie się ukazuje w pierwszej łoży; jeszcze częściej bywa na koncertach. Każdy wie, że jest wysoki, chudy jak szczapa, że na żółtej twarzy ma włosy kędzierza-

we i brodę czarną, że zawsze jest ubrany podług najdziwaczniejszej mody krawców angielskich; mówi wielu językami akcentem niemieckim, rzępoli na skrzypcach, dudni na fortepianie, kuje nędzne wiersze, sądzi malarstwo bez smaku i znajomości, udaje dowcipnego i w głupocie swej wyrokuje o wszystkim; słowem, podług opinii ludzi rozsądnych, jest to figura nie do wytrzymania. Nadto, pomimo wielką fortunę, myśli tylko o gromadzeniu pieniędzy i ci nawet, co zazwyczaj plackiem padają wobec bogatych, uciekają od niego.

Radcę w pierwszej chwili olśniło półmilion siostrzeńca Manassego; ale wnet przyszły mu na myśl rozmaite przeszkody, czyniące proponowany mu związek—niemożliwym.

— Mój drogi Manasse, — rzekł — zapominasz, że twój szanowny siostrzeniec jest starej wiary i że...

— Ach, cóż to znaczy?—odparł żyd.— Mój siostrzeniec jest zakochany w córce pana radcy; chce ją uszczęśliwić a parę kropel wody nie przestraszy go. Pomyśl o tym interesie, panie radco; za

parę dni przyjdę z moim baronkiem po odpowiedź ostateczną.

Manasse się oddalił.

Radca dalej rozważał. Ale pomimo chciwość i słabość charakteru, nie mógł się zdecydować na małżeństwo swej córki z tym żydem. W porywie lojalności postanowił dotrzymać słowa staremu koledze.

#### ROZDZIAŁ IV

opowiada o portretach, o zielonej twarzy, o skaczącej myszy i o żydowskim przekleństwie.

W jakiś czas po zaznajomieniu się z Edmundem w ogrodzie botanicznym, Albertyna zauważyła, że portret ojca, zawieszony w jej pokoju był zupełnie nie podobny i namalowany bardzo nieosobliwie. Wykazała panu radcy, że w istocie był on daleko młodszy i przystojniejszy, niż go wyobraził malarz; ganiła ponury wyraz twarzy, przestarzały kostyum, którym portrecista przybrał Melchiora; ganiła bukiet róż, trzymany w palcach, ozdobionych pierścieniami dyamentowymi.

Tak długo przemawiała, że radca w końcu sam znienawidził swój portret

i nie rozumiał, jakim sposobem niezręczny artysta mógł do tego stopnia wykrzywić jego miłą osobę; im bardziej obserwował portret, tem bardziej się w nim budził wstręt do tej ordynarnej roboty. Wreszcie kazał go zdjąć i pomieścić na strychu.

Albertyna uważała, że portret na lepsze miejsce nie zasługuje; jednakże tak nawiąła widzieć w swym pokoju twarz ojca, że ta naga ściana burzyła spokój jej serca. Nie było innego środka, jak raz jeszcze zamówić portret kochanego ojca i poprosić o to umiejętnego artystę a nie masz teraz lepszego malarza, niż młody Edmund, który wykonał tyle dzieł znakomych.

— Córko moja, córko — zawołał radca. — Ci młodzi artyści są tak pełni dumy i tak się cenią, że za najmniejszą pracę nie lękają się żądać sum niesłychanych.

Albertyna zapewniła, że Lehse pracował raczej przez zamiłowanie, niż z konieczności i nie będzie zbyt wymagający. Słowem tak przekonała starego, że radca postanowił zwrócić się do młodego malarza.

Można sobie wyobrazić radość, z jaką

Edmund przyjął zrobioną mu propozycję i jakiego doznał uczucia, gdy się dowiedział, że to Albertyna sama namówiła ojca, aby go wybrał dla tego portretu. Naturalna więc rzecz, że, widząc niepokój radcy co do wymaganej ceny, Edmund zawołał, że nie chce żadnego wynagrodzenia, gdyż czuje się aż nadto szczęśliwy, że będzie mógł użyć swych pędzli do malowania człowieka tak wybitnego, jak pan radca Voswinkel.

— Wielki Boże, — rzekł zdumiony radca — cóż to ja słyszę, drogi panie Edmundzie? Jakto, żadnego wynagrodzenia! Nawet fryderyksdora za płótno i farby?

Edmund opowiedział z uśmiechem, że to drobnostka, o której niema potrzeby mówić.

— Ale — rzekł radca głosem słodkawym, — pan może nie wie, że tu idzie o portret wielkości naturalnej?

— Nic to nie znaczy — odparł Edmund.

Na te słowa radca rzucił się w ramiona młodego malarza i ze łzami rozrzewnienia w oczach, mówił:

— Ojcze Niebieski! więc jeszcze są na tym złym świecie dusze tak szlachetne i tak podniosłe! Dajesz mi swoje cygara,



potem robisz mój portret! Jesteś doskonałym młodzieńcem, albo, by rzec lepiej, jesteś człowiekiem podniosłym. W tobie żyje cnota i poczciwość niemiecka dawnych czasów, o czym mówią tradycye. Ale wierz mi, choć jestem radcą i choć noszę się po francusku, potrafię ocenić szlachetność twego ducha i mogę się pokazać nie mniej szlachetnym jak ty, Edmundzie!

Zręczna Albertyna przewidziała, co się stanie. Jej zamiary się urzeczywistniły. Radca bez wytchnienia wysławiał młodzieńca i jego bezinteresowność. Mówił, że młodzi ludzie, a zwłaszcza malarze, mają w umyśle coś fantastycznego i romantycznego, z czego wynika, że tyle wartości przypisują kwiatom powiędłym, wstążkom noszonym przez młodą pannę lub jakiejś robótce, wykonanej ładnymi jej rączkami. Pozwolił Albertynie haftować dla Edmunda małą sakiewkę, do której miałyby dodać loczek swoich jasnych włosów; wystarczało to, aby uszczęśliwić młodego artystę, a radca zobowiązał się całą sprawę objaśnić sekretarzowi Tussmanowi.

Albertyna, która jeszcze nic nie wiedzia-

ła o projektach swego ojca, nie rozumiała, dlaczego ten mówił o Tussmanie i nie zwróciła na to uwagi.

Tegoż wieczora Edmund kazał przynieść do domu radcy stawidło i farby i nazajutrz zaczęto pierwsze posiedzenie.

Prosił radcę, aby ten uniósł się myślą w najszczęśliwszy moment swego życia, jak na przykład kiedy jego nieboszczka żona przysięgła mu wieczną miłość, albo kiedy przyszła na świat Albertyna, albo kiedy zobaczył naraz przyjaciela, którego miał za utraconego...

— Stój! — zawołał radca. — Mniej więcej trzy miesiące temu otrzymałem list z Hamburga, donoszący mi, że wygrałem znaczną sumę na tamecznej loteryi. Z otwartym listem w ręku pobiegłem do swej córki: nigdy nie miałem słodszy momentu w życiu. Wybierzmy ten moment i aby to było jak najoczywistsze dla wszystkich, wezmę ten list i tak go trzymać będę w ręku, jak go trzymałem wówczas.

Edmund zmuszony był malować radcę z tym listem, na którym wyraźnie czytano: „Mam zaszczyt zawiadomić W Pana, że... i t. d.“.

Na małym stoliku, postawionym obok, radca położył kopertę, na której był napis:

W-ny Pan Radca Komisyjny,  
Melchior Voswinkel,

Ławnik i Syndyk i t. d...  
w Berlinie.

Edmund miał nie zapomnieć w obrazie swoim odtworzyć tej koperty wraz ze stemplem pocztowym. Wymalował człowieka tłuściutkiego, jowialnego, dobrze ubranego, który miał niejaki podobieństwo z radcą, tak, że, czytając adres listu, nie omyliłbyś się nigdy co do osoby, wystawionej na tym portrecie.

Radca był zachwycony.

— Widać z tego — mówił — jak umiejętny artysta zręcznie uchwyci to, co w fizyonomii jest najprzyjemniejszego i z portretu umie zrobić obraz historyczny.

Ilekoć teraz spoglądał na swe oblicze, przypominał sobie szczęśliwy dzień, w którym wygrał na loteryi i przybierał uśmiechnięty wyraz na twarzy rozlany.

Zanim Albertyna wypowiedziała to życzenie, radca prosił artystę, aby namalował także portret córki. Edmund na-

tychmiast zabrał się do roboty; ale ten portret nie postępował tak szybko i nie udawał się tak dobrze, jak portret ojca.

Edmund rysował i ścierał, rysował znowu, zabierał się do malowania, zmieniał postawę. Już to światło było zbyt błyszczące, już to zbyt ciemne, tak że radca wreszcie stracił cierpliwość i zaprzestał bywać na posiedzeniach.

Edmund przychodził pracować rano i wieczór, a jeżeli portret mało co posuwał się naprzód, to wzamian za to stosunki młodego malarza z Albertyną z dnia na dzień lepiej się utrwały.

Niewątpliwie, drogi czytelniku, doświadczyłeś sam na sobie, że kto jest zakochany, ten, aby więcej siły nadać swoim zakłębciom, przemówieniom i westchnieniom, musi brać za rękę tę, którą kocha, przyciskać ją do serca i całować. Można powiedzieć, że jakiś pierwiastek elektryczny pociąga usta ku ustom i że ten pierwiastek objawia się w słodkich ogniach pocałunku. Nie było też nic dziwnego, że Edmund dość często opuszczał swoje malowidło, aby użyć tego serdeczniejszego środka rozmowy.

Pewnego dnia był z Albertyną około

okna i aby dać, jak powiedzieliśmy, więcej wagi swoim słowom, nieustannie zbliżał do ust rękę panny.

W tej samej godzinie i w tym samym momencie sekretarz Tussman przechodził koło domu radcy, niosąc w kieszeni *Ma-drość polityczną* i inne książki w pergamin oprawne, a łączące przyjemność z pożytkiem.

Choć według zwyczaju posuwał się w skokach, gdyż zbliżała się godzina, o której miał być w biurze, zatrzymał się na chwilę i rzucił spojrzenie ku oknu swej narzeczonej.

Zobaczył wtedy, niby w obłoku, Edmunda i Albertynę: nie mógł jasno ich rozróżnić, ale czuł, że mu serce uderza, niewiadomo dlaczego. Niepokój osobliwy wywołał w nim postanowienie niespodziane, aby wstąpić do radcy w godzinie niezwyklej i iść wprost do Albertyny.

W chwili, gdy wchodził do pokoju, Albertyna mówiła bardzo wyraźnie:

— Tak, Edmundzie, kochać cię będę wiecznie — — wiecznie! — I, wymawiając te słowa, przyciskała młodzieńca do łona, a snop iskier rozlewał się z pierwiastku elektrycznego, o którym była mowa.

Sekretarz prywatny machinalnie ruszył naprzód; stanął nieśmiały, nieruchomy — w środku pokoju — jakby uderzony katalepszą.

W upojeniu radości zakochani nie słyszeli głośnego skrzypienia butów sekretarza ani też zgrzytu drzwi, które się otwarły.

Naraz falsetem przemówił głos:

— Ależ, panno Albertyno!

Kochankowie przerażeni rozłączyli się. Edmund pobiegł ku stawidłu, Albertyna zaś siadła na fotel, na którym miała siedzieć dla pozowania.

— Ależ, panno Albertyno, — rzekł tchu nabierając radca — co ty robisz? co ty sobie myślisz? Naprzód tańczysz walc z młodzieńcem, którego nie mam zaszczytu znać, tańczysz o północy w Ratuszu w taki sposób, że ja tracę rozum; potem w jasny dzień znajduję cię u okna... O, sprawiedliwy Boże, jest-że to zachowanie uczciwe dla narzeczonej?

— Któż tu jest narzeczoną?—zawołała Albertyna. — O kim pan mówi, panie sekretarzu prywatny? Odpowiadaj.

— O, Stwórco nieba — rzekł z jękiem Tussman — pytasz mnie jeszcze, szlache-



tna panienko, o kim ja mówię? O kim-że, jeżeli nie o pani? Czyliż nie jesteś moją tkliwą, czcigodną narzeczoną? Twój szanowny ojciec czyż mi nie obiecał tej pięknej rączki, tak białej i tak miłej do całowania?

— Panie sekretarzu — odparła rozdrażniona Albertyna, — albo już pan pił w szynkowni, którą zbyt często odwiedzasz, o ile mam wierzyć ojcu, albo też jesteś ofiarą szczególnego obłądu. Nie podobna, by mój ojciec pomyślał nawet o tem, by ci ofiarować mą rękę.

— Droga panno Albertyno, — odparł sekretarz — pomyśl sobie: znasz mnie od dawna, czyż nie byłem zawsze człowiekiem trzeźwym i rozważnym i czy mógłbym naraz oddać się pijaństwu i szaleństwu? Droga panno, zamknę oczy, zamilczę o tem co widziałem, zapomnę o wszystkim; ale pomyśl, że mi dałaś swe przyzwolenie dziś o północy w starym Ratuszu i chociaż tańczyłaś walca tej nocy z tym młodym człowiekiem, to jednak...

— Ależ panie — zawołała Albertyna — pan bredzi jak człowiek, który uciekł z do-

mu obłąkanych! Idź sobie — boję się pana! Idź sobie, mówię i daj mi pokój.

Oczy biednego Tussmana zapełniły się łzami.

— O Boże sprawiedliwy — szeptał — widzieć się traktowanym w ten sposób przez swoją zachwycającą narzeczoną! Nie, ja nie odejdę! Zostanę, póki nie oddasz sprawiedliwości mojej nędznej osobie.

— Wynoś się pan! — zawołała głucho Albertyna, uchodząc na drugi koniec pokoju.

— Nie — odparł sekretarz. Podług mądrych przepisów Tomasiusa powinienem zostać i zostanę tu, dopóki...

Tu rzucił się w pościgu za Albertyną.

Edmund, szalonym gniewem przejęty, suwał tymczasem pędzłami po swem płótnie. Wreszcie nie mógł wytrzymać:

— Przeklęty szatanie! — zawołał i, poskoczywszy ku Tussmanowi, dwa lub trzy razy pociągnął po jego twarzy pędzlem, przesyconym zielonymi kolorami, poczem otworzył drzwi i gwałtownem uderzeniem wyrzucił go za drzwi jak strzałę.

Radca wracał do siebie w chwili, kiedy

jego stary kolega, tak poplamiony farbami, wpadł mu w ramiona.

— Co za twarz! — zawołał. — Co ci się stało?

Sekretarz, zdumiony jeszcze tylu zdarzeniami, opowiedział mu w przerywanych słowach, jak go potraktowała Albertyna i jak go obraził Edmund.

Radca, zasmucony i rozdrażniony, wziął go za rękę, wprowadził go z powrotem do pokoju Albertyny i zawołał do córki:

— Cóż to ja słyszę? czego się dowiaduję? W takiż to sposób traktuje się narzeczonego?

— Narzeczonego!? — zawołała przerażona panna.

— A więc tak, twego narzeczonego — mówił dalej radca. — Nie wiem dlaczego zdajesz się tak wzburzona sprawą, którą ja zdecydowałem od dawna. Mój stary przyjaciel jest twoim narzeczonym i za parę tygodni odprawimy wesoło twoje zaślubiny.

— Nigdy! — zawołała Albertyna. — Nigdy nie wyjdę za pana sekretarza tajnego! Jakże mogłabym kochać tego starca?

— Cóż ty mówisz o kochaniu, cóż ty mówisz o starcu? Tu jest sprawa nie miłości, ale małżeństwa. Co prawda, mój towarzysz nie jest już lekkim młodzianem, doszedł on, tak jak ja, wieku, który słusznie nazywa się najlepszym. To chłopiec uczciwy, skromny, wykształcony, miły, a przede wszystkim, mój kolega.

— Nie!—rzekła Albertyna, łkając gwałtownie. Ja go nie znoszę, ja go nie cierpię, ja czuję wstręt do niego. O, mój Edmunde!..

Mówiąc te słowa, panna, niemal zemdlna, upadła w ramiona Edmunda, który ją przycisnął do serca.

Radca przetarł sobie oczy, jakby spostrzegł jakieś zmory i zawołał:

— Czy to możliwe? Co ja widzę?

— Tak, — rzekł sekretarz płaczliwie — panna Albertyna zdaje się bardzo mało troszczyć o mnie i przeciwnie objawia nader żywą skłonność do tego młodego malarza; nie waha się go całować, gdy mnie biedakowi odmawia tej ręki, na której bym chętnie pomieścił pierścień zaręczynowy.

Radca chciał wyrwać Albertynę z ramion Edwarda, ale ten zawołał, że nie

puści jej nigdy, choćby miał za to życiem zapłacić.

— Dobrze — powiedział radca z goryczą, — dobrze, mój paniczu, teraz wiem, skąd wpływała twoja bezinteresowność. Chciałeś się dostać do mego domu i uwieść moją córkę! Czy sądzisz, że mógłbym oddać swą córkę tak mizernemu nędzarzowi, bazgraczowi?

Rozdrażniony temi obelgami Edward porwał swoją podpórkę i podniósł do góry, gdy naraz zabrzmiał u drzwi potężny głos Leonarda:

— Zatrzymaj się, Edmundzie! Żadnych gwałtów! Voswinkel szaleje; oprzytomniejcie niedługo.

Radca, przerażony tem nagłym zjawieniem, odpowiedział z kąta, w którym się ukrył:

— Nie rozumiem, czego pan tu sobie życzy!

Sekretarz na widok złotnika, ukrył się za sofą i szeptał, pełny niepokoju:

— O Boże niebieski! Czuwaj nad sobą, kochany radco! Nic nie mów, stary kolego! Wielki Boże, toż to profesor, to straszliwy inicjator balu na ulicy Szpandawskiej.

— Zbliż się, Tussman — rzekł złotnik ze śmiechem — zbliż się, niczego się nie lękaj. Dość jesteś ukarany za swe szaleństwo, że się chciałeś ożenić, bo przez całe życie zachowasz twarz na zielono!

— Wielki Boże! — krzyknął sekretarz, tracąc władzę nad sobą — przez całe życie twarz na zielono! Co o tem ludzie powiedzą? Co o tem powie Jego Ekscencya pan minister? Czyż nie będzie sądził, że ja przez jakąś głupią próżność, sam się tak umalowałem? Jestem człowiek zrujnowany! Utracę posadę, bo Państwo nie może trzymać sekretarza kancelaryi tajnego z twarzą zieloną! O, jakże jestem nieszczęśliwy!

— Dalej, dalej! — odparł złotnik — nie lamentujże tak srodze. Jest jeszcze ratunek, jeżeli się zgodzisz być rozsądnym i jeżeli się zrzekniesz idei poślubienia Albertyny.

— To być nie może... to być nie powinno—wykrzyknęli naraz sekretarz i radca.

Złotnik rzucił w obu płomiennym wzrokiem; już miał gniewem wybuchnąć, gdy naraz drzwi się otwarły i stary Manasse wszedł ze swym siostrzeńcem baronem Benjaminem Dümmerlem. Baron poszedł



wprost ku Albertynie, która go nigdy w życiu nie widziała i rzekł, biorąc ją za rękę:

— Oto jestem, panno Albertyno! Przychodzę sam rzucić się pani do nóg, to znaczy, porozumiejmy się, baron Dümmerl przed nikim do nóg nie upada, nawet przed Jego Cesarską Mością. Przychodzę prosić o pocałunek.

Co rzekłszy, podszedł ku niej blisko i pochylił głowę. W tej samej chwili odbyła się przemiana, która, z wyjątkiem złotnika, wywołała u wszystkich zdumienie:

Nos barona Benjamina wydłużył się naraż tak daleko, że omal nie uderzył w ścianę. Benjamin cofnął się o parę kroków i nos się zmniejszył; zbliżył się do Albertyny, znów nos stał się kolosalny, — rzekłbyś ruch trombonu.

— Przeklęty czarownik! — zawołał Manasse, rzucając radcy sznur. Chwyć pan ten sznur, zwiąż nim złotnika, wyciągnij go na podwórze i wszystko się skończy!

Radca wziął sznur, ale zamiast go rzucić w złotnika, trafił w żyda i szyję mu obwiązał i natychmiast obaj zaczęli uno-

sić się w górę od podłogi do powały i spuszczać się z powały na podłogę, gdy nos Benjamina rósł bezustannie, a Tussman śmiał się jak obłąkany.

— Teraz — rzekł Manasse zatrzymawszy się — teraz zabierzmy się do roboty. I, przeszukawszy kieszeń, wyjął z niej wielką mysz, która się rzuciła na złotnika; ale ten ją uderzył złotą igłą i mysz zniknęła, wydając pisk żałosny.

Manasse podniósł pięść przeciw radcy i krzyknął w gniewie:

— Melchiorze, spisek zrobiłeś przeciw mnie wraz z tym nędznym czarownikiem, którego wciągnąłeś do swego domu. Ale będziesz przeklęty wraz z całym swoim potomstwem i będziecie wytępieni, jako pisklęta opuszczonego ptaka; trawą zarosnie twoja siedziba a wszystkie twe przedsięwzięcia będą jako sen głodnego, któremu się roi, że się nasycy, a który się budzi, trawiony brakiem jedła. Dałeś zamieszka w twoim domu i pochłonie twoje dobro. Obdartymi łachmanami przybrany, zebrać będziesz u progu synów tego ludu bożego, którymi gardzisz, a którzy cię odepchną jako psa chorego na nosaciznę.

Przeklęty, przeklęty bądź, radco Melchiorze Voswinkel!

Rzekłszy te słowa, szybko opuścił izbę wraz ze swym siostrzeńcem.

Albertyna stała pełna trwogi, głowę oparłszy o łono Edmunda; złotnik się przybliżył do młodej pary i rzekł z uśmiechem:

— Niech was te szaleństwa nie wytrącają z równowagi. Wszystko będzie dobrze, odpowiadam wam za to; ale trzeba, abyście się rozłączyli, zanim radca i sekretarz oprzytomnieją z przerażenia. — I odszedł wraz z Edmundem.

## ROZDZIAŁ V,

w którym czytelnik dowiaduje się, co to jest Dałes, dalej w jaki sposób złotnik ratuje tajnego sekretarza od haniebnej śmierci oraz pociesza zrozpaczonego radcę komisyjnego.

Radcę bardziej uderzyły klątwy Manassego niż czarnoksiężskie sztuczki złotnika. Klątwa ta była istotnie okropna, gdyż zapowiadała radcy obecność Dałesa.

Nie wiem, drogi czytelniku, czy słyszałeś o tem, co żydzi nazywają Dałes.

Żona pewnego biednego żyda, tak mówi Talmud, znalazła raz na strychu swego domku człowieka zupełnie nagiego, wyschniętego jak szkielet bez ciała, który ją prosił, by udzieliła mu schronienia i posiłku. Kobieta z trwogą zeszła po drabinie i mówi do męża:

— Człowiek nagi i głodny wszedł do naszego domu i prosi, by mieć nad nim litość. Ale jakże karmić tego obcego, gdy my sami z takim trudem zarabiamy na swe nędzne życie?

— Pójdę na górę — rzekł mąż — i pomyślę o środkach, by się go pozbyć. „Poco, — rzekł obcemu — przyszedłeś schronić się u mnie, który jestem biedny i pozbawiony możliwości karmienia ciebie? Wstań i idź do domu bogatego, gdzie znajdziesz obfitą żywność i wspaniałe uczyty“.

— Jakto — odparł nieznajomy — chcesz mię wygnać z kryjówki, którą znalazłem? Widzisz, że jestem nagi; nie mógłbym tak wejść do domu bogatego. Każ mi zrobić odpowiednie ubranie, a ja cię opuszczę.

Lepiej, pomyślał żyd, użyć tej odrobiny, jaka mi została, dla usunięcia stąd tego człowieka, niż go tu zatrzymać i widzieć

jak pożera wszystko, co zarabiam z takim trudem. Zabił ostatnie cielę, którym myślał długo jeszcze żywić siebie i żonę i kupił dla nieznajomego ubranie. Ale gdy poszedł do niego z ową szatą, człowiek ten rano jeszcze tak mały i wychudły, stał się wielki i mocny i ubranie było dla niego za ciasne. Biedny żyd wpadł w rozpacz na widok tej przemiany, a nieznajomy powiada:

— Wyrzecz się szalonej myśli, że mógłbyś mnie stąd wygnać, gdyż dowiedz się: jestem Dałes.

Biedny żyd załamał ręce i zaczął wydawać okrzyki rozpacz.

— Boże moich ojców — zawołał — jestem różgą gniewu Twego ukarany. Jeżeli ty jesteś Dałes, to już nie odejdiesz i rosnąć będziesz póty, póki nie pożresz wszystkiego w moim domu.

Dałes — to nędza, która wszedłszy raz gdziekolwiek, już tego domu nie opuści i coraz bardziej się rozrasta.

Jeżeli radca bał się przekleństwa Manassego, lękał się też starego Leonarda, który miał tyle czarów na usługi i którego widok budził szczególną trwogę. Ponieważ nie mógł napaść na tych dwóch ludzi, ca-

ły jego gniew spadł na Edmunda, któremu przypisywał wszystko co się stało. Albertyna jeszcze powiększyła jego irytację, oświadczając, że kocha młodego malarza nadewszystko i nie zgodzi się nigdy wyjść za mąż za pedanta Tussmana ani za niezdolnego barona.

Radca napisał do Edmunda list, w którym całą swoją żołą wytoczył i ostatecznie zakazał mu na zawsze przestępować próg swego domu.

Wieczorem Leonard, odwiedzwszy podług zwyczaju młodego artystę, znalazł go w niezmiiernej rozpacz.

— I cóż teraz — wołał Edmund — cóż mi z twej pomocy, cóż mi z tego, żeś oddalił mych współzawodników? Twoje sztuki magiczne rzuciły przestach wszędzie i postawiłeś mi na drodze przeszkody nie do przebycia. Z sercem rozdartem opuszczę kraj, pojedę do Rzymu.

— A więc, — rzekł złotnik, działając w ten sposób uczynisz właśnie to, czego pragnąłeś. Przypomnij sobie, że gdyś mi poraz pierwszy mówił o swej miłości do Albertyny, powiedziałem ci, że, podług mnie, młody artysta powinien być zakochany, ale nie natychmiast myśleć o mał-



żeństwie. Przedstawiłem ci wtedy półżartem przykład młodego Sternbalda; jeżeli chcesz zostać godnym chwały malarzem, wyrzecz się wszelkiej myśli o małżeństwie. Jedź do ojczyzny sztuk, studyuj z zapalem pomniki — a wtedy osiągniesz talent rzeczywisty, wykonawszy dzieło, które ci zdoła tutaj wyrobić imię.

— Ach, — odparł Edmund — jakież popełniłem szaleństwo, żem ci powierzył swe uczucia! Widzę, że ty, od którego czekałem skutecznej pomocy, że ty właśnie działasz przeciw mnie i masz przyjemność w burzeniu moich najśłodszych nadziei.

— Młodzieńcze — rzekł złotnik — pomiarkuj swe wyrażenia; bądź mniej gwałtowny i pomyśl, żeś zamało doświadczony, aby przeniknąć moje zamiary. Ale ja ci przebaczam przez szacunek dla twojej miłości.

— Gdybym miał możność zaślubienia Albertyny—odparł malarz—gdybym był z nią zaręczony, pojechałbym do Włoch; przepędziłbym tam rok jeden studyów i powróciłbym rozradowany do tej, którą kocham.

— Jakto, Edmundzie — zawołał złotnik. — Czyż to naprawdę twój projekt?

— Niewątpliwie — odpowiedział malarz.  
— Miłość, jaką czuję dla Albertyny, nie zagasila we mnie zapalu do sztuki.

— Czy możesz mi dać słowo — rzekł Leonard, — że gdy przyrzeczoną ci będzie ręka Albertyny, natychmiast pojechałbyś do Italii?

— Tak, to jest moje postanowienie i wykonam je, co bądź się stanie.

— A zatem, — rzekł złotnik wesoło — nabierz odwagi. To postanowienie zapewnia ci narzeczoną. Daję ci słowo, że za parę dni Albertyna będzie ci zaręczoną. Jestem w możności to uczynić, nie wątp o tem.

Radość i zapal błysły w oczach Edmunda, i złotnik się oddalił, pozostawiając swego młodego przyjaciela w najrozkoszniejszych oczekiwaniach. —

W oddalonej części parku, sekretarz kancelaryi siedział pod wielkiem drzewem, jak rycerz raniony, który opowiada swe cierpienia niewiernym podmuchom jesieni.

— O Boże sprawiedliwy! — wołał —

nieszczęśliwy sekretarzu tajny, czemuż to zasłużyłeś na obelgi, jakich doznałeś?

Czyż Tomasius nie mówi, że małżeństwo nie jest bynajmniej przeszkodą ku osiągnięciu mądrości? A przecież, odkąd zacząłeś myśleć o małżeństwie, utraciłeś prawie wszystką jasność swej inteligencji! Z czegoż wynika ten wstręt, jaki miała panna Albertyna odczuwać względem twej osoby, obdarzonej tak chwalebniemi zaletami? Czy jesteś politykiem, który zenić się nie powinien czy też jurystą, który według zasad Kleobula, uważa za swój obowiązek bić żonę, ilekroć ta jakiś błąd popełni? O sprawiedliwe nieba, co za klęska! Czemu, drogi sekretarzu tajny, musisz być w wojnie otwartej przeciw czarnoksiężnikom, którzy twą zacną twarz biorą za płótno i mażą ci ją bezwstydnym pędzlem, nieprzyzwoicie i haniebnie! O, to straszliwe nieszczęście! Miałem jeszcze ufność w mego przyjaciela Strecciusa, wielkiego chemika; ale wszystkie jego wysiłki były bezużyteczne. Im bardziej twarz myję wodą, którą mam od niego, tem bardziej staję się zielony, choć ta zieloność zmienia ciągle ton i moja twarz kolejno wyobraża barwy wio-

sny, lata i jesieni. Tak, ten fatalny kolor doprowadzi mnie do zniszczenia i jeżeli mnie zima nie pobielei, to żywot mój skończy się! Oddaję się rozpacz i rzucam się do sadzawki.

Tussman słusznie bardzo żalił się w ten sposób. Barwa jego twarzy nie była wcale zwykłym kolorem: był to rodzaj malowidła wciśniętego w skórę. We dnie nie miał odwagi wychodzić inaczej, jak wciśkając kapelusz na czoło i zakrywając sobie twarz chustką; wieczorem, pędził po ulicach galopem, gdyż lękał się naraz szyderstwa dzieci i spotkania jakiego urzędnika ze swego biura, w którym się nie pokazywał pod pozorem choroby.

Zdarza się często, że odczuwamy silniej nasze cierpienia w milczeniu nocy, niż wśród wrzawy dnia; a im gęstsze były chmury, im żałośniej wicher jesienny wzdychał w lesie, tem Tussman mocniej odczuwał ciężar swej nędzy.

Straszliwa myśl, by położyć koniec swemu nieszczęsnemu żywotowi i rzucić się w sadzawkę, opanowała go z taką mocą, że ją uważał jako głos przeznaczeń.

— Tak, — zawołał drżącym głosem, wstając z pod drzewa, — tak, biedny se-

kretarzu tajny, oto koniec twój nadszedł, żaden Tomasiusz nic ci nie pomoże. Giń, dobry Tussmanie! Żegnaj, okrutna Albertyno! Nie zobaczysz już nigdy narzeczzonego, któregoś odepchnęła tak bezlitośnie.

Rzucił się w stronę sadzawki, którą przy mdłym oświeceniu zmierzchu widział w pobliżu i zatrzymał się u brzegu. Myśl o bliskiej śmierci zapewne pomieszała mu rozsądek, gdyż zaczął śpiewać ten refren piosenki angielskiej: „Zielone są łąki, zielone są łąki!“ Potem rzucił w wodę *Mądrość polityczną, Podręcznik dworski i Sztukę przedłużenia życia* Hufelanda. Zamierzał teraz iść śladem swoich ukochanych książek, gdy poczuł, że go zatrzymuje naraz jakieś mocne ramię.

W tej samej chwili usłyszał głos przekłętego złotnika, który mówił:

— Tussmanie, co robisz? Proszę cię, nie oddawaj się tak swemu szaleństwu!

Sekretarz starał się użyć wszystkich sił, aby się wyrwać z ramion złotnika; mówił mu:

— Panie profesorze, jestem w ostatniej rozpacz i wszystkie moje wahania się kończą. Proszę cię, profesorze, przebac

nieszczęsnemu sekretarzowi prywatnemu, który zna wymagania światowe. Jestem zrozpaczony i powiem bez obwijania w bawełnę: chciałbym, aby dyabeł cię porwał wraz z twemi wszystkimi czarodziejstwami.

Złotnik puścił sekretarza, który upadł bez duszy na wilgotny trawnik.

Sądząc, że już jest w wodzie, Tussman zawołał:

— O wierna śmierci! o zielona łąko! Żegnaj, panno Albertyno. Żegnaj, czcigodny radco! Nieszczęsny narzeczony jest pośród żab, które sławią Pana w dni letnie.

— Uważaj, Tussman — rzekł złotnik — tracisz rozum i jesteś w stanie godnym liłości. Chciałeś mnie tylko co wysłać do piekła. Co byś rzekł, gdyby ci tu sam dyabeł kark złamał?

Tussman jęczał, wzdychał, febra trzęsła całym jego ciałem.

— Ale — mówił dalej złotnik, — ja nie jestem zły i przebaczam ci twoje rozpaczne okrzyki. Wstań i idźmy stąd.

Złotnik pomógł sekretarzowi się podnieść, ten zaś mruczał:

— Jestem w twojej mocy, wielce sza-



nowny profesorze. Z ciałem mojem uczynić co zechcesz, ale oszczędź moją duszę.

— Nie bredź — rzekł złotnik, biorąc sekretarza za ramię i poprowadził go ze sobą. Naraz się zatrzymał i rzecze:

— Jesteś cały zamoczony, pozwól że ci przynajmniej twarz wytrę. — To mówiąc, pociągnął białą chustką po jego twarzy.

Ujrzawszy po przez drzewa, światła kawiarni Webera, Tussman z przerażeniem zawołał:

— W imię Boga, dokąd mię prowadzisz? Przez litość, nie idźmy w tłum, nie mogę się pokazać; moja obecność wywołałaby skandal.

— Nie wiem, co znaczy twój wstręt do ludzi. Musisz koniecznie wypić szklanekę ponczu, inaczej z zimna dostaniesz febry. Choć ze mną.

Napróżno sekretarz lamentował, mówiąc wciąż o swojej twarzy zielonej; złotnik żadnej uwagi nie zwracał na jego słowa i ciągnął go z siłą nieodpartą.

Wchodząc do sali i spostrzegłszy parę osób przy stole, Tussman zakrył sobie twarz chustką.

— Po cóż ta przezorność? Masz uczciwe oblicze.

— Ach, Boże! — zawołał sekretarz — ty wiesz, mój czcigodny profesorze, jak to w gniewie — młody malarz pozielenił mi twarz.

— Co za szaleństwo! — odparł złotnik, ciągnąc z siłą sekretarza przed zwierciadło, w którym się odbijało światło lamp.

Tussman spojrzał w zwierciadło i wydał okrzyk niespodzianej radości.

Nie tylko okropna barwa zielona, którą go zachlapano, zniknęła, ale twarz Tusmana była pokryta kolorytem żywszym, tak, iż zdawał się odmłodzony. W uniesieniu Tussman podskoczył do góry i zawołał głosem rozrzewnionym:

— Co widzę, dostojny, doskonały profesorze! Tobie zawdzięczam tę szczęśliwość; teraz panna Albertyna, dla której chciałem się utopić w stawie, nie odmówi już mi ręki i za małżonka mię przyjmie. Tak, wyrwałeś mię z okropnej rozpacz. Jesteś moim zbawcą, moim dobroczyńcą...

— Nie zaprzeczę — odparł złotnik, — że ja to ci starłem ten zielony kolor z twarzy i widzisz stąd, że nie jestem ci bynajmniej tak nieprzyjazny, jak, zdaje się, przypuszczałeś. Potępiam tylko szaloną myśl, jaką powziąłeś na skutek propozycji

pana radcy, że chcesz zaślubić młodą pannę. Ale nie chcę bynajmniej burzyć twych projektów, chcę tylko radzić ci, abyś nie czynił żadnych starań koło panny Albertyny, aż do przyszłej niedzieli w południe: wówczas dowiesz się reszty. Jeżelibyś próbował zobaczyć się z nią przedtem, to ci tak każę zatańczyć, że oszalejesz; zmienię cię w żabę, strącę cię na dno sadzawki parkowej, gdzie będziesz siedział do końca życia. Żegnaj. Pewna sprawa wzywa mię do miasta; nie możesz iść za mną. Do widzenia.

Złotnik słusznie powiedział, że Tussman nie może iść za nim, gdyż oddalił się, jakby miał buty siedmiomilowe. Po chwili, wpadł jak widmo do izby pana radcy i surowym głosem powiedział mu: Dobry wieczór! Radca, przerażony tem zjawieniem, próbował nabrać ducha i pytał złotnika, po co przybywa do niego tak późno, prosząc go, aby się zechciał wycofać i nie rozpoczynał znów swego kuglarstwa.

— Oto jacy są ludzie — odrzekł spokojnie Leonard, — a zwłaszcza radcy! Odpychają tych właśnie, do których by powinni mieć jak najwięcej zaufania. Grozi ci, drogi przyjacielu, wielkie nieszczęście

i śpieszę do ciebie wśród nocy, aby ci dać dobrą radę i odwrócić cios, który może cię złamać.

— O Boże!—zawołał radca wystraszony — czy mi chcesz donieść jeszcze o jakim bankructwie w Hamburgu, w Bremie, w Londynie? Czyż jestem człowiek zrujnowany? O, nieszczęście!

— Nie — odparł złotnik — idzie tu o coś zupełnie innego. Nie chcesz oddać Edmundowi ręki Albertyny?

— Jakto! — zawołał radca — znów zaczynasz te głupie propozycje? Ja miałbym wydać córkę za jakiegoś żebraka bazgracza?

— A jednak, — rzekł złotnik, — bardzo dobrze odmalował i ciebie i twoją córkę.

— Ach, ach!—odsarknął radca—tobyłby ładny targ! Córka za dwie malowanki! Odesłałem mu te nędze.

— A więc, jeżeli mu nie dasz Albertyny, Edmund się zemści.

— Chciałbym też wiedzieć jak ten cygan, ten smarkacz, mógłby się zemścić nad radcą komisyjnym Melchiorem Voswinklem?

— Powiem ci zaraz, szanowny panie radco. Edmund zlekka twój portret prze-

maluje. Zamiast uśmiechniętego wyrazu twarzy da ci rysy wykrzywione, minę ponurą, oczy przygasłe, wargi obwisłe. Narysuje mocniej zmarszczki na ustach i na czole i nie zapomni licznych siwych włosów, które ukrywasz tak starannie. Zamiast miłego listu, który cię zawiadamia o wygranej na loteryi, da ci do ręki ten, który otrzymałeś wczoraj, a który ci donosi o bankructwie domu Campbell i Sp. Na kopercie napisze: Chybionemu radcy Dworu i t. d....; albowiem przed sześciu miesiącami napróżno się starałeś o uzyskanie tego tytułu. Z twoich kieszeni dziurawych wylatywać będą dukaty, papiery skarbowe, symbol wszystkich strat, jakie cię dotknęły. Portret wystawiony będzie u handlarza obrazów w pobliżu Banku.

— Do tysiąca dyabłów! — zawołał radca. — Niech-że spróbuje czegoś podobnego. Sąd i policję zawezwę na pomoc.

— Ale — odparł złotnik z tym samym spokojem — w ciągu kwadransa pięćdziesiąt osób zobaczy ten portret, a w niedługim czasie opowiadać sobie o nim będą w najrozmaitszy sposób w całym mieście! Wszystkie śmieszności, wszystkie głupstwa, jakie ci przypisują, odtworzone będą

w daleko żywszej barwie. Ktokolwiek cię napotka, śmiać się będzie z ciebie w oczy i co gorsza, mówić będą wciąż o twoich stratach z powodu bankructwa domu Campbell i będzie to klęska dla twego kredytu.

— O Boże! — zawołał radca — nędznik jutro o samym świcie musi mi oddać płótno!

— A gdyby ci oddał, o czem wątpię, na cóż ci się to przyda? Wyryje cię, jak mówiłem, na płycie miedzianej, odbije w setkach egzemplarzy i roześle do wszystkich wielkich miast handlowych, do Hamburga, do Bremy, do Lubeki, do Londynu.

— Ach, dosyć, dosyć! — zawołał radca.—Powiedz temu człowiekowi, daj mu pięćdziesiąt a nawet sto dukatów, aby się wyrzekł tej okropnej myśli.

— Ha, ha!—rzekł ze śmiechem złotnik.—Zapominasz, że Lehse nie potrzebuje pieniędzy, że jego rodzice są zamożni i że ciotka oddawna zabezpieczyła mu fortunę, która wynosi osiemdziesiąt tysięcy dukatów.

— Jakto — zawołał zdumiony radca —



osiemdziesiąt tysięcy dukatów?... Słuchaj, panie Leonardzie, mnie się zdaje, że moja Albertyna jest bardzo zakochana w młodym malarzu. Jestem dobrym człowiekiem, łkliwym ojcem rodziny, który nie umie się opierać łzom ani błaganiom; zresztą Edmund mi się podoba, jest to dzielny artysta, a ja jestem wielkim miłośnikiem sztuki. Ten kochany Edmund ma wielkie zalety... ośmdziesiąt tysięcy dukatów!... Tak jest, Leonardzie, z dobroci serca oddaję swą córkę temu wybornemu chłopcu.

— Teraz, — przemówił złotnik, — muszę ci opowiedzieć zabawną historię. Wracam z parku. Koło wielkiego stawu spotkałem twego starego przyjaciela i kolegę, sekretarza Tussmana, który, zrozpaczony niechęcią Albertyny, chciał się rzucić w wodę. Z wielkim trudem odradziłem mu jego ohydny projekt, mówiąc, że ty ściśle dotrzymujesz słowa i że dzięki swej powadze rodzicielskiej, namówisz Albertynę, aby jego rękę przyjęła. Jeżeli cofasz to postanowienie, jeżeli Albertynę wydajesz za Edmunda, biedny sekretarz napewno popełni samobójstwo. Pomyśl, co za wrzawę wywoła taka rzecz. Każdy uwa-

zać cię będzie za zabójcę Tussmana i patrzyć będzie na ciebie z głęboką pogardą. Już cię nikt nie zaprosi na obiad, a kiedy wejdiesz do jakiej kawiarni, by się dowiedzieć co słychać nowego, wyrzucą cię za drzwi. Więcej jeszcze, wiadomo, że sekretarz jest bardzo ceniony przez swoich naczelników; jego praca ma dobrą opinię we wszystkich biurach. Jeżeli ludzie uwierzą, że skutkiem twojej niesłowności, skutkiem twojej niestanowczości, doprowadziłeś tego nieszczęśliwca do samobójstwa, to nigdy w życiu już nie będziesz przyjęty nie tylko w domu radcy legacyjnego albo radcy finansowego, ale nawet u najmniejszego urzędnika. Żaden człowiek, z którym dotychczas prowadziłeś jakieś sprawy, nie będzie się tobą zajmował. Od wysokich urzędników aż do najprostszych woźnych, wszyscy będą ci ubliżać i nikt nie zdejmie przed tobą kapelusza. Tytuł radcy komisyjnego będzie ci cofnięty; doznawać będziesz poniżenia za poniżeniem, kredyt twój upadnie do szczytu, twoje majętności będą ze wszech stron szturmowane i chylić się będziesz w dół coraz niżej a niżej, aż w końcu runiesz w nędzę i w hańbę.

— Dość, dość! — zawołał radca — męczysz mnie. Któżby uwierzył, że sekretarz w swoim wieku popełniłby takie szaleństwo? Ale to słuszną rzecz, co bądź się stanie, muszę słowa dotrzymać: inaczej byłbym człowiekiem zgubionym. Tak, to postanowione, sekretarz otrzyma rękę Albertyny.

— Ale zapominasz, — rzekł złotnik, — o prośbie barona Benjamina i o przekleństwie starego Manassego. Jeżeli wzgardzisz siostrzeńcem tego żyda, masz w nim strasznego wroga, wroga, który cię wciągnie we wszystkie swoje spekulacye, który się nie cofnie przed żadnym środkiem, co by ci odebrał kredyt, który korzyść będzie z każdej sposobności, aby ci szkodzić; i który nie spocznie, póki cię nie zrujnuje, nie zniszczy, póki Dałes, którego wezwał, nie osiedli się rzeczywiście w twoim domu. Słowem, w jakikolwiek sposób rozporządziłbyś córką, zawsze wpadniesz w ciężkie położenie; i oto dlaczego wydajesz mi się człowiekiem nieszczęśliwym i godnym pożałowania.

Radca biegał wzdłuż i wszerz po swoim pokoju, wołając:

— Jestem zgubiony, jestem zrujnowany! O, gdybym przynajmniej nie miał córki! Niech dyabeł porwie ich wszystkich, Edmunda, Benjamina i sekretarza!

— No, no — rzekł złotnik — jest jeszcze droga ocalenia.

— Jaka? — zawołał radca, zatrzymując się nagle — jaka? Podpisuję wszystko.

— Czy widziałeś w teatrze *Kupca Weneckiego*? W tej właśnie sztuce nasz aktor Devrient gra okrutnego żyda, imieniem Shylok, który ma wielką chęć krajać żywe mięso kupieckie.

— Oczywiście, widziałem tę sztukę. Ale do czego to prowadzi?

— Jeżeli znasz *Kupca Weneckiego*, musisz pamiętać, że jest tam pewna dziewczina bogata, Porcy, której ręka została niejako puszczona w loteryę rozporządzeniem testamentu jej ojca. Przynoszą trzy skrzynki i każdy z konkurentów ma jedną z nich wybrać i otworzyć. Ten, co wybiera skrzynkę, w której się mieści portret Porcy — staje się narzeczoną. Uczyń jak ojciec Porcy; powiedz trzem współzawodnikom, że, ponieważ wszyscy trzej są ci jednakowo drodzy — powierzasz losom

ich żądania. Ten otrzyma rękę Albertyny, który wybierze skrzynkę z portretem panny.

— Co za szczególny pomysł! — zawołał radca — a gdybym przystał, czy sądzisz, że by mi się to na co zdało i że nie wystawiłoby mię również na nienawiść tych, których los odtrąci?

— Pozwól, pozwól, panie radco. Przyrzekam ci uroczyście tak przysposobić skrzynki, że wszyscy będą zadowoleni. Ci, którzy nie dostaną portretu, znajdą jak książę Marokański i książę Aragoński, w dwóch innych skrzyneczkach coś, co im się bardzo spodoba tak, że zapomną o małżeństwie z Albertyną. Więcej nawet, uważać cię będą za człowieka, któremu są winni głęboką wdzięczność.

— Czyż to możliwe? — zawołał radca.

— Nietylko możliwe — odparł złotnik — ale pewne; daję ci słowo.

Radca już się nie wahał i postanowił działać zgodnie z planem Leonarda i obaj się umówili, że w następną niedzielę sprawa będzie wykonana.

Złotnik zapowiedział, że sam przyniesie trzy skrzynki.

## ROZDZIAŁ VI

opowiada, w jaki sposób odbył się wybór narzeczonej, poczem historia się zamyka.

Albertyna była w rozpacz, kiedy jej radca powiedział o nieszczęsnej loteryi, którą postanowiono urządzić; ale bezużyteczne były wszystkie jej łzy i błagania. Była też wielce rozgniewana z powodu obojętności Edmunda; nie pokazywał się wcale i nie starał się rozmawiać z nią o swej miłości. W wigilię niedzieli wyrocznej Albertyna siedziała wieczorem w swym pokoju. Oddana myślom o grożącym jej niebezpieczeństwie, pytała sama siebie, czy nie lepiej byłoby uciec z domu ojcowskiego, niż być skazaną na poślubienie pedanta sekretarza lub ohydneho barona. Zaczęła tedy marzyć o tajemniczym złotniku i o jego czarodziejstwach, i oto w sercu jej przebudziła się nadzieja; gdyż pewnem jej się zdało, że Leonard nie opuści Edmunda w chwili krytycznej. Poczuła naraz żywe pragnienie rozmowy ze złotnikiem i w chwilę potem, złotnik ukazał się przed nią. Powiedział jej głosem łagodnym i pełnym powagi:

— Drogie dziecko, zbądź się smutku



i troski; dowiedz się, że Edmund, którego jak ci się zdaje kochasz dzisiaj, jest pod moją opieką, i że będę mu pomagał ze wszystkich sił. Dowiedz się, że ja to podsunąłem twemu ojcu myśl loteryi, że ja to przygotowałem cudowne skrzynki i że nikt inny, tylko Edmund wybierze tę, w której znajduje się twój portret.

Albertyna wydała okrzyk radości. Złotnik mówił dalej:

— Mógłbym być znaleźć inny sposób uzyskania twojej ręki dla Edmunda, ale rozgniewałbym mocno jego dwóch rywali.

Albertyna rozpląnęła się w podziękowaniach. Wzięła za rękę Leonarda, przycisnęła ją do serca i zapewniła go, że pomimo jego czarownictwa, patrzy na niego bez trwogi: poczem naiwnie go pytała, kim jest.

— Ach, drogie dziecko, — rzekł złotnik z uśmiechem — byłoby mi bardzo trudno powiedzieć ci, kto jestem. Podobny jestem do wielu ludzi, którzy lepiej wiedzą za kogo ich biorą, niż kim są rzeczywiście. Uważ, że wiele osób uznaje mnie za złotnika Leonarda, który w XVI w. żył w wielkiej estymie na dworze elektora Ja-

na Jerzego i który, ścigany zawiścią i nienawiścią, zniknął niewiedomo jak. Zrozumiesz łatwo, ilem wycierpiał skutkiem tego przypuszczenia ze strony uczciwych mieszczan i negocyantów, którzy mnie traktują jako ducha fantastycznego i starają się moje życie uczynić możliwie najbardziej gorzkim. Chociaż zjawiam się wszędzie jak prawdziwy *Deus ex machina*, wielu ludzi nie może mnie znosić, ponieważ wątpią nawet o mojem rzeczywistem istnieniu. Aby się ochronić od tych wszystkich niedowierzań, nie wyznałem nigdy, że jestem złotnikiem szwajcarskim Leonardem i bardzo wiele osób przystało na to, że jestem po prostu człowiekiem zręcznym i że magia naturalna daje mi wszystkie środki działania. Nabierz więc odwagi, drogie dziecię; jutro rano, przystrój się w swą najpiękniejszą suknię, włosy upleć starannie w warkocze i czekaj spokojnie a cierpliwie na to, co ma nastąpić.

To rzekłszy, złotnik zaraz zniknął.

W niedzielę o godzinie oznaczonej przybył stary Manasse ze swoim zachwycającym siostrzeńcem, sekretarz prywatny oraz Edmund ze złotnikiem. Złotnicy, nie

wyłaczając próżnego barona, byli zdumieni widokiem Albertyny, która im się nigdy nie wydała tak piękną. Przytem bardziej niż wytworność sukni i fryzury, podnosił jej piękność promień miłości i nadziei, który lśnił w jej oczach i barwił jej jagody.

W napadzie szczodrobliwości radca kazał przygotować wspaniałą ucztę.

Gdy zaprosił Manassego do stołu, można było czytać w oczach żyda tę odpowiedź Shyloka:

Tak, wachać zapach świniny; dotykać  
Zwierzęcia, w którym umieścił wasz prorok  
Nazaretański — złośliwą moc czarta —  
Mogę — by z wami gadać i handlować:  
Lecz jeść—pić—modlić się z wami—nie mogę!

Baron mniej na to zwracał uwagi. Jadł niepomniernie i gadał bez końca.

Radca, pozwoliwszy sobie na szczodrobliwość nadzwyczajną, bez miary rozlewał w kieliszki wino Porto, Maderę i nawet Malagę, przechowywaną w piwnicy od lat stu. Po śniadaniu, zapowiedział konkurentom, w jaki sposób ma być zdecydowane małżeństwo jego córki. Ten będzie miał prawo zaślubić Albertynę, który wybierze skrzynkę z jej portretem wewnątrz.

W południe salę otwarto i spostrzeżono stół pokryty pięknie haftowanym dywanem, a na nim trzy skrzynki.

Pierwsza była złota: na pokrywie był wieniec z dukatów, a we środku napis:

„Ten, co mnie wybierze, będzie miał szczęście podług pragnienia swej duszy“.

Druga skrzynka była srebrna; czytano na pokrywie te słowa w literach obcych:

„Ten, który mnie wybierze będzie miał więcej, niż się spodziewa“.

Trzecia skrzynka była z cyzelowanej kości słoniowej i miała te słowa:

„Ten, który mnie wybierze, będzie miał szczęście, o jakim marzył“.

Albertyna siadła za stołem na fotelu. Radca umieścił się koło niej. Manasse i złotnik cofnęli się w głąb sali.

Ponieważ los postanowił, że Tussman miał wybierać pierwszy, jego dwaj rywale wyszli do izby sąsiedniej.

Sekretarz zbliżył się do stołu, przyglądał się po kolei wszystkim napisom. Wkrótce go nęcić zaczęły najwięcej osobliwe litery na skrzynce srebrnej.

— Ojciec niebieski — zawołał z entuzjazmem, — co za piękne pismo arabskie! I jak dobrze się łączy z tem łacińskim

zdaniem: „Ten, który mnie wybierze, będzie miał więcej niż się spodziewa“. Czy spodziewałem się kiedy, że panna Albertyna zgodzi się oddać mi rękę? Czy raczej nie wyrzekłem się przeszłości? czyż nie rzuciłem się do stawu? Dalej, oto moja pociecha, oto moje szczęście: wybieram skrzynkę srebrną.

Albertyna powstała, by podać sekretarzowi mały kluczyk, którym ten otworzył skrzynkę. Ale jakież było jego przerażenie, gdy zamiast obrazu Albertyny, ujrzał tylko książkę, oprawną w pergamin, na którym znajdował się napis taki:

Chociażbyś popełnił błąd,  
Wielką radość zyskasz stąd.  
Dobrze wybrał tu twój sąd:  
*Ignorantiam* strącasz w kąt,  
W *sapientiae* wnikasZ prąd.

— O wielki Boże, — zawołał Tussman, — książka! a nawet nie książka — to biały papier. Żegnaj mi, wszystka nadziejo. O nieszczęsny sekretarzu! Dalej, koniec twój nadszedł! Wracajmy do sadzawki.

Tussman chciał się oddalić. Leonard go zatrzymał i rzecze:

— Jesteś nierozsądny. Żaden skarb na świecie nie może mieć dla ciebie większej

ceny, niż ten, który odnalazłeś. Napis już by ci powinien wyjaśnić tę prawdę. Pozwól mi, że ci tę książkę włożę do kieszeni.

Tussman posłuchał.

— Teraz, — odparł złotnik, — pomyśl o książce, którą chciałbyś mieć w tej chwili.

— Boże, — zawołał sekretarz, — toż w momencie szalu rzuciłem w wodę książkę Tomasiusa.

— Weź książkę, którą masz w kieszeni i spojrzij na nią.

Tussman wyjął książkę z kieszeni: był to *Traktat polityczny* Tomasiusa.

— Ach, drogi Tomasiusie! — zawołał sekretarz z zachwytem — otoś wyrwany żabom, których niczego byś nie nauczył.

— Cicho! — rzekł złotnik. Włóż z powrotem książkę do kieszeni i pomyśl o jakimś bądź innym dziele, któregoś napróżno szukał w niejednej bibliotece.

— Boże! — odparł Tussman — gdy chciałem iść na operę, by się rozerwać, pragnąłem bardzo i zawsze napróżno mieć małą książkę, która w sposób alegoryczny mówi o muzykach i kompozytorach. Myślę tu o rzeczy p. t. *Wojna muzyczna* Ja-



*na Beera albo opis spotkania dwóch bohaterów, Kompozycji i Harmonii, jak rozpoczęły walkę wzajemną przeciw sobie i jak po krwawej bitwie zawarły przymierze.*

— Szukaj w kieszeni i spójrz! — powiada złotnik.

Sekretarz wydał okrzyk radości, gdy w swej tajemniczej książeczce, ujrzał Wojnę muzyczną Jana Beera.

— A zatem, — dodał Leonard, posiadając tę książkę, znalezioną w skrzynce, masz najbogatszą, najkompletniejszą bibliotekę i możesz ją nosić ze sobą wszędzie, gdzie zechcesz; wystarczy ci bowiem mieć życzenie, a książka, którą znajdujesz w kieszeni, będzie właśnie tą, którą pragniesz czytać.

Nie zajmując się już ani Albertyną, ani radcą, sekretarz udał się w kąt salonu, usiadł w fotelu, włożył książkę do kieszeni, wyjął ją znowu i z blasku jego oczu widać było, że jest najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi.

Nadeszła kolej barona. Kołysząc się ruszał do stołu, przez szkiełka zaczął oglądać skrzynki i pocichu czytał napisy. Skrzynka złota z wieńcem dukatów olśniła jego oczy:

„Ten, co wybierze mnie, będzie szczęśliwy, zgodnie z pragnieniami swej duszy“.

— Dukaty — rzekł, — oto moje szczęście, Albertyna zaś również jest tem, czego dusza moja pragnie. — Mówiąc te słowa, otworzył skrzynkę; znalazł w niej pilnik angielski i kartkę z napisem:

Wypełnione twe pragnienie!  
W sercu twem niech upojenie  
Drga, bo wszystko inne — niczem!  
Naprzód z śmiałem idź obliczem:  
Wszędy zyskasz powodzenie!

— Ach, — zawołał Benjamin z gniewem — i na cóż mi ten pilnik? Pilnik to nie portret Albertyny. Biorę tę skrzynkę i ofiaruję ją pannie Albertynie, jako dar ślubny.

— Idziesz za daleko, panie — rzekł złotnik — uważaj się za szczęśliwego, że masz ten pilnik; z chwilą zaś, gdy go wypróbujesz, wyznasz, że jest to dar nadzwyczaj cenny. Czy masz przy sobie dukata karbowanego?

— Mam, — rzekł baron tonem żalonym — ale po cóż to wszystko?

— Obrzynaj go tym pilnikiem.

Benjamin wykonał tę robotę ze zręcznością, która dowodziła wielkiego doświadczenia, i w miarę jak obrzynał dukat, obrzeże stawało się piękniejszym i świetniejszym.

Manasse, który dotąd stał nieruchomy, rzucił się z okiem rozplomienionem ku swemu siostrzanowi i zawołał z uniesieniem:

— Co widzę? To moja maszynka! Ten pilnik jest mój, mój! To narzędzie czarno-księskie, za które swoją duszę sprzedałem dyabłu trzysta lat temu.

Chciał wyrwać pilnik z rąk swego siostrzana, ale ten go odepchnął, mówiąc:

— Idź precz, stary szaleńcze! Ja ją znalazłem, należy do mnie!

I bronił pilnika jak lwica broni swych małych, gdy Manasse, zgrzytając zębami, pieniąc się gniewem, rzucał na niego coraz okropniejsze przekleństwa. Wreszcie Benjamin, ująwszy silną ręką swego wuja, wyrzucił go za drzwi, poczem siadł przy małym stoliku obok sekretarza i zaczął gorliwie obrzynać dukaty.

— Otośmy nakoniec wyzwoleni od tego okropnego człowieka, starego Manasse—

rzekł złotnik. — Powiadają, że to drugi Ahaswer i że błądzi po świecie od r. 1572. Wówczas sądzony był pod imieniem Lipolda i skazany jako winny czarnoksięstwa, ale dyabeł go ocalił, wzięwszy od niego duszę. Wielu ludzi zapewnia, że widywali go w Berlinie pod rozmaitą postacią. Dzięki memu doświadczeniu, oto już on daleko od nas na zawsze.

Nakoniec Edmund wziął skrzynkę z kości słoniowej i znalazł w niej piękny portret miniaturowy, oraz takie słowa, wierszem ułożone:

Znalazłeś szczęście swe—więc je oglądaj  
W precudnych oczach swej umiłowanej.  
Co było — nigdy więcej nie powróci:  
Takie jest świata wieczne przeznaczenie.  
Rozkosz, w marzeniach sennych przeczuwaną,  
Znajdziesz w kochanki swojej pocałunkach.

Edmund, idąc jak Bassanio za radą poety, przycisnął Albertynę do serca, a radca patrzył zadowolony tem szczęśliwym rozwiązaniem wszystkich kłopotów, wywołanych małżeństwem córki. W tym czasie Benjamin dalej obrzynał dukaty, Tussman czytał swoją książkę; i ani jeden ani drugi nie zajmowali się tem, co się dokoła nich dzieje. Radca zawiadomił

ich, że młody malarz pozyskał rękę Albertyny. Obaj słuchali tej nowiny obojętnie. Każdy był zajęty losem, jaki mu wypadł, i żaden z nich nie odczuł zazdrości. Po jakimś czasie pożegnali radcę, dziękując mu z zapałem za skarb, jaki za jego sprawą otrzymali.

Kilka tygodni minęło pełnych radości i zachwytu dla Edmunda i Albertyny. Złotnik przybył naraz, by wzburzyć szczęście młodej pary, przypominając Edmudowi, że mu uroczyście zapowiedział wyjazd do Włoch.

Mimo głębokiego żalu młody malarz musiał pożegnać ukochaną; czuł się gorąco porwany ku ojczyźnie sztuki, tak że postanowił natychmiast udać się w podróż.

Od roku Edmund jest w Rzymie i powiadają, że jego korespondencja z Albertyną staje się z dnia na dzień mniej częsta i mniej czuła. Zauważono też, że pewien przystojny i wysmukły referendarz, elegancko ubrany, często przechadza się po parku z panną Albertyną, przetańczywszy z nią całą zimę — i że radca przygląda mu się z miną bardzo zadowoloną. Refer-

rendarz przeszedł z odznaczeniem egzamina, które mają mu służyć jako tytuł w jego karyerze. Może poślubi Albertynę, skoro uzyska należyte stanowisko w świecie urzędniczym.

---



# **CZŁOWIEK Z PIASKU**

# CZŁOWIEK Z PIASKU

## I.

### NATHANAEL DO LOTARA.

Pewnoś niespokojny, że tak dawno nie pisałem. Matka gniewać się musi, a Klara myśli, że się tu bawię, zapominając o niej. A przecież, niema dnia, niema godziny, żebym nie myślał o was wszystkich, a piękna twarzyczka mojej Klary wydaje mi się zawsze jak słodkie, uśmiechnięte marzenie, choć wiem, że naprawdę istnieje, i, że mnie z utęsknieniem wygląda. Doprawdy, nie wiem nawet jak ci wypowiedzieć wrażenia, od których jeszcze w tej chwili zmysły mi się płaczą. Coś straszliwie dziwnego zdaje się targać wątek mojego życia. Ponure przeczucia jakiejś przeszłości pełnej grozy, gromadzą się zewsząd koło mnie, podobne do nawału czarnych i nieprzenikliwych obłoków, nie dopuszczając ani płomyka jasno-

ści do skołatanej głowy. Jakiemiż słowy zdać ci sprawę z tego, co mi się w tych dniach zdarzyło? Umiem wiele wymóc na sobie, ale na samą myśl o tem, co ci mam opowiedzieć, słyszę we własnej duszy śmiech gorzki i szalony. O mój drogi Lotarze, jak ci tu dać pojąć całą okropność tego wydarzenia? Gdybyś przynajmniej sam na to patrzył, nie zadałbyś mi fałszu w oczy; ale zdaleka wziąć mnie możesz za jasnowidza i szaleńca. Jednem słowem, wypadek, z którego wpływem złowróżbnym dotąd się jeszcze daremnie mocuję, jest poprostu następujący:

Dni temu kilka (stało się to 30 października), około południa, wszedł do mnie pewien optyk wędrowny, częstując mnie przedmiotami swojej sztuki. Nie kupiłem nic, i zagroziłem mu nawet, że go wypchnę za drzwi. Na te słowa, wyniósł się z dobrej woli.

Zgadujesz, że tylko pewne okoliczności, ściśle związane z mojem życiem, mogą nadać niejakię znaczenie temu, tak z siebie powszedniemu wypadkowi, dowiesz się zaś niebawem, ile zgubnego wpływu wywiera na mnie osoba owego przekłętego włóczęgi. Potrzebuję niemało sił i władzy nad

sobą, żebym ci mógł z jakim takim ładem opowiedzieć jeden ustęp z wspomnień mego dzieciństwa; wyjaśni ci to całą okropność obecnego mego z tym człowiekiem spotkania.

Wyobrażam sobie, jak się oboje z Klarą śmiejecie z tej przedmowy. Co za dzieciństwo, mówicie z politowaniem. Śmiecie się, proszę was; żartujcie sobie, ile wam się podoba, owszem błagam was o to. Bo co do mnie, Boże wielki! śmierć gości w mojej duszy i jeśli wyśmianym być pragnę, to nieinaczej, jak Franciszek Moor, który się o to sam Daniela dopraszał. Przyśnił mu się straszliwy obraz sądu ostatecznego, i obudził się oszalały od trwogi. — Nieprawdaż, powiada on, że sny są wierutną niedorzecznością? Danielu, śmiej się ze mnie. Dlaczego się nie śmiesz? — Panie, rzeczce Daniel pełny trwogi, a Franciszek dodaje: — O, przez Boga, Danielu, powiedz mi, żem jest półgłówek. O mój dobry Danielu! zaklinam cię na wszystko, śmiej się ty ze mnie!

Ale przystąpmy do rzeczy.

W dzieciństwie naszym, nigdy prawie w ciągu dnia nie widzieliśmy ojca, niekiedy tylko jadał z nami obiad. Było rzeczą

wiadomą, że obowiązki urzędowania zajmowały mu wszystkie chwile. Po wieczery, która stosownie do dawnego obyczaju bywała o siódmej, szliśmy z matką do pokoju ojca, i zasiadaliśmy przy okrągłym stole. Wtedy ojciec palił sobie fajkę i popijał piwo z dużej szklanki. Często opowiadał nam dziwne zdarzenia i to z takim zapalem, że raz wraz gasła mu fajka. Do mnie zaś należało zapalać ją bezustannie, co czynilem z wielkim upodobaniem. Niekiedy znowu, dawał nam tylko do oglądania książki pełne obrazków, sam zaś siedział w krześle, milczący i bez ruchu, puszczając tak ogromne kłęby dymu, żeśmy się zdawali pływać w obłokach. Wtedy matka bywała smutna i zadumana, i skoro zegar wybił dziewiątą:

— Chodźcie już, chodźcie dzieci,—mówiła do nas, — czas spać iść, czas do łóżka. *Człowiek z piasku* idzie. Słyszycie?

W istocie, słysząc było wtedy kogoś idącego po schodach krokiem powolnym i ciężkim. Był to zapewne *człowiek z piasku*.

Pewnego dnia, głuche to stąpanie przstraszyło mnie więcej niż kiedy, rzekłem

więc do matki, podczas kiedy mnie wprowadzała:

— Mateczko, co za jeden ten brzydki *człowiek z piasku*, co nas zawsze wypędza od ojca? Jak on wygląda?

— Niema żadnego *człowieka z piasku*,— odpowiedziała mi matka. Kiedy wam powiadam: *człowiek z piasku* idzie, to znaczy poprostu: że wam się spać chce, i, że nie możecie więcej trzymać oczu otwartych, tak właśnie, jakby wam kto w nie piaskiem rzucał.

To objaśnienie nie zadowoliło mnie bynajmniej: wyobraziłem sobie tylko, że matka nie chce nas straszyć, ale że *człowiek z piasku* istnieje rzeczywiście, skoro go codzień słyhać, jak idzie po schodach.

Dziwnie spragniony dowiedzieć się czegoś prawdziwego o nim i jego do nas stosunku, począłem raz wypytywać o to starą służącą naszego domu.

— *Człowiek z piasku?* — rzekła, to ty nie wiesz jeszcze co to za jeden? To taki niegodziwiec, który przychodzi na zawołanie, kiedy dzieci spać iść nie chcą, i rzuca im garściami piasek w oczy, aż dopóki z głowy nie wyjdą; wtedy je pakuje do worka i niesie na księżyc dla swoich dzie-



ci. Te zaś nie wylażą nigdy z gniazda, i mają jak sowy, ogromne dzioby zakrzywione, którymi łapczywie zjadają owe oczy, powydzierane nieposłusznym dzieciom.

Ten obraz okrutnego stracha z piasku, niezmiernie utkwiał mi w głowie. Wyobrażenia moja z dniem każdym dodawała do niego szczegóły, coraz więcej przerażające. Odtąd, na sam odgłos kroków po schodach, drżałem i nie dobrze mi się robiło. Żadne najczulsze słowa matki nie były w stanie uspokoić mojej obawy, i na wszystko odpowiadałem tylko ze łkaniem: *człowiek z piasku!* ja nie chcę *człowieka z piasku*. Poczem uciekałem coprędzej do łóżka, i nakrywszy głowę, przez całą noc umierałem ze strachu, dręczony prześladowaniem widziadła nawet we śnie.

Z czasem sam własną głową zastanawiać się począłem nad tem: że objaśnienia starej sługi nie wiele przedstawiały prawdopodobieństwa. Zawsze jednak *człowiek z piasku* przestraszał mię niemało. Czułem dreszcz po wszystkich członkach, nie już od stąpania po schodach, ale słysząc, jak się z trzaskiem otwierają drzwi

pokoju mego ojca, i jak ktoś do niego wchodzi. Niekiedy ten *ktoś* czas jakiś nie przychodził wcale, niekiedy znów bardzo często.

Trwało tak lat kilka, i pomimo, że już podraستاłem, ani podobna mi było oswoić się z tem wrażeniem. Obraz *człowieka z piasku* nie dawał się zatrzeć niczem w świecie. Stosunki jego z moim ojcem dręczyły mnie coraz mocniej, a jednak zanic pod słońcem nie byłbym się odważył stawiać mu w tym względzie pytania. Opanowała mnie żądza wyjaśnienia tej tajemnicy własnym pomysłem, i ujżenia własnymi oczyma straszliwego widziadła; żądza ta wzmacniała się we mnie z laty. Przeczuwałem w tem cały świat tajemnic, dziwnych wpływów i zagadkowych cieni, który zgłębić wyrywała się moja dusza. Lubilem wprawdzie i dawniej opowiadania o czarownikach, wilkołakach i upiorach, ale od czasu jak mnie opętał *człowiek z piasku*, nie było stołu, ściany, szafy, na którejby go nie rysował bezwiednie kredą lub węglem, nadając mu rysy najosobliwsze, a zawsze bardzo straszne.

W dziesiątym roku życia, przeniesiono mię z izby dziecinnej. Matka przeznaczy-

ła mi osobny pokóik niedaleko. Zawsze o dziewiątej, tak jak i wprzód, ile razy dały się słyszeć kroki nieznajomego na schodach, trzeba się było wynosić co najprędzej. Z izdebki mojej słyszeć było, jak wchodził do pokoju ojca i wkrótce dołatywała mię woń jakichś gęstych wyziewów, którymi niebawem wypełniał się dom cały. Wtedy budziłem w sobie odwagę, którą i tak już coraz więcej podsycała żądza dowiedzenia się jakim bądź kosztem, kto to jest ten *człowiek z piasku*. Niekiedy po wyjściu z matką, zakradałem się w korytarzu; zawsze jednak bezskutecznie. *Człowiek z piasku* był już zawsze u mego ojca, zanim zdążyłem stanąć na miejscu. Wreszcie, nie mogąc sobie dać już rady, wymyśliłem skryć się w pokoju ojca.

Pewnego wieczora, milczenie ojca i smutek matki zapowiedziały mi znowu odwiedziny *człowieka z piasku*. Udawszy zmęczenie, wymknąłem się przed dziewiątą i zakradłem się w kącie tuż przy drzwiach. Jedną razą zaskrzypiały drzwi od ulicy, i ktoś zaczął powoli, ciężkim krokiem, iść po schodach. Podczas kiedy matka odchodziła z dziećmi młodszymi, ja ostrożnie

drzwi otworzywszy, wśliznąłem się na-  
zad do pokoju. Ojciec siedział jak wprzó-  
dy, tyłem ku drzwiom, milczący, nieru-  
chomy, zadumany. Przekonawszy się, że  
nie wie o niczem, schowałem się pomiędzy  
firanke i szafę od sukien, kroki zbliżały się  
ciągle. Idący pokaszliwał, chrząkał, szedł  
bardzo powoli, zdawało się, że nigdy nie  
nadejdzie. Umierałem ze strachu i niecier-  
pliwości.

Wreszcie usłyszałem kroki już w kory-  
tarzu. Po chwili, silnie uderzono w klam-  
kę i drzwi się otworzyły z trzaskiem. Ze-  
brałem całą przytomność, i wytknąłem  
głowę, jak mogłem najostrożniej. Otóż  
i *człowiek z piasku* stoi na środku pokoju,  
blask świec w twarz mu uderzył. Cóż wi-  
dzieć! *człowiek z piasku*, ów straszny *czło-  
wiek z piasku*, toż to nie kto inny, tylko  
stary adwokat Koppelius, często na objad  
do nas przychodzący.

A jednak, najbardziej przerażająca po-  
stać nietyłe mnie trwożyła, co ten prze-  
kłęty Koppelius. Wystaw sobie niewielkie-  
go człowieka z szerokimi ramionami,  
ogromną głową, twarzą żółtą, jakby z pia-  
sku, krogulczym nosem, oraz gęstemi, sza-  
remi brwiami, pod którymi błyszczały zie-

lone, jakby kocie oczy. Wpadnięte jego usta otwierały się czasem do uśmiechu i wtedy szczękały w nich zęby, a na policzkach wykrawały mu się wypieczone, nie większe od złotówki rumieńce. Nosił on nieodmiennie suknię popielatą, staroświeckiego kroju, podobnież spodnie i kamizelkę, oraz czarne pończochy i trzewiki ze sprzączkami. Maleńka jego peruka, ujęta w worek mocno skrępowany, sterczała z przodu, jak dwa skrzydła, z tyłu zaś jak ogon podniesiony w górę. Wogóle był okropny i odrażający, ale osobliwszy wstręt w nas pobudzały porosłe włosom i guzowate palce tego człowieka; tak, że uważaliśmy za rzecz do wyrzucenia, czego się tylko raz dotknął. Spostrzegł to, i odtąd uwziął się obmacywać z jakiego bądź powodu ciasta lub owoce, które nam matka wydzielała przy obiedzie, lub chowała na podwieczorek. Pobudzało nas to do ostatniej rozpacz. Robił podobnież z winem, któreśmy od ojca dostawali w dni świąteczne. Dotykał kieliszków, albo je brał i przytykał sobie do swojej szkaradnej, sinej paszczyki, śmiejąc się po szatańsku, kiedy widział, żeśmy się wzdrygali. Nie nazywał nas inaczej jak

*robakami*. W jego obecności, nie śmieliśmy nieledwie oddychać, przeklinając w duszy obrzydliwca, śmiertelnego naszego wroga, który się uwziął zatrutować nam wszelkie przyjemności życia. Matka zdawała się równie go nienawidzić. Ile razy się pojawił, traciła wesołość, stawiała się zamyśloną, posępną. Co do ojca, to ten wyraźnie uważał w nim jakąś wyższą istotę; skwapliwie uprzedzał wszystkie jego chęci, zdawał się nieledwie czytać w jego oczach. Niech tylko wspomniał przypadkiem o jakiej ulubionej potrawie, zaraz mu ją sporządzano; najrzadsze wina, najzbytłowniejsze łakocie, wszystko było na jego usługi.

Widząc w tej chwili owego Koppeliusa, uczułem straszliwe światło w duszy. Tak jest, on tylko jeden mógł być tym *człowiekiem z piasku*. Tylko, że nie było to już więcej straszidło z bajki, wydzierające dzieciom oczy, dla zjedzenia ich na księżycu. Nie, tą razą, to jest okropne, niezmyślane widmo, wszędzie noszące ze sobą grozę, nieszczęście i zagubę doczesną i wieczną.

Byłem, jak przykuty do miejsca. Jak bądź mogłem być dostrzeżonym i jak



mniemałem, ukaranym surowo, żadnym sposobem nie byłem w stanie głowy cofnąć nazad.

Mój ojciec przyjął przybysza nader uroczyście.

— No! do roboty, — zawołał tenże głosem chrypiącym, zdejmując suknię.

Ojciec, nie odpowiedziawszy słowa, zdjął także szlafrok i oba wdzieli na siebie długie szaty czarne. Skąd je wzięli? nie mogłem dociec. Za chwilę otworzyły się w ścianie drzwi od szafy, to jest sądziłem dotąd, że istotnie były drzwiami od szafy; ale z nagłą pokazało się, że stanowiły wejście do ciemnej jakiejś alkowy, wyglądającej jak czarna pieczara, na której środku ustawiony był piecyk. Zbliżył się do niego Koppelius i niebawem rozniecił płomień błękitnawy. Stało tam Bóg wie ile przyrządów po wszystkich kątach. Boże miłosierny, jakże mój ojciec wyglądał pośród tego wszystkiego. Jakiś straszliwy, konwulsyjny niepokój zdawał się tak dziwnie wykrzywiać jego rysy zwykle słodkie i szlachetne, że wyglądało jakby miał na twarzy złośliwą maskę kusiela szatana. Stał się nawet podobny do Koppeliusa. Ten ostatni tymczasem krzą-

tał się nieustannie wokoło piecyka, mając w ręku rozpalone obcęgi, któremi wyciągał stamtąd bryłki jakieś iskrzące w gęstym dymie, a następnie kuł je na kowadle z wielkim pośpiechem i bardzo bystrą uwagą. Zdawało mi się, że widziałem wokoło wiele porozrzucanych twarzy ludzkich, ale bez oczu; głębokie, czarne, straszliwe dziury zastępowały ich miejsce.

— Oczu! oczu! — wołał ciągle Koppelius, głosem zarazem głuchym i grzmiącym.

Przejęty niewypowiedzianym strachem, krzyknąłem i padłem na ziemię. W oka mgnieniu schwycił mię Koppelius.

— Ach! przekłētu robaku, — zawołał zgrzytając. I porwawszy mnie w powietrze, rzucił na ognisko piecyka tak, że płomień zaczął mi zajmować włosy.

— Ach! mamy przecie oczy, śliczne, wyborne oczy! — mruknął do siebie, biorąc w palce rozżarzone węgle, które się zabierał przytknąć mi do oczu.

Wtedy poskoczył ojciec i zatrzymał mu rękę.

— Mistrzu, mistrzu, zostaw mu oczy, nie bierz ich, zaklinam cię!

Koppelius wybuchnął okropnym śmiechem.

— Ha! ha! to niech je sobie ma wreszcie, ten łobuz, żeby mógł płakać co najwięcej. Ale zato zbadamy przynajmniej mechanizm rąk i nóg.

To powiedziawszy, schwycił mnie tak silnie, że mi trzasły wszystkie stawy. Zaczął mi wykręcać ręce i nogi, to tam, to nazad, to w tę stronę, to w drugą, cierpiełem okropnie, alem ani pisnął.

— Nie, to się na nic nie zdało, wprzód było daleko lepiej; cóż ty na to mówisz, stary?

Tak prawił Koppelius. Co do mnie, uczułem wokoło gęste ciemności, przebiegł mnie dreszcz i wkrótce nie wiedziałem już o niczem.

Kiedym się ocknął, matka stała przy mnie.

— Czy *człowiek z piasku* jest tu jeszcze? — szepnąłem.

— Nie, moje dziecko, poszedł już dawno, już ci nie robi nic złego.

Mówiąc to, uściskała mnie czule, ze łzami w oczach.

Koniec końcem, oto co się pokazało w następstwie. Z przestachu, dostałem

niebezpiecznej gorączki, która mnie zatrzymała w łóżku przez kilka długich tygodni. Zapytanie moje było pierwszym słowem, które wymówiłem od czasu powrotu do rozumu, do zdrowia, jednym słowem — do życia. Pozostaje już tylko do opowiedzenia jeden z najstraszliwszych ustępów mojej młodości. Wtedy przekonasz się, Lotarze, że to nie jest żadne przywidzenie z mej strony, ale że istotnie coś wyrocznego zwiesza ponad mojem życiem tę zasłone chmur złowróżbnych, której może nie zdołam przedrzeć do śmierci.

Koppelius nie pokazał się więcej. Mówiono, że się wyniósł z miasta.

Tak upłynął z rok może. Pewnego wieczora, siedzieliśmy po dawnemu wokoło stołu. Ojciec był bardzo ożywiony i opowiadał rozmaite zajmujące szczegóły z podróży, które był odbył w młodości. W tem uderzyła dziewiąta. Znagła, drzwi od ulicy skrzypnęły na zawiasach, i wkrótce ktoś po schodach iść zaczął krokiem ciężkim i powolnym.

— To Koppelius! — szepnęła matka blednąc.

— Tak, to Koppelius, — powtórzył ojciec głosem słabym i złamanym. Łzy błysnęły w oczach matki.

— Ależ, mój mężu, — ośmieliła się zrobić uwagę, czyż to znowu powraca?

— Ostatni to już raz, przyrzekam ci. No, odejść i zabierz dzieci. Idźcie spać, dobranoc wam.

Zdawało mi się, jakby mi kto zwałił na piersi całe brzemie zimnych kamieni; tchu mi zabrakło. Widząc to, matka wzięła mnie na ręce.

— Choć, chodź Natanaelu, chodź mój mały.

Kiedyśmy już byli w sypialni, zaczęła mnie całować i pieścić.

— Uspokój się, uspokój, moje dziecko, mówiła, zmów pacierz, połóż się i zaśnij.

Ale dręczony niepokojem i niewypowiedzianą trwogą, oka zmrużyć nie mogłem. Odrażający, straszliwy Koppelius, uparcie stał przedemną, z błyszczącymi jak próchno oczyma, z drwiącym swoim uśmiechem. Napróżno się starałem oddalić od siebie to widmo.

Było już około północy, kiedy znagła

rozległ się wśród ciszy huk niesłychany, jakby wybuch rozerwanego działła. Zatrząsał się dom cały. W tejże chwili, przeszedł ktoś z łoskotem wzdłuż korytarza, zbiegł ze schodów i niebawem trzaśnięto drzwiami, wychodzącemi na ulicę.

— To Koppelius! — zawołałem przejęty zgrozą i wyskoczyłem z łóżka.

W tejże chwili usłyszałem rozdzierające krzyki rozpacz. Poskoczyłem do pokoju mojego ojca, od którego drzwi zastałem otwarte. Wychodził stamtąd dym duszący.

— Ach! nasz pan! nasz dobry pan! — wołała służąca.

Tuż przed dymiącem ogniskiem, na podłodze, leżał trupem mój ojciec, mając twarz całą czarną i popaloną okrutnie. Wokoło niego płakały małe siostry i matka zemdląca.

— Koppeliusie! przeklęty szatanie! toś ty mi zabił ojca! — wołałem i straciłem przytomność.

Kiedy w dwa dni potem, złożono ojca w trumnie, rysy jego odzyskały dawną słodycz i pogodę. To mi było niemałą po-



ciechą. Przekonałem się bowiem, że jego stosunek z Koppeliusem nie pociągnął go do zupełnej, wiekuistej zatury.

Wybuch rozbudził wszystkich sąsiadów. Rzecz doszła nawet do wiadomości władzy. Chciano Koppeliusa pociągnąć do odpowiedzialności, ale gdzieś przepadł bez śladu.

Jeżeli ci powiem teraz, że ów optyk wędrowny, który mnie obecnie nawiedzał, nie był kim innym, jak Koppeliusem, to spodziewam się, że nie weźmiesz mi za rzecz płonną ani mej obawy, ani smutku. Był tylko inaczej ubrany, ale co się tyczy rysów jego twarzy, wreszcie całej nawet postaci, aż do ruchów ciała, nazbyt go chowam w żywej pamięci, żebym się mógł omylić. Przytem nie zmienił nawet nazwiska. Powiadano mi, że się podaje za mechanika piemonckiego nazwiskiem: Giuseppe Coppola.

Postanowiłem, bądźcobądź, walczyć z tym człowiekiem do upadłego. Śmierć mego ojca pomszczona być musi.

Nic o tem wszystkiem nie mów mojej matce. Serdecznie pozdrawiam moją dobrą Klarę. Napiszę do niej, jak będę spokojniejszy. Żegnam Cię.

## II

## KLARA DO NATHANAELA.

Prawda, żeś do mnie dawno nie pisał, wiem jednak, że mnie zawsze chowasz w swem sercu. Co większa, widzę, że w każdej chwili myślisz o mnie, kiedyś aż list pisany do Lotara, wysłał pod moim adresem. Otworzyłam go z nieopisaną rozkoszą, i dopiero zaczęcie jego: — Kochany Lotarze, wywiodło mnie z błędu. Co prawda, zamiast go czytać dalej, należało oddać bratu, ale tego nie potrafiłam. Jak często wyrzucałeś mi w przystępie złego usposobienia, że, jak na młodą dziewczynę, nazbyt we wszystkim rozumiuję, nazbyt hołduję rzeczywistości. Nieraz żałowałeś, żem zdolna zrobić jak ta kobieta, która, uciekając z zapadającego się domu, jeszcze poprawiała fałdy w firankach. Z tem wszystkim, wierz mi, początek twego listu dziwnie mnie przeraził. Ach! mój drogi Nathanaelu, nie umiem ci wypowiedzieć, co się ze mną działo. Co? cóż to się takiego stało? jakież to straszliwy wypadek do tego stopnia struł ci życie? Pierwsza myśl moja była, że mi cię ktoś odbiera, że cię więcej nie

ujrzę; życie uciekało ze mnie od wrażenia tej myśli, daruj mi tedy, żem czytała dalej. Czytałam i odczytywałam bez końca. Twój opis tego niegodziwego Koppeliusa jest okropny; nic też dotąd nie wiedziałam o rodzaju śmierci twego nieszczęśliwego ojca. Lotar, kiedym wreszcie list oddała, usiłował mnie uspokoić, ale na próżno. Przeklęty optyk wędrowny stał mi ciągle na oczach; we śnie nawet, wyznam ci ze wstydem, poraz pierwszy w życiu, doświadczyłam przykrych marzeń. Wkrótce jednak, bo już nazajutrz, umysł mój wrócił do zwykłej spokojności. Nie gniewaj się, mój najdroższy, jeśli ci Lotar doniesie, że pomimo twych dziwnych przywidzeń, zachowałam podawnemu wesołość i spokój duszy.

Muszę wyznać otwarcie, żem jest tego przekonania, iż wszystkie okropności, o których mówisz, wprost odbywały się wewnątrz twego mózgu; rzeczywisty zaś świat zewnętrzny najmniejszego w tem nie brał udziału. Stary Koppelius mógł być sobie porządnie odrażający, i ponieważ niecierpiał dzieci, ten jego wstręt mógł w was z postępem czasu rozbudzić prawdziwą zgrozę. Rzecz prosta, że się

do tego niemało przyłożyć mogła i myśl o *człowieku z piasku*, zasłyszonym w bajce. Podrastając, mogłeś przestać wierzyć w *człowieka z piasku*, niemniej jednak przestraszał cię Koppelius, boś miał do niego wstręt nabyty. Jego tajemne nocne schadzki z twym ojcem, nie miawały zapewne innego celu, jak doświadczenia alchemiczne, którym twoja matka niezbyt mogła być rada, raz dlatego, że bezużytecznie pochłaniały niemało pieniędzy, a powtóre, że jak zwykle bywa w takich razach, ojciec twój, nazbyt się oddając marnym ułudom zdobycia bogactw i ciemnej mądrości, pod wpływem tej żądz, zaniedbywać musiał rodzinę. Co się tyczy śmierci twego ojca, ośmielam się mniemać, że była tylko owocem nieostrożności, i że Koppelius nic w tem nie był winien. Czy uwierzysz, żem się w tym względzie rozpytywała naszego sąsiada aptekarza, bardzo doświadczonego chemika. Powiedział mi, że w istocie zdarzają się wypadki pęknięcia retort, skutkiem czego można znaleźć śmierć niespodzianą.

Być może, że się gniewać będziesz na twoją Klarę i powiesz: do tej zimnej du-

szy nie przeniknie nigdy promień przecucia tej tajemniczej siły, która często chwyta życie człowiecze w niewidzialne ramiona. Nie dalej ona widzi jak tylko tęczową powierzchnię rzeczy ziemskich, i cieszy się jak dziecię owocem, którego łupina błyszczy pozłocisto, choć w głębi jego kryje się śmiertelna trucizna.

Ach, mój drogi Nathanaelu, wierz mi, że nawet w duszy jak moja, pustej bez troski, niedbałej o jutro, zbudzić się może przecucie nieznanej, niebezpiecznej potęgi, która się sprzysięgła zgubić człowieka, aż do rdzenia jego istoty. Przebacz mi, że taka, jaką mnie znasz, prochu nieumiejąca wymyślić dziewczyna, ośmielałam się wypowiedzieć otwarcie, co myślę o tej dziwnej walce, która się mniej lub więcej silnie, nieustannie jednak odbywa w naszej duszy. Może nie znajdę na to odpowiednich wyrażań, i śmiać się ze mnie będziesz, nie żeby zdanie moje było śmieszne, ale że wymowa nie potemu. Koniec końców jednak, oto co sądzę o tem wszystkim.

Istnieje jakaś tajemnicza potęga, usiłująca nieustannie opłatać nasze istnienie, celem pociągnięcia go na niebezpieczną

drogę, którejbyśmy nie wybrali bez jej wpływu. Na to potrzebuje wcielić się w kształty odpowiednie naszej naturze, jednym słowem stopić się z naszą osobistością, gdyż w przeciwnym razie rzeczby jej się nie udała. Jeżeli umysł nasz dostatecznie się już wzmógł na siłach doświadczeniem, tak, że na pierwszy rzut oka potrafi rozpoznać wszelki wpływ obcy sobie i zgubny, i tyle być panem siebie, żeby się nie dać zbić z drogi, odpowiedniej swym skłonnościom i powołaniom, to władza ta dziwna nie zdoła nigdy przybrać kształtów określonych, które po większej części bywają tylko własnym naszym obrazem, jakby odbitym w zwierciadle.

Choć znowu nic pewniejszego (jak mi powiadał Lotar), że byle się tylko poddać wpływowi tej władzy, potrafi ona wprowadzić do naszej duszy również i obce obrazy, brane z świata zewnętrznego, które w dziwnem jakimś oszołomieniu sami ożywiamy własną wolą, dobrowolnie tym sposobem dopomagając naszej zgubie. Zawsze to własna nasza osobistość jest tu działaczem głównym; tylko że stosownie do kierunku jakiemu się



poddaje, równie nas w niebo wynieść jak i do piekła zaprowadzić może. Poznasz z tego, drogi Nathanaelu, jakieśmy tu pracowicie o tem wszystkiem rozprawiali z Lotarem. Zasady naszej teoryi wydają mi się warte twego zastanowienia. Nie ze wszystkiem rozumiem to, co z objaśnień Lotara spisałam w końcu: czuję jednak, że i w tem tkwi prawda głęboka. Proszę cię na wszystko, nie myśl więcej o tym brzydkim adwokacie, ani o tym wędrownym optyku. Upewniam cię, że najmniejszej władzy mieć nad tobą nie mogą. Jedynie wiara twoja w ich potęgę może ich zrobić prawdziwie niebezpiecznymi. Doprawdy, gdyby nie zasmucający ton twojego listu, oraz współczucie dla twego strapienia, czułabym się zdolną pożartować sobie z tego *adwokata-człowieka z piasku* i zarazem wędrownego przekupnia. Dobrej myśli, wesołości, mój panie. Ułożyłam sobie, że ci będę Aniołem-stróżem, i, że koniecznie wyśmieję z twojej wyobraźni tego brzydasa Coppolę czy Koppeliusa. Upewniam cię, że się go nie boję ani trochę, a nawet nic sobie nie robię z jego rąk guzowatych. Nie dam mu ani moich konfitur, jeśli zechce być adwo-

katem, ani moich oczu, jeśli się przeobrazi w *człowieka z piasku*. Do zobaczenia mój najdroższy. Kocham cię jak zawsze, twoja do zgonu.

### III.

#### NATHANAEL DO LOTARA.

Przykro mi bardzo, że Klara przeczytała list do ciebie pisany. Przekłęte roztargnienie stało się tego przyczyną.

Odpisała mi na to w sposób bardzo głęboki i sceptyczny, dowodząc jasno jak na dłoni: że Koppelius i Coppola są tylko wyrobem mojej wyobraźni, że to tylko widziadła własnej mojej osobistości, które się rozpierzchną, jeśli się zdobędę uznać je za złudzenia.

Niktby się nie domyślił, wnosząc z jej powłóczystego, melancholijnego spojrzenia, do jakiego stopnia rozumek mieszkający w jej pięknej główce, zdolny jest stawiać zasady, klasyfikować kategorie i robić logiczne wywody. Odwołuje się do twego sądu, utrzymując, że oboje o tem rozmawialiście. Mógłbym myśleć, że jej

wykładasz początki filozofii. Daj temu pokój.

Zresztą, okazało się rzeczą pewną: że optyk Coppola nic niema wspólnego z adwokatem Koppeliusem. Właśnie uczęszczałam na wykład fizyki sławnego Spallanzanego, będącego jak wiesz, Włochem. Koppelius zaś był Niemcem.

Bądź co bądź, nie uspokoilem się jeszcze w zupełności. Miejcie mię sobie za co chcecie, ale nie podobna mi pozbyć się na zawołanie wrażenia, jakiego doznałem na widok tego przekłętego Coppoli. Szczęściem, że się już wyniósł z miasta; wiem to od Spallanzanego.

Ten Spallanzani, to także dziwna figura. Niewielkiego wzrostu, szczupły, z wystającymi kośćmi policzkowymi, cienkim nosem, obwisłymi usty, przeszywającym wzrokiem. Zresztą, jeśli chcesz mieć dokładniejsze jeszcze o nim pojęcie, wyszukaj sobie w berlińskim almanachu portret Cagliostro, rytowany przez Chodowieckiego. Powiadam ci, to żywy portret Spallanzanego.

Niedawno, idąc po schodach, spostrzegłem w jednym z okien jego mieszkania nieco uchyloną firankę. Sam nie wiem

czemu, zajrzałem ciekawie. Siedziała tam przy stoliku, trzymając na nim złożone nakrzyż ręce, cudownej piękności, prześlicznie ubrana młoda kobieta. Odwrócona była twarzą ku mnie, ale nie zdawała się mnie widzieć. Wogólności, spojrzenie jej miało w sobie coś wrytego, byłbym skłonny przypuścić, że musi być pozbawiona wzroku. Wyglądało, jakby spała z otwartymi oczyma. Dowiedziałem się później: że to była Olympia, córka Spallanzaniego, której tak zazdrośnie strzeże, że dotąd nikt się do niej zbliżyć nie zdołał. Musi mieć jakieś w tem przyczyny. Może jest słaba na umyśle, lub coś podobnego.

Ale doprawdy, pocóż ja ci piszę to wszystko, kiedy będę mógł opowiedzieć nierównie dokładniej. Bo najdalej za dwa tygodnie będę z wami. Muszę się osobiście wyklócić z moją dobrą, serdecznie ukochaną Klarą, a potem bez szemrania poddać się jej wpływowi. To mię wyleczy lepiej stokroć, jak wszystkie rozsądne jej listy przysyłane zdaleka. W pięknych jej różowych ustach, prozaiczna nawet prawda nabiera poezyi. Do zobaczenia, moi drodzy.

## IV.

Do listów poprzednich wypadnie dodać niektóre objaśnienia, będące w związku z przeszłością naszych bohaterów. W czas jakiś po śmierci ojca Nathanaela, Klara i Lotar, sieroty, dzieci dalekiego krewnego, zostały przygarnięte w domu wdowy, celem wspólnego z jej dziećmi wychowania. Wkrótce Nathanael pokochał Klarę, i gdy się przekonał, że była mu wzajemną, za zezwoleniem matki, zaręczył się z nią, i wyjechał do Getyngi kończyć rozpoczęte nauki. Właśnie go tam widzieliśmy uczęszczającego na wykłady Spallanzanego.

Klara nie była w ścisłym znaczeniu piękna, choć w kształtach jej ciała nie było nic do zarzucenia. Miała wiele wdzięku w postawie, ale rysy twarzy nie zalecały się regularnością. Miała jednak cudowne włosy i płeć niesłychanie delikatną. Ale nadewszystko wyraz oczu, który zdolny był zachwycić najwymyślniejszego artystę! Jeden z takich, malarz-entuzysta, porównał je z jeziorem Ruisdaëla, w którym przegląda się jednocześnie i przeczysty niebios błękit, i zarazem dalekie krajobrazy przepysznej fantazyi.

Poeci i kompozytorowie szli nierównie dalej jeszcze.

Jeziro i zwierciadło? cóż znowu! Z oczu tej dziewczyny tryskają natchnienia i harmonie. Czyż nie widzicie jak się uśmiecha litośnie, ile razy który z nas popisuje się w jej obecności. Bo w duszy swojej nosić musi stokroć obfitsze zasoby piękna, niż nas wszystkich razem stać na to.

W istocie, Klara posiadała wyobraźnię naiwną jak niewinność dziewczęcia, duszę tkliwą i głęboko kochającą, ale zarazem umysł bystry i przenikliwy. Stąd nie lubiła dziwaków, i jeśli jej się zdarzyło spotkać gdzie którego, to już na pierwszy rzut oka wzrok i uśmiech zdawał się mówić:

— Mój dobry panie, niech ci się też nie zachciewa żebym brała twoje przywidzenia za coś istotnie żyjącego na świecie.

Z tego względu, Klara była nawet przez wiele osób pomawiana o chłód, nieczułość i prozę. Natomiast ludzie rozumiejący warunki życia zwyczajnego bardzo lubili tę rozsądną dziewczynę. Wszakże nikt nie miał tyle do niej przywiązania co Nathanael. Klara kochała go także z ca-



łej duszy, i kiedy po raz pierwszy rozłączyć im się przyszło, może jeszcze więcej bolała nad tem od niego. Z jakim życiem pobięła rzucić się w jego objęcia, kiedy wrócił, jak to był obiecał w ostatnim liście! Stało się też jak był przewidział; gdyż zaledwie ujrzał Klarę, zapomniał natychmiast: i o zbyt rozsądnym jej liście, i o Koppeliusie i o Coppoli i o wszystkim na świecie.

Nie trwało to jednak długo. Miał słuszość pisząc w swoim liście, że zjawienie się wędrownego optyka fatalnie wpłynęło na jego życie. Niebawem zapadł znowu w ponure marzenia i począł roić rzeczy dziwne jak nigdy. Życie ziemskie w mniemaniu jego, było tylko sennem przecuciem.

— Człowiek błędnie mniema, iż jest samoistny, — powtarzał. — Przeciwnie, służy on tylko za igraszkę tajemniczym potęgom, przeciw którym walczyć rzeczą jest daremną! Prędzej lub później ulega się koniecznie losowi, który nam zgóry naznaczono.

Uwziął się nawet dowodzić, że jest szaleństwem, jakoby w nauce i sztukach mo-

zna co było wytworzyć własną swoją, wolną wolą; gdyż entuzjazm, który sam tylko posiada zdolności twórcze, nie przychodzi z wewnątrz, ale jest wynikiem pierwiastku zewnętrznego, działającego na człowieka bezpośrednio.

Rozsądna Klara z wstrętem odpychała ten fanatyczny mistycyzm; z tem wszystkim nie zdawało się jej właściwem zbijać twierdzenia Nathanaela; wszakże kiedy ten ostatni począł pewnego razu dowodzić: jako Koppelius, w charakterze niegodziwego ducha, opętał go od chwili, kiedy się ujrzał podpotrywanym z poza firanki, i jako zapewne zechce zawichrzyć ich wspólne przyszłe szczęście, nie mogąc się wstrzymać dłużej, wstała i rzekła poważnie:

— Tak jest, Nathanaelu, masz słuszość. Koppelius jest rzeczywiście niegodziwym duchem. Może on w istocie nabroić niemało, jako wcielony szatan kusiciel; ale to jedynie wtedy, jeśli go się nie pozbędziesz z twej myśli. Jak długo wierzyć w niego będziesz, żyć on będzie i działać; nie co innego bowiem, jak tylko wiara twoja stanowi jego siłę.

Nie mogąc jej przekonać w sprawie

Koppeliusa, usiłował Nathanael obeznać ją z zasadami wyznawanego przez siebie mistycyzmu tajemniczych wpływów. Ale i to się na nic nie zdało. Uparta dziewczyna zaczęła mówić o czem innem, co wreszcie naprawdę już drażnić poczęło Nathanaela. Pomyślał: że marnuje ważne i głębokie zadania, rozpraszając je pomiędzy zimne i nieczułe dusze, nie zdając sobie sprawy: czy i Klarę do ich liczby zalicza. Swoją drogą, nie zaniechał usiłowań żeby ją koniecznie zjednać swym przekonaniom. Zdarzało się, że przyszedłszy zrana na kawę, przynosił jej różne książki mistyczne, z których czytał coraz ważniejsze ustępy. Wtedy Klara odzywała się z uśmiechem, spoglądając mu w oczy:

— Ależ mój drogi Nathanaelu, powiedzieć by można, że tym sposobem jesteś jakimś niegodziwym pierwiastkiem. Wywierasz bowiem jak najzgubniejszy wpływ na moją kawę. Nie mogę od ciebie oczu oderwać, kiedy czytasz, a tu tymczasem wszystko wykipiało, i nie będziemy mieli śniadania. Daj lepiej pokój mistycyzmowi, bo mi to przeszkadza być dobrą gospodynią.

Na te słowa Nathanael gniewny za-

mykał książkę i odchodził do swojego pokoju. Niegdyś posiadał prawdziwy talent do poezji, co Klarze robiło największą w świecie przyjemność. Obecnie, wytwarzał tylko rzeczy dziwne i niepojęte. Choć Klara nie robiła mu już o to uwag żadnych, spostrzegł się przecież na zmianie jej upodobania w tym względzie.

W istocie, nie było dla niej nic przykrzejszego jak nudy. Kiedy ich doświadczała, wzrok jej równie jak rozmowa zdawał się wypowiadać zdętwienie, w które umysł jej zapadał. Przyznać zaś należy, że poezye Nathanaela stały się wierutnie nudne. Do tego, żal, jaki miał do Klary, znajdując, że odkrył w niej duszę chłodną i prozaiczną, zdawał się wzrastać coraz silniej; tembardziej, że i Klara ze swej strony nie mogła przemóc na sobie niejakiego wstrętu, widząc jak Nathanael coraz silniej zapadał w swój ponury i niedorzeczny mistycyzm. Tym sposobem, wzajemnie coraz więcej oddalali się od siebie, ani się spostrzegając.

Tymczasem, postać Koppeliusa rzeczywiście znacznie była zbladła w jego wyobraźni, tak, że z trudnością przychodziło mu wprowadzić ją do poezji, w których

usiłował wypowiedzieć cały zgubny wpływ na swoje przeznaczenie.

Z tem wszystkiem przedsięwziął utworzyć poemat, mający na przedmiot ponure przeczucie nieszczęścia z tej strony. Przedstawił Klarę i siebie związanych zobopólną, silną miłością, udręczanych jednak od czasu do czasu złowróżbnymi znakami ciemnego jakiegoś wokoło nich wpływu. Wreszcie, w chwili kiedy się już znajdują u ołtarza, zjawia się straszliwy Koppelius, dotyka czarownych oczu Klary, te natychmiast wyskakują z oprawy i tryskają na podobieństwo krwawych gwiazd na pierś Nathanaela, którą zapalają płomieniem. W tejże chwili porywa go Koppelius i rzuca w ogniste koło, kręcące się z szybkością huraganu w pośród świstu i zgrzytu. Zewsząd szturmują tam wzdęte i spienione bałwany, szamocąc się między sobą na podobieństwo czarnych olbrzymów z posiwiałemi głowy. Jednakże wpośród ogłuszającego ich ryku, słyszy jeszcze słodki głos swojej Klary, szepczący mu:

— Jam przy tobie, opamiętaj się. Nie wierz Koppeliusowi. To nie moje oczy piersi ci ogniem zżarły, to tylko palące

krople krwi własnego twego serca. Ja mam swoje oczy jak i dawniej, spojrzysz w nie...

— Prawda! cóż za niedorzeczność! — mówi sobie Nathanael. — Toż to Klara jest przy mnie, toż ja należę do niej na wieki.

Oprzytomnienie to zdaje się wywierać wpływ ogólny. Płomieniste koło gaśnie, huk przepada w otchłani. Nathanael spogląda w oczy Klarze, ale okazuje się, że te oczy są oczami umarłej, i zatrzymują się na nim z wyrazem miłości.

Na tem się kończył poemat Nathanaela. Dopóki go wytwarzał, czuł się całkowicie uspokojonym. Pracowicie wyglądał i zaokrąglął strofy, i ponieważ przedsięwziął użyć wiersza miarowego, dopóty nie spoczął, aż nie przywiódł wszystkiego do ostatecznej harmonii. Kiedy wreszcie skończył swoją pracę, umyślił przeczytać ją głośno. Ale zaledwie uchem zasłyszał te dziwne rytmy, ogarnęła go niewysłowiona trwoga.

— Skąd mi się wzięły te straszliwe dźwięki? — spytał sam siebie.

Ochłonawszy jednak stopniowo, począł widzieć w poemacie swoim zwyczajną



tylko robotę ducha, która mu się nad podziw udała. Pomyślał, że jeżeliby go przeczytał Klarze, możeby zdołał tym sposobem choć trochę rozgrzać tę lodowatą duszę.

Pewnego dnia siedzieli sobie oboje w ogrodzie. Klara była wesola jak ptaszę, gdyż Nathanael od trzech dni już (wprawdzie trzy dni te spędził na pracy nad swoim poematem) nie męczył jej ani marzeniami, ani przeczuciami. Nathanael także był jakoś odzyskał dawną swoją wesołość.

— Co teraz, — rzekła Klara, — to już widzę napewno, żeś znowu mój po dawnemu, drogi Nathanaelu! widzisz jak nam się udało wreszcie odegnąć wspólnemi siłami tego niegodziwca Koppeliusa.

Słowa te nieszczęściem przypomniały Nathanaelowi poemat, który miał przy sobie. Wyjął go z kieszeni i zaczął czytać. Klara będąc pewna, że to znowu coś bardzo nudnego, zdobyła się na rezygnację i wzięła pończoszkę. Ale wsłuchawszy się, przerażona upuściła druty, i poczęła się bystro przyglądać poecie. Ten nieubłagany czytał dalej, rozplomieniły mu się policzki, w oczach łzy zabłyśły. Skończywszy, jęknął głucho, i porywając rękę Kla-

ry, zawołał z wyrazem niewysłowionej boleści:

— Klaro moja, Klaro, Klaro!

Ona rzuciła mu się na szyję i wyszeptała z cicha:

— Nathanaelu, drogi Nathanaelu, jeśli mię kochasz choć trochę, rzuć w ogień tę śmieszna i szaloną robotę.

Ale ten zerwał się oburzony, i odwracając od siebie kochankę:

— Precz, przeklęty automacie bez życia! — zawołał grzmiącym głosem i wybiegł.

Klara, zraniona do żywego, zalała się gorzkimi łzami.

— Mój Boże, on mię nigdy nie kochał,— wyrzekła łkając.

Wtem nadszedł Lotar. Na naleganie jego, Klara zmuszona była opowiedzieć mu wszystko, co zaszło. Lotar czule kochał siostrę. Poprzednie szaleństwa już go były kosztowały nie mało krwi zimnej; to ostatnie dopełniło miary. Pobiegł do Nathanaela i rozmówili się z sobą w sposób wielce ostry. Pojedynek stał się nieuniknionym.

Postanowili bić się niedalej jak naza-jutrz zrana, poza ogrodem, na rapiery,

studenckim zwyczajem. Ale Klara domyśliła się wszystkiego, słysząc ich sprzecz-  
kę, dostrzegła jak broń przynoszono.  
O oznaczonej godzinie, kiedy już zamie-  
rzali wzajemnie godzić na siebie, wbiegła,  
by rzucić się pomiędzy walczących.

— Szaleńcy!—zawołała, łkając,—mnie  
najprzód zabijcie: bo czy brat mój zabije  
mi narzeczonego, czy narzeczonego brata,  
w obu razach żyć mi niepodobna.

Na te tkliwe słowa Lotar opuścił broń  
zawstydzony. Jednocześnie Nathanael do-  
tknięty wyrzutem uczuł w sercu całą moc  
swego przywiązania do Klary. Rzucił  
precz rapier i padł jej do nóg.

— Ach! czyż zdołasz przebaczyć mi to  
kiedy, Klaro moja? jedyna moja! najuko-  
chańsza moja! — rzekł ze łzami. — Prze-  
baczysz-że mi to kiedy, bracie mój Lotar-  
ze?

Wzruszył się Lotar tą głęboką boleścią  
przyjaciela. Otworzył ramiona, i padli so-  
bie w objęcia, poprzysiegając odtąd być  
sobie braćmi do śmierci. Był to jeden  
z najszcześniejszych dni w życiu Klary.

Nathanael uczuł ulgę, jakby ogromne  
jakieś brzemie odwalił sobie z piersi. Raz,  
silny postawiwszy opór tajemniczej potę-

dze, mniemał się jakby odrodzonym nanowo. W istocie bowiem szło tam o życie, któremu zagrażała zguba, jak sądził, nieunikniona. Tak więc trzy dni jeszcze pozostał z swymi przyjaciółmi, poczem wybrał się z powrotem do Getyngi kończyć rozpoczęte nauki, do czego jeszcze potrzebował roku.

Zamilczano przed matką Nathanaela, wszystko co było w związku z Koppeliusem; wiedzano bowiem, że nie mogła bez wstrętu słyszeć nawet nazwiska tego człowieka, któremu wraz z synem przypisywała śmierć swego męża.

## V.

Proszę sobie wyobrazić zdumienie Nathanaela, kiedy przybywszy do Getyngi, zastał tylko zgłiszcza z domu, w którym miał mieszkanie. Chociaż ogień zajął się był w pracowni aptekarza, mieszkającego na dole, to jednak przyjaciele zdołali wyłamać drzwi od pokoju i uratować wszystkie jego książki, rękopisy i instrumenty, tak, że prawie nic nie przepadło. Znalazł to wszystko prze-

niesione do innego mieszkania, które pod jego nieobecność dla niego najęto.

Trzeba zdarzenia, że okna tego pokoju wychodziły wprost na mieszkanie profesora Spallanzaniego. Dość było rzucić stamtąd okiem, żeby zaraz ujrzeć piękną Olympię. Siedziała zawsze jak i wprzód sama jedna, zawsze w tej samej postawie, nieodmiennie przy tym samym stoliku, bez żadnego w świecie zajęcia, wyraźnie jednak spoglądając ku Nathanaelowi. Nigdy mu się nie zdarzyło widzieć piękniejszej postaci. Z tem wszystkiem, ponieważ Klara wyłącznie panowała w jego sercu, zjawisko to było mu najzupełniej obojętne, miał tylko upodobanie spoglądać na nią niekiedy, jakby na jaki piękny posąg; nie widząc jej zaś, myślał o czem innem.

Właśnie zajęty był pisaniem listu do Klary, kiedy zapukano do drzwi, i niebawem ukazała się na progu nieprzyjemna postać Coppoli. Nathanael uczuł dreszcz po wszystkich członkach, ale przypomniawszy sobie zapewnienie Spallanzaniego, oraz słowo, które był dał Klarze, zawstydział się w duszy tak płonnego uprzedzenia. Zmógł się tedy na siłach, i rzekł jak mógł najobojętniej;

— Nie potrzeba mi barometru, mój panie.

Na te słowa Coppola wkwaterował się całkiem do pokoju, i odezwał się głosem ochrypłym:

— Nie, nie, nie idzie tu o barometr, bo ja mam także i oczy... piękne, przepyszne oczy...

Mówiąc to, uśmiechał się wyszczerzając zęby, a oczy jego błyszczały jak pruchno z pod gęstych brwi szpakowatych.

Nathanael zerwał się wystraszony.

— Jesteś szalony mój panie; jakże możesz mieć do zbycia oczy, oczy... oczy...

Wtedy Coppola ściągnął ręką do kieszeni, i wyciągnawszy stamtąd całą garść okularów, zaczął je rozkładać na stole.

— Ech, ależ ja chcę mówić o okularach, o okularach, które kładzie się na nosie, to właśnie nazywam oczami.

Cedząc przez zęby te słowa, wyciągał coraz więcej okularów, tak, że wkrótce cały stół zaiskrzył dziwnymi jakimiś odblaskami. Tysiące najrozmaitszych spojrzeń zdawało się mrugać stamtąd na Nathanaela, który żadnym sposobem nie odwrócił wzroku. A tymczasem Coppola wyciągał coraz nowe okulary, i spojrzenia



coraz ognistsze, coraz krwawsze, coraz dziksze, coraz nieubłagańsze, raziły wzrok, mroziły serce w piersiach Nathanaela.

— Dosyć! dosyć, straszliwy człecze! — zawołał wreszcie, odchodząc od siebie ze zgrozy.

Mówiąc to, rozpaczliwie przytrzymał rękę swego prześladowcy, który wyciągał całe garście, jakbądź nie było kłaść już i na czem; Coppola wyrwał mu rękę, chichocząc w sposób przeszywający dreszczem.

— A! to pan sobie tego nie życzy! nie wiedziałem, przepraszam, — rzekł pośpiesznie. No, ale ja tu mam inne szkiełka, bardzo piękne...

Przez ten czas pozbierał był i pochował wszystkie okulary, i sięgnawszy do innej kieszeni, zaczął z niej wyjmować lornetki i perspektywy.

Jak tylko okulary poznikały ze stołu, Nathanael uspokoił się w zupełności. Pomyślał o Klarze, i przekonał się natychmiast: że wszystkie złe wrażenia miały tylko źródło w nim samym, i, że Coppola nie był żadnym strachem, ani tembardziej przypomnieniem przekłętego Koppeliusa, ale przeciwnie uczciwym sobie mechani-

kiem i optykiem. Szkła bowiem, które wyjmował z drugiej kieszeni, nie miały w sobie nic nadzwyczajnego. Chcąc się tedy z nim pogodzić, umyślił kupić cośkolwiek.

Wybrał więc lornetkę, i przyłożył do oczu, chcąc ją wypróbować. Nigdy w życiu nie widział lepszej; przybliżała tak dokładnie, że aż rozkosz było patrzeć. Mimowolnie skierował ją ku pokojowi Spallanzanego.

Olympia siedziała tam jak zwykle, z rękoma złożonemi na stoliku. Była cudownie piękna, tylko oczy wydawały się wryte, jakby u umarłego. Jednak w miarę, jak się jej przypatrywał, wyraźnie budziły się w nich wilgotne jakieś blaski, jakby promienie wstającego księżyca. Powiedziałbyś: że zdolność widzenia rodziła się dopiero w tej postaci. Stopniowo oczy jej ożywiały się coraz mocniej.

Nathanael stał jakby przykuty do okna, nie umiejąc oderwać wzroku od widoku pięknej Olympii. Wreszcie usłyszał za sobą suche pokasływanie, które mu przypomniało czekającego Coppolę.

— Trzy dukaciki tylko! Trzy dukaciki, to nie drogo.

Nathanael zapłacił skwapliwie.

— Nieprawda? piękne szkiełka, śliczne szkiełka? — mówił Coppola ochrypłym głosem, uśmiechając się szyderczo.

— Piękne, piękne, — rzekł mu na to Nathanael, opryskliwie. No, już idź sobie, bywaj zdrów przyjacielu.

Coppola idąc po schodach, zdawał się dusić od śmiechu.

— Wyraźnie drwi ze mnie, — pomyślał Nathanael; sądzi pewnie, że przepłaciłem lornetkę; oszalał! przepłacić podobną lornetkę? Ale może ją i przepłaciłem?

Kiedy to mówił, zdało mu się słyszeć westchnienie jakieś w pokoju. Dreszcz go przebiegł i włosy wstały na głowie, ale niebawem przekonał się, że to on sam westchnął.

— Mą słuszność Klara, — rzekł do siebie, — cierpię rzeczywiście chorobliwe przywidzenia. Czyż istotnie może mi co tak dalece zależeć na tem: czy tę lornetkę przepłaciłem, czy też kupiłem tanio? Dlaczego mi myśl o tem nie daje spokoju? pojąć tego nie mogę.

Siadł kończyć list do Klary, ale, spojrzawszy przypadkiem w okno Olympii, uczuł się zmuszonym porwać znowu lor-

netkę, i utonąć wzrokiem w tę postać cudowną. Niewiadomo, jak długo trwał w tem upojeniu; przerwał mu je dopiero Zygmunt, jego kolega, oznajmiając, że już czas iść na wykłady.

Wróciwszy do siebie, zastał w oknie Olympii zapuszczoną firankę. Tak samo było dnia następnego i jeszcze następnego. Na trzeci dzień ujrzał całe okno staranniej jeszcze zasunięte gęstą storą.

Zrozpaczony, rozgorączkowany, wybiegł na miasto. Obraz czarownej Olympii unosił się przed nim w powietrzu, wypływał z każdego obłoku, zdając się spoglądać na niego promienistemi oczyma z błękitnej wód przezroczy. Myśl o narzeczonej całkiem wywietrzała mu była z głowy, marzył już tylko o Olympii.

— O ty cudowna gwiazdo miłości! — wołał odchodząc od siebie, — czyliż na to tylko zabłysłaś na niebie, żeby zniknąć bezpowrotnie? Czyliż mnie zostawisz samego, na pastwę ciemnościom i rozpaczy?

Wracając do siebie, spostrzegł wielki jakiś ruch w domu Spallanzaniego. Drzwi wszędzie poroztwierane były naprzestrzał, wnoszono rozmaite sprzęty. Okna na pierwszym piętrze były powyjmowane,

myto i zaprawiano posadzki, wykurzano meble, wszędzie kręcili się stolarze i tapicerzy. Zdziwiony przypatrywał się temu wszystkiemu, stojąc na ulicy, kiedy wtem przybliżył się do niego Zygmunt, śmiejąc się hucznie.

— Ha! ha! Cóż ty mówisz na to wszystko?

Nathanael nie wiedział, co odpowiedzieć. Wtedy Zygmunt objaśnił go: iż stary Spallanzani nie dalej jak jutro daje bal nader świetny, na który zaproszona jest przynajmniej połowa uniwersytetu. Chodzi zaś wieść, że na tym balu poraz pierwszy wystąpić ma jego córka, którą dotąd tak zazdrośnie trzymał w ukryciu.

Nathanael, znalazłszy u siebie zaproszenie, w oznaczonej godzinie zjawił się u profesora. Już było na dziedzińcu mnóstwo powozów, w salonach światła rażące, zwierciadła, kwiaty, tłum gości. Wtem rzeczywiście ukazała się Olympia, w ubiorze tak gustownym, że odrazu wszystkich zachwyciła. Była też piękna, niema co mówić; nawet prześliczną miała figurę. Jednak, rozpatrzywszy rzecz dokładniej, można było sądzić, że jest zanadto ści-

śnięta sznurówką, tak jakoś wyglądała sztywno. Także chód jej i ruchy miały w sobie coś jakby ściśle obliczonego, i nadto jednostajnego. Nie podobало się to niektórym osobom zbyt wymagającym, ale też młodej osobie, poraz pierwszy w świat wchodzącej, zadowolić wszystkich niełatwo.

Rozpoczęto zabawę koncertem. Olympia dała się naprzód słyszeć na fortepianie, w czem okazała biegłość znakomitą, choć nieco zamało uczucia; następnie odśpiewała przepyszną *aryę di bravura* głosem czystym i dźwięcznym, ale który nieco przypominał harmonijkę. Nathanael był zachwycony. Stojąc poza tłumem słuchaczy, nie był w stanie dokładnie widzieć twarzy Olympii, dobył tedy z kieszeni lornetki Coppoli, i przyłożył do oczu.

O rozkoszy! Wtedy to spostrzegł dopiero, że urocza dziewczyna w niego tylko patrzyła, w niego jednego, i, że modulatorym jej głosu, najcudowniej odpowiadały namiętne jej spojrzenia! Świetne dźwięki, ulatując z jej piersi wzdętych miłością, wydawały się Nathanaelowi cudownymi wyrazami, których znaczenie czytał w własnem sercu, i kiedy umilkła, nie



mogąc się powstrzymać dłużej, zawołał mimowolnie, sam nie wiedząc, co mówił:

— Olympio! ach! Olympio!

Wszystkie spojrzenia skierowały się ku niemu, niektórzy goście śmiać się poczęli. Organista z katedry zaczął mu się bystro przypatrywać przez okulary i szepnął do siebie, kręcąc głową:

— No, no! no, no!

Po koncercie bal się rozpoczął. Tańczyć z nią! o rozkoszy! Ale jak się tu ośmielić zaprosić ją do tańca, taką królowę. Tymczasem, nie wiedzieć jakim sposobem, znalazł się już przy niej, ujął ją za rękę, i pokazało się, że nie była zamówiona, choć nie przemówili do siebie nawet słowa. Ale dłoń Olympii była zimna, jakby trupia. Nathanael uczuł dreszcz po wszystkich członkach, szczęściem, spojrzawszy zdumiony w oczy dziewczyny, wyczytał w nich tyle miłości i szczęścia, że zapomniał o wszystkim w świecie. W tejże chwili uczuł także jakby krew krążyć zaczęła w jej dłoni; dotknął tętna, biło przyśpieszonym napływem. Rozszalało mu się w głowie, w sercu. Ujawszy kibić czarodziejki, porwał ją w wir szalony, i przepadli w kole tańczących. Ale po

niejakiej chwili odbiegła go wszelka pewność siebie. Sądził dotąd, że umie wybornie w takt tańczyć: otóż wydało mu się, że był w błędzie. Rytmiczne ruchy Olympii miały w sobie tyle estetycznego zbytku, że cała umiejętność jego w tym względzie okazała się dziwnie niewystarczającą. Z tem wszyskiem, chociaż mu to czyniło przymus niemały, zabiłby na miejscu każdego, ktoby się poważył ubiedz go w zamówieniu Olympii. Rzecz dziwna, nie zdarzyło się to ani razu. Zdawano się unikać Olympii, i Nathanael mógł z nią tańczyć, ile mu się tylko podobało. Oddany tej czarodziejce wszystkimi władzami swej duszy, nie zważał, jak wokół szeptano, tłumiono uśmiechy, przyglądano się dziwnie obojgu, robiąc uwagi zapewne niezbyt pochlebne. Nie wiedział o niczem i nie dbał o nic. Rozgorączkowany tańcem, upojony swoją miłością, ośmielił się nad wszelki podziw. Siadł przy Olympii, ujął jej rękę, i mówił jej namiętne słowa, które tylko oni oboje rozumieć mogli. Może je nawet ona więcej rozumiała od niego, gdyż nieustannie patrzyła mu w oczy, wzdychając tylko w sposób dźwięczny:

— Ach! Ach!

Na co Nathanael odpowiadał z uniesieniem:

— O istoto niebieska! o królowo mej duszy! O ty promieniu cudowny, zwiastujący lepsze światy, ku którym wyrывa się tęsknota! O światło mojego życia! o jedyna moja pani.

Ale Olympia, za całą odpowiedź powtarzała tylko, patrząc mu w oczy i wzdychając:

— Oh! Oh!

A Spallanzani przechodził koło nich co chwila, przyglądając im się z uśmiechem zadowolenia. Nagle Nathanael, opamiętawszy się w swoim upojeniu, spostrzegł, że już było późno. Obejrzał się wkoło, sala była już najzupełniej pusta. Ostatnie światła dogasały, pryskając w pośród ciszy.

— Co? rozstać się już? Rozstać się z tobą, Olympio! — wykrzyknął namiętnie, odchodząc od siebie z rozpaczą.

Mówiąc to, porwał jej rękę, i okrywał ją płomienistymi pocałunkami; palące lzy zaćmiły mu źrenicę. Olympia pochyliła się ku niemu, i rozgorączkowanych ust jego dotknęły jej usta jak lód zimne. Podobnie jak wprzód przy pierwszym ręki do-

tknięciu, przeszył go i teraz dreszcz śmiertelny, mimowolnie przypomniała mu się dziewica-widmo, nawiedzająca oblu-bieńca w ludowej balladzie; ale czarująca dziewczyna namiętnie przycisnęła go do piersi; a usta jej zdawały się rozgrzewać coraz silniej własnymi jej pocałunkami.

Tymczasem Spallanzani przechadzał się bezustannie po pustej sali, kroki jego budziły głucho echa, a postać przedstawiająca się w półcieniach miała coś fantastycznego i wymykającego się zmysłom.

— Czy kochasz mię? Czy mię kochasz przynajmniej, boska Olympio? O! powiedz mi, powiedz duszy mojej to czarodziejskie słowo: kochasz-że mnie?

Tak mówił Nathanael. Ale Olympia wstała tylko, i odpowiada, wzdychając:

— Ach! Ach!

— O tak! cudowna gwiazdo mej miłości, — mówił Nathanael, — zabłysłaś obietnicą szczęścia pośród nocy mego życia, i opromieniać je będziesz na wieki:

— Ach! Ach! — odpowiedziała Olympia, odchodząc.

Nathanael pobiegł za nią, i znalazł się twarz w twarz z profesorem.

— Zagadałeś się do późna z moją cór-

ką, — rzekł ten ostatni, uśmiechając się dobrotliwie, — szczerze się z tego cieszę. Jeżeliś sobie tyle upodobał jej towarzystwo, to proszę cię Nathanaelu, zawsze nam będziesz miłym gościem. Pomimo słabości jej umysłu, córka moja szczerze ci sprzyja, jak widzę.

Nathanael oddalił się wreszcie, unosząc całe niebo w swej duszy.

## VI.

Bał u Spallanzanego stał się przedmiotem wielu uwag najdziwniejszych. Choć nic nie brakło do jego świetności, to przecież i do najniewinniejszych rzeczy przyczepić się można.

Wyśmiewano się ze sztywnej i niemej Olympii, której pomimo przyjemnej powierzchowności, zarzucano najzupełniejszą głupotę, co zapewne skłaniało Spallanzanego, że ją tak długo trzymał w ukryciu. Nathanael nie mógł słyszeć bez oburzenia uwag podobnych, przedsięwziął jednak milczeć upornie.

— Na co się zdało — mówił sobie w duszy, — strzepić sobie język w podobnym

przedmiocie? Na dobrą sprawę, przyszłoby dowieść tym półgłówkom: że tylko własne ich ograniczenie przeszkadza im ocenić boskie przymioty Olympii.

— Przepraszam cię, drogi Nathanaelu, — rzekł mu raz wreszcie Zygmunt, — ale wytłumacz mi, jakim u dyabła sposobem człowiek, jak ty rozsądny, mógł się zakochać w tej drewnianej lalce z woskową twarzą?

Nathanael z trudnością poskramiając wybuch, odpowiedział na to ile mógł spokojnie:

— Wytłumacz mi raczej ty, Zygmuncie: jakim sposobem człowiek, jak ty światły i umiejący ocenić wszystko co piękne, mógł się nie poznać na cudownych wdziękach Olympii? Co do mnie, cieszę się z tego, boś mi nie jest rywalem; inaczej jeden z nas jużby nie żył.

Zygmunt, widząc ze smutkiem chorobliwy stan swego przyjaciela, zaniechał drwiącego tonu, i przyznał, że w rzeczach miłości upodobanie jest jedynem prawem.

— Tylko dziwnem mi się wydaje, — dodał, — że kto tylko widział Olympię,



tak samo ją sądzi, jak ja. Przepraszam cię, drogi Nathanaelu, wszyscy znajdują ją zarówno sztywną i jakby pozbawioną duszy. Ma kibić powabną, twarz nawet piękną, ale cóż z tej piękności, kiedy jej nie ożywia spojrzenie. Czyż nie widzisz, że w oczach jej niema iskry życia, że zdają się patrzeć, nie widząc? Podobnież i ruchy jej dziwnie się wydają obrachowane; czyż nie możnaby myśleć, że są zależne od układu jakichś kółek, które się obracają, stosownie do nakręcenia? Podobnież gra jej, śpiew nawet, posiadają tę osobliwszą dokładność, nieprzyjemną i bezduszną, jaka jest udziałem sztucznego tylko mechanizmu; toż samo da się powiedzieć o jej tańcu. Wierz mi Nathanaelu, ta twoja Olympia zrobiła nam wszystkim wrażenie widma, i od pierwszego wejrzenia nie chcieliśmy mieć z nią nic wspólnego. Wydała nam się poprostu zręcznem podrobieniem istoty obdarzonej życiem; a co do mnie, mam przekonanie, że wcale nie jest tem, czem się być wydaje.

Nathanael cierpliwie wysłuchawszy uwag przyjaciela, odpowiedział wreszcie głosem silnego przekonania:

— Nie dziwię się bynajmniej: że takie,

a nie inne wywiera na was wrażenie Olympia, boście ludzie prozaiczni i niedaleko widzący. Dusza jej podobna, rozkwita tylko dla umysłów wybranych. To też z całego waszego tłumu mnie tylko jednemu rozbłysnął wzrok jej, w którym czytać można tajemnicze głębie. Mnie tylko jednemu znany jest cały urok uczucia, do jakiego zdolne jej serce. Ludziom światowym, powierzchownie rzeczy biorącym, wystarcza zdawkowe paplanie o przedmiotach, o których i mówić nie warto. Olympia mówi mało, nie przeczę, ale te nieliczne słowa, które wymawia, wypowiadają cały tajemniczy świat uniesień ducha, czarownych przeczuć i zespolenia wszystkich władz umysłu w miłości, która jak w zwierciadło—w wieczność spogląda. Ale na cóż ci mówię to wszystko, czyż ty mię zrozumieć możesz!

— Rób wreszcie, jak ci się podoba, Nathanaelu, — rzekł Zygmunt smutno, — bodajbym się mylił, ale mniemam, żeś nie jest na dobrej drodze. Może się kiedy przekonasz o istocie rzeczy, a wtedy wróć do mnie, znajdziesz mię zawsze tym samym!

Nathanael uczuł, że zimny i prozaiczny

Zygmunt, zdolny jest jednak kochać tkliwie. Ścisnął go za rękę i oddalił się zamyślony.

## VII.

Nathanaelowi najzupełniej wyszło z pamięci, że była na świecie jakaś Klara, którą kochał. Tembardziej wywietrzała mu z głowy matka i Lotar, przyjaciel od dzieciństwa. Już tylko żył dla Olympii, poświęcając jej wszystkie niemal chwile, nieustannie jej tylko mówiąc o swojej miłości, o dziwnem ich dusz powinowactwie, o nadziemskich wpływach, kojarzących dwie połowy jednej całości. Wszystkiego tego uroczą dziewczyna słuchała z jaknajwiększem zbudowaniem. Wreszcie powyciągał z teki wszystko, co kiedykolwiek w życiu napisał: widzenia, fantazyje, poematy, powieści, do których codziennie jeszcze dodawał mnóstwo sonetów mistycznych, ustępów, pieśni; cały ten zbiór szpargałów po całych godzinach czytywał Olympii. Jeżeli się to jemu nie sprzykrzyło, przyznać należy, że i ona była w tym względzie wzorem cierpliwości.

Ani haftowała, ani robiła pończochę, ani

wyglądała oknem, ani karmiła ptaków, ani bawiła się z piskiem, ani z kotem ulubionym, nawet nie kręciła w ręku od chusteczki rogu, nawet nie spoglądała na posuwające się żółtym krokiem skazówki zegaru; a jednak nigdy nie potrzebowała kasłać w sposób przymuszony w celu ukrycia ziewania. Krótko mówiąc, po prostu, po całych godzinach, siedząc bez najmniejszego ruchu, wpatrywała się tylko w oczy swego kochanka, a wzrok jej zapalał się w miarę, jak długo to trwało. Tylko ile razy Nathanael przyciskał sobie jej rękę do piersi albo całował ją w usta, mówiła: ach! ach!, a niekiedy także: do zobaczenia, mój luby!

— O! czarodziejska istoto! o duszo przeczystych głębi! — wołał Nathanael, chodząc w uniesieniu po swojej izdebce, — ty jedna tylko na świecie rozumieć mnie umiesz!

I drżał z rozkoszy na samą myśl o tej cudownej zgodzie, do której coraz doskonalej nastrajały się ich dusze, gdyż był pewny, że rozmawiała z nim o jego utworach poetycznych, że podzielała wszystkie jego marzenia, zachwyty, wiary, aspiracye, w czem nawet tak przedzi-

wnie się zgadzali, że nieraz wydawało się, jakby głos Olympii wychodził z własnych piersi Nathanaela. Nawet potroszę i tak być musiało; gdyż ile wiadomo, Olympia wymawiała tylko wyrazy któreśmy wyżej przytoczyli.

Niekiedy wprawdzie, w chwilach opamiętania dziwiło go uparte milczenie dziewczyny i bierność umysłowa; ale i wtedy odpędzał od siebie wszelkie rozumowanie, jako rzecz niegodną, i mówił sobie:

— Słowa? cóż mi słowa! Jedno spojrzenie jej czarownej źrenicy, sto razy więcej mówi niż najwymowniejsze wyrazy. I czyż istocie tyle nieziemskiej, stosować się do tych lichych warunków, w których wykręca się jakby w ciasnem kole biedny nasz byt ziemski?

Spallanzani zdawał się wielce sprzyjać stosunkom Nathanaela z jego córką, i kiedy ten ostatni zdobył się razu pewnego mówić z nim w słowach pełnych trwogi i nadziei o możebności jeszcze wzmocnienia tych stosunków, stary profesor, zachwycony do najwyższego stopnia, uśmiechnął się tylko przyjaźnie, ściskając mu rękę, i oświadczył: iż pozostawił córce całkowitą swobodę w tym względzie.

Zachwycony temi słowy Nathanael, postanowił nie później jak nazajutrz błagać Olympię, ażeby mu powiedziała wyraźnie to, co już oddawna odgadywał w jej oczach, a mianowicie: czy chce być jego na wieki? W tym celu począł szukać obrączki, którą mu dała niegdyś matka przy wyjeździe z domu, chciał ją bowiem ofiarować Olympii w zakład swojej wierności. W tej samej szkatułce znalazł także listy Klary i Lotara, ale obojętnie odsunął je na bok, wziął tylko pierścioneł i śpiesznie udał się z nim do Olympii.

Przybywszy na schody, usłyszał na górze łoskot jakiś osobliwy, wyraźnie w pracowni Spallanzanego. Pukano nogami, mocowano się, coś sobie wydzierano, słychać też było krzyki i przekleństwa.

— Puszczaj że, puszczaj mi zaraz, ty łotrze przekłety! Czy to ja dla ciebie narażałem właśnie życie?

— Co mi tam! precz głupcze! Ja zrobiłem oczy...

— A ja wszystkie kółka.

— Ośle ty z twojemi kółkami! puszczaj, ty psi zegarmistrzu!

— Dam ja tobie!

— Masz!



— Puścisz? czy nie puścisz?

Nathanael z najmocniejszym przerażeniem poznał głos Koppeliusa. Pchnięty niepojętą trwogą, rzucił się na górę, ale zaledwie stanął na progu, nogi się pod nim zachwiały.

Spallanzani trzymał jakąś kobietę za ramiona, Coppola za nogi, i z największą zawziętością wydzielali ją sobie, ciągnąc każdy w swoją stronę.

Nathanael zdrętwiał ze zgrozy, poznawszy w tej kobiecie Olymnię. Wściekły z boleści, już się miał rzucić wydrzeć ją oprawcom, kiedy nagle Coppola tak okrutnie chwycił ją w rękach ojca, że ten zmuszony był puścić ofiarę. Jednocześnie tak silnie ciałem jej uderzył go w piersi, że ten padł na wznak w jeden kąt pokoju, gdzie pełno stało retort, flaszek, alembików i rozmaitych naczyń szklanych, co wszystko razem rozbiło się w najdrobniejsze szczątki z niesłychanym łoskotem.

Wtedy Coppola, przerzuciwszy sobie Olymnię przez plecy, zaczął schodzić, pękając ze śmiechu; drewniane nogi wisiały mu z tyłu, objając się po schodach w miarę, jak się oddalał.

Nathanael pozostał przykuty do miej-

sca. Okazało się, że twarz Olympii w miejscach gdzie były oczy, widział tylko czarne wgłębienia.

Spallanzani wił się po posadzce. Czerepy szkła powłaziły mu w głowę i w piersi, poprzecinały żyły w rękach, krew tryskała z ran, jakby ze źródeł. Nagle zerwał się na nogi:

— Trzymaj go! leć! jeszcześ tu? Koppe-lius, przeklęty łotr! Taki pyszny automat! Ukradł go, strawiłem nad nim najlepsze dwadzieścia lat życia, włożyłem w to cały majątek, więcej niż życie! Cały mechanizm, mowa, chód, wszystko mojego pomysłu. Oczy tylko, jedno tylko oczy jego! Och! zbrodniarz! och! potępieniec. Łapaj go! biegnij! leć! przecież to Olympia, oto jej oczy.

Nathanael wtedy dopiero spostrzegł na posadzce parę zakrwawionych oczu, które w niego bystro patrzyły. Porwał je Spallanzani, i rzucił mu na piersi. Wtedy szaleństwo porwało Nathanaela w płomieniste swoje szpony, i całkowicie zawichrzyło mu w głowie.

— Hej! hej! dalejże! dalej! płomieniste koło, kręć się! wiruj! grzmij! Gwijnun!

Gwijunun! Tańcuj lalko z drewna, dobrze, dobrze, prędzej. Kręć się! leć! Gwijunun...

I po tych słowach rzucił się do Spallanzanego, chwytając go za gardło. Byłby go zdusił, szczęściem nadbiegli na ratunek przechodzący ulicą studenci.

Zygmunt, chociaż bardzo silny, nie był w stanie sam utrzymać szaleńca. Ten walił pięściami, gdzie się zdarzyło, kopał i wrzeszczał w niebogłosy:

— Kręć się, lalko z drewna! Kręć się! wiruj! grzmij!

Wreszcie połączonemi siłami zdołano go powalić na ziemię i związać. Już tylko ryczał wściekle, i pieniał się jak opętany. W tym smutnym stanie zawieziono go do domu obłąkanych.

## VIII.

Spallanzani wkrótce wyleczył się z ran swoich; nie mniej przecież zmuszony był opuścić Getyngę, nie tylko z powodu wypadku Nathanaela, ale i skutkiem powszechnego oburzenia. Kiedy się bowiem przekonano, że kobieta, w której się ukradkiem kochali studenci, której nie jedna panna

zazdrościła powodzenia, którą tak żarliwie obgadywały dewotki, była tylko bezdusznym automatem, każdy uważać się począł za haniebnie oszukanego. Znalazło się zaraz wielu takich, którzy oddawna mówili (niewiadomo tylko komu?), że w tem wszystkim jest coś podejrzanego. Inni znowu, którzy zaraz od pierwszego razu dorozumieli się rzeczy, których nawet nie było. Ogólnie zaś zauważono, że piękna Olympia częściej kichała niż potrzeba, nie widziano zaś, żeby kiedy ziewnęła w nudnym towarzystwie. Kichanie mogło pochodzić z zakatarzenia flegmów od śpiewu. Słyszano także, jak w niej coś chrupało, były to zapewne kółka niedość starannie wysmarowane i t. p., koniec końcem, historia owego automatu głęboko wrosła ludziom w serce, a nawet wywołała niemało nieufności. Młodzi ludzie, z obawy, czy się nie kochają w lalkach z drewna, wymagali od panien, żeby ile możliwości śpiewały i tańczyły bez taktu, żeby robiły pończochę lub haftowały podczas, kiedy im coś czytano, lub przynajmniej bawiły się psem lub kotem, ale nadewszystko, żeby nie słuchały wszystkiego obojętnie, ale odpowiadały coś takie-

go, coby przecież dowiodło, że umieją czuć i myśleć. Tym sposobem wzmocnił się nie jeden stosunek miłosny, inne znowu powoli się rozchwiały.

— Doprawdy, niepodobna być dość ostrożnym — powiadano.

Na rautach i amatorskich koncertach wogóle ziewano wiele, o ile możliwości mało kichano, jedynie dla usunięcia wszelkich podejrzeń, ubliżających naturze ludzkiej.

Spallanzani tedy, jakeśmy to wyżej powiedzieli, zmuszony został opuścić miasto, i bardzo słusznie; poważył się bowiem zdradziecko wprowadzić lalkę w dobre towarzystwo.

Co do Coppoli, ten znikł bez śladu.

Dnia pewnego, Nathanael zbudził się jakby ze snu straszliwego. Otworzywszy oczy, uczuł rozkosz niewymowną, i słodkie jakieś ciepło przebiegło wszystkie jego członki. Znalazł się na łóżku w domu swej matki. Klara stała pochylona nad nim, opodal siedziała matka i Lotar.

— Och! przecież! przecież! Znowu mi przywrócony jesteś, jakże Bóg dobry! Już cię odtąd nie puszczę od siebie ani na

chwilę, aż do śmierci! — mówiła Klara w łzawem uniesieniu.

Mówiąc to, otoczyła go białemi ramionami. On się rozplakał łzami bólesci i szczęścia.

— Klaro! dobra moja! jedyna moja Klaro! — wyjąkał.

W tejże chwili nadszedł Zygmunt, który go był sam zawiósł do domu. Nathanael wyciągnął do niego rękę.

— Drogi przyjacielu, — rzekł mu — i tyś mnie nie opuścił.

Szaleństwo odeszło go było bezpowrotnie. Wkrótce, dzięki tkliwym staraniom matki, kochanki i przyjaciół, całkowicie wróciły mu stargane silnemi wzruszeniami siły.

Jednocześnie powodzenie zdawało się wchodzić w dom wdowy. Umarł bez testamentu wuj jakiś, stary skąpiec, od którego nikt nigdy nic nie wyczekiwał, i dostał im się, oprócz znacznych kapitałów, jeszcze i majątek ziemski w pobliżu stołecznego miasta. Nathanael, mając wkrótce zaślubić Klarę, postanowił osiąść tam, i wziąć do siebie matkę i Lotara. Stał się łagodny, jak nigdy, i poraz pierwszy w życiu uczuł się całkowicie szczęśli-



wym, poznawszy teraz dopiero: ile to nieba mieściło się w anielskiej duszy jego Klary. Prawda też, że nikt mu nigdy nie wspomniał o przeszłości. Zdawało się nawet, że sam oddawna zapomniał wszystkiego. Jednak raz przy odjeździe Zygmunta, odezwał się niespodziewanie:

— Doprawdy Zygmuncie, gdzieś mi się już była zapodziała piąta klepka. Szczęściem na czas nadszedł anioł, i nie dał mię opętaniu: była to Klara.

Zygmunt zagadał jakoś tę drażliwą kwestyę i na tem się skończyło.

Już byli na wyjeździe do swojej posiadłości, kiedy wypadło jeszcze porobić niektóre sprawunki. Było południe, ogromna wieża ratuszowa pokrywała swoim cieniem cały rynek, pełen zgiełku.

— Wiesz co Nathanaelu, — rzekła Klara, — wejdźmy sobie na wieżę. Śliczny musi być stamtąd widok na dalekie góry.

Nathanael z chęcią przyjął ten wniosek. Matka odeszła ze służącą do domu, a Lotar przyrzekł czekać na dole.

Kochankowie, trzymając się pod ręce, stali sobie na najwyższym ganku wieży, i przyglądali się precudnej panoramie lasów dalekich, poza którymi piętrzyły się

jeszcze błękitne góry, podobne do miasta olbrzymów.

— Patrz-no Nathanaelu, — rzekła Klara, — czy widzisz tam ten krzak szarawy, który zdaje zbliżać się coraz więcej?

Nathanael sięgnął ręką do kieszeni, i, wyjąwszy lornetkę Coppoli, przyłożył ją sobie do oczu. O nieba! ujrzał przed sobą postać Olympii!

Krew mu zbiegła do serca. Błady jak śmierć, spojrzał osłupiałym wzrokiem w twarz Klary, z oczu sypnęły mu się płomienie, i ryknął jak zwierz zewsząd obsaczony. Nagle wyskoczył w górę, i śmiejąc się śmiechem potępieńca, zaczął wołać głosem przenikliwym:

— Kręć się lalko z drewna! kręć się! tańcuje, grzmij!

I porwawszy wpół Klarę, chciał ją zrzucić na dół; ale ona w rozpaczy wszystkiemi siłami uczepiła się poręczy.

Lotar, usłyszawszy wycie szaleńca i krzyki Klary, bez namysłu rzucił się na schody wieży. Na drugim piętrze znalazł drzwi zamknięte, podsadził je, i wyłeciały z zawiasami.

— Ratunku! ratunku!? — wołała Klara coraz słabszym głosem.

Lotar przelatywał po dziesięć schodów na raz. Drzwi wychodzące na ganek znalazł również zamknięte. Rozpacz dodała mu sił olbrzymich. Drzwi zgrzytnęły tylko i puściły, wywalając się z trzaskiem. Już też i czas był wielki, Klara bowiem przerzucona przez balustradę wisiała w powietrzu, trzymając się już tylko jedną ręką. W oka mgnieniu porwał ją Lotar, wciągnął napowrót, i w tejże chwili dał tak silny raz pięścią w twarz szaleńca, że ten, rażony jak gromem, natychmiast puścił swą ofiarę.

Podczas kiedy Lotar zbiegał ze schodów, unosząc zemdloną siostrę, Nathanael jak opętany latał wokoło galeryi, robiąc skoki najdziwniejsze, i wrzeszcząc wniebogłosy:

— Kręć się płomieniste koło, hejha! hopsasa! gwijunun!

Mnóstwo ludzi zbiegło się na rynek, nie wiedząc, co to wszystko znaczy. Pośród nich zauważono niejakiego Koppeliusa, adwokata świeżo przybyłego do miasta. Chciano biedz na ratunek szaleńcowi, ale adwokat rzekł z uśmiechem:

— Ech, nie róbcie tego; zaczekajcie

tylko cierpliwie, a on sam tu do nas zej-  
dzie.

I patrzył w górę tak, jak i drudzy.

Nagle Nathanael zatrzymał się jakby  
wryty, przechylił się ponad poręczą,  
i z wzrokiem utkwionym w Koppeliusa:

— Oczy, oczy! prześliczne, cudowne  
oczy! — zawołał rozdzierającym głosem,  
i rzucił się w powietrze.

Ale zanim jeszcze zdążył głowę sobie  
o bruk roztrzaskać, już Koppeliusa nie  
było.

## IX.

W lat kilka po tej smutnej katastrofie,  
daleko gdzieś, daleko, widziano Klarę,  
siedzącą na ganku pięknego miejskiego  
dworku. Stał przy niej piękny mężczy-  
zna, patrząc na nią z miłością. U nóg jej  
igrało śliczne dziecko, drugie trzymała na  
kolanach. Tak więc, jak się zdaje, słodka  
i wesoła Klara, znalazła nareszcie ciche  
szczęście domowe, którego jej niespokoj-  
ny duch Nathanaela dać nie zdołał.

*(Przekład Felicyana Faleńskiego).*

---

# NAROŽNE OKNO

## NAROŻNE OKNO

Memu biednemu kuzynowi przypadł los jednaki ze znanym Scarronem. Jak ten, tak i mój krewny, skutkiem upartej choroby, stracił zupełnie możność używania nóg i zmuszony był z łóżka do lektyki z poduszkami i z lektyki do łóżka przenosić się przy pomocy tęgiej kuli i sprężystego ramienia zrzędy inwalida, który z dobrej woli służy jako dozorca chorych. Ale jeszcze jedno podobieństwo ma kuzyn mój z owym francuzem, którego, mimo szczupłą twórczość wsławił w literaturze francuskiej pewien osobliwy rodzaj humoru, odmienny od dowcipu francuskiego. Podobnie jak Scarron, pisuje mój kuzyn; jak on, posiada szczególną, żywą wesołość i na własny sposób wypowiada dziwaczne żarty. Jednak dla chwały pisarza niemieckiego należy zaznaczyć, że nigdy nie uważał za konieczne swoich małych,



pikantnych miseczek przyprawiać *Asa foetida*, aby drażnić podniebienie czytelnika niemieckiego, który podobnej rzeczy by nie zniósł. Dostateczną mu była szlachetna przyprawa, która podniecając, zarazem pokrzepia. Publiczność chętnie czyta jego pisma; mają być dobre i zabawne; nie znam się na tem. Mnie osobiście bawiła rozmowa z moim kuzynem, i przyjemniej mi było z nim gawędzić, niż go czytać. Jednak ten niezwalczony pociąg do pisania czarne nieszczęście sprowadził na mego biednego kuzyna; najcięższa choroba nie zmogła kołowacizny jego fantazyi, która w nim wewnątrz wciąż pracowała, tworząc wciąż a wciąż rzeczy nowe. Tak się stało, że opowiadał mi nieustannie rozmaite, nader zabawne historye, które, pomimo niezmiernych cierpień fizycznych—ciągle mu przychodziły do głowy. Ale drogę, którą miała przepłynąć myśl, aby się uzmysłowić na papierze, zamknął zły demon choroby. Kiedy mój kuzyn chciał coś pisać, nietylko palce mu odmawiały usługi, ale i sama myśl rozpraszała się i ulatniała. Z tego powodu mój kuzyn popadł w najczarniejszą melancholię.

— Kuzynie, koniec mój nadchodzi. Je-

stem jak ów stary szaleństwem złamany malarz, który całymi dniami siedział przed czystym płótnem, w ramach umocowanym i wobec wszystkich gości, którzy go odwiedzali, wysławiał niezwykle piękności wspaniałego obrazu, który tylko co wykończył. Zaniechałem czynnego twórczego życia, które, zewnętrzną postać przybrawszy, mnie samego opuściło, radując się światem. Duch mój ciągnie do swego własnego zamknięcia.

Od tego czasu mój kuzyn nie pokazywał się nigdy ani mnie, ani komukolwiek. Stary, mrukliwy inwalid wyrzucał nas za drzwi, zrzedząc i mamrocząc, jak złośliwy brytan.

Trzeba zaznaczyć, że mój kuzyn mieszka dość wysoko w małych, niskich pokojach. Jest to obyczaj pisarzy i poetów. Cóż znaczy niska powała izby? fantazya się unosi i buduje sobie wysokie, radosne sklepienie na błękitnem, promienistem niebie w wyżynach. I podobnie jak ten ciasny dom poety, tak i jego ogród zamknięty między czworgiem ścian, dziesięć stóp szeroki i długi, ma przecie znakomitą wysokość. Nadto mieszkanie mego kuzyna leży w najpiękniejszej części miasta sto-

łecznego, mianowicie na wielkim rynku, otoczonym wspaniałymi budynkami, a na którego środku stoi olbrzymi, genialnie obmyślany gmach teatralny. Jest to dom narożny, a z okna narożnego pokoiku jednem spojrzeniem kuzynek mój ogląda panoramę wspaniałego placu.

Był to właśnie dzień jarmarczny, gdy, przeciskając się przez tłum ludu, wszedłem w ulicę, na której już z pewnej od dali widać narożne okno mego kuzynka. Nie mało się zadziwiłem, gdy mi z tego okna zabłysła dobrze znana czerwona czapeczka, którą mój kuzyn zwykł był nosić za swoich dobrych czasów. Bliżej podszedłszy, spostrzegłem, że mój kuzyn włożył też swój państwowy szlafrok warszawski i kurzył tytuń z tureckiej fajki świętecznej. Kłaniałem mu się, chustką powiewałem mu na znak: aż udało mi się zwrócić jego uwagę na siebie; przyjaźnie kiwnął głową. Co za nadzieja!

Z szybkością błyskawicy biegłem po schodach. Inwalid drzwi mi otworzył; twarz jego zwykle pomarszczona i sfaldowana, podobna do przemoczonej, starej rękawiczki; teraz, dzięki wpływom jakiegoś promienia słonecznego, wygładziła się

do pozorów znośnego pyska. Objaśnił mi, że pan siedzi w fotelu i że można z nim rozmawiać. Pokój był czysto wymyty i sprzątnięty, a nad kotarą łóżka umocowany był arkusz papieru, na którym wielkimi literami wypisano:

*Et si male nunc, non olim sic erit.*

Wszystko świadczyło o powrocie nadziei, o nowoprzebudzonej sile życiowej.

— Ha, — zawołał kuzyn przy mojem wejściu, — na koniec się pokazujesz u mnie. Czy wiesz, że prawdziwie tęskniłem za tobą. Bo, chociaż jak kat ciągle się wypytujesz o moje nieśmiertelne dzieła, to jednak ja cię bardzo lubię, bo jesteś pełny życia i choćbyś mię nie bawił, jesteś zawsze bardzo zabawny.

Czułem, że przy tym komplemente mego kuzyna, krew mi uderza do głowy.

— Sądzisz, — mówił dalej kuzyn, nie zwracając uwagi na mój ruch, — sądzisz zapewne, że jestem zupełnie zdrowy lub całkowicie z niebezpieczeństwa wyzwolony. Co do ciała — to nie, wcale nie. Nogi moje — to zdradliwe wasale, co to sprzeniewierzyły się głowie swego pana, i z pozostałą resztą prawdziwego trupa nic już nie chcą mieć do czynienia. To zna-

czy, że nie mogę się ruszyć z miejsca i toczę się na tym krześle na kółkach tu i tam bardzo wesoło, przyczem mój stary inwalid gwiżdże melodyjne marsze ze swoich lat wojennych. Ale to okno jest moją największą pociechą; tu mi weszło na nowo pstrokate życie i czuję się wielce zadowolony na widok tego nigdy nieprzerwanego ruchu. Pójdź, kuzynie, spójrz przez okno.

Siadłem naprzeciw kuzyna na małym taburecie, który jeszcze się mieścił w granicach okna. Widok istotnie był szczególny i uderzający. Cały rynek zdawał się jedną, gęsto zbitą masą ludu, tak, że można by myśleć, iż rzucone w nią jabłko nie mogłoby nigdy dosięgnąć ziemi. Najrozmaitsze barwy jaśniały w promieniach słońca — i nawet w małych plamach; na mnie robiło to wrażenie wielkiego, poruszanego od wiatru, pola tulipanów i koniec końców doszedłem do wniosku, że jest to widok bardzo ładny, ale po dłuższym czasie męczący, a który nawet osobom wrażliwym może sprawić zawrót głowy, bliski jakimś przykrym bredzeniom sensownym; dla tego rozpytywałem się o przyjemność, jaką narożne okno sprawia ku-

zynkowi i wyraziłem mu to zupełnie szczerze. Ale ten założył ręce na głowie i oto rozwinęła się między nami taka rozmowa:

*On.* Kuzynie, widzę, że nawet najmniejsza iskra talentu pisarskiego nie błyska w tobie. Brak ci pierwszego wymagania, abyś kiedykolwiek ruszył śladem twego beznogiego, kulawego kuzyna: mianowicie oka, które istotnie widzi. Ten rynek nie przedstawia ci nic więcej nad widok jakiegoś pstrego, bezsensownego zgiełku tłumów, poruszających się w działaniu bez treści? Hej, hej, przyjacielu! Dla mnie rozwija się tu najwszechstronniejsze widowisko życia mieszczańskiego, i mój duch, czujny Callot lub nowoczesny Chodowiecki, zaznacza sobie wciąż szkic po szkicu o zarysach dosyć śmiałych. Kuzynie, chcę widzieć, czy ci przynajmniej mógłbym wyłożyć pierwsze zasady sztuki. Spójrz oto wprost przed siebie na ulicę; tu masz moją lornetkę: uważaj na tę szczególnie przybraną osobę z wielkim koszem na ramieniu, która pogrążona w głębokiej rozmowie ze szczotkarzem, zdaje się wykonywać zupełnie inne domestic, niż te, co dotyczą przeżywania ciała.



*Ja.* Widzę ją. Ma jaskrawą żółtą chustkę, na sposób francuski, jak turban obwiniętą dokoła głowy, a jej twarz jako też cała jej istota jawnie świadczy o jej narodowości francuskiej. Zapewne jaka pozostałość po ostatniej wojnie, która tu na suchym lądzie ocalała.

*On.* Nieźle powiedziane. Założyłbym się, że jej mąż zawdzięcza jakiejś gałęzi rękodzielnictwa francuskiego wcale piękny dochód, tak, że jego żona może obficie nappełnić swój koszyk dobrami rzeczami. Teraz rzuca się ona w zgiełk. Uważaj, kuzynie, czy możesz śledzić jej bieg w najrozmaitszych kierunkach, nie tracąc jej z oka; żółta chustka świeci wciąż przed twem okiem.

*Ja.* O jakże ten żółty gorejący punkt przecina masę ludzką! Teraz już jest blisko kościoła, teraz znów targuje coś koło straganów, teraz — o, do licha! zgubiłem ją — nie, tam na końcu znów się wydobywa — tam koło drobiu — chwytta oskubaną gęś — obmacuje ją palcami znawczyni.

*On.* Dobrze, kuzynie. Utkwić wzrok, to kształci wyraźne spostrzeganie. Ale,

zamiast w nudny sposób uczyć się sztuki, której zaledwie można się nauczyć — pozwól mi raczej zwrócić ci uwagę na wszelkiego rodzaju dziwy, które tu dzieją się przed naszym okiem. Czy widzisz tę kobietę, która sobie tam, poprzez niemały ścisk, mocnymi łokciami miejsce wyrabia?

*Ja.* Co za szalona figura! jedwabny kapelusz, kapryśnie bezforemny, podług jakiejś zakazanej mody, a na nim wiejące w powietrzu pióra, krótki jedwabny płaszcz, którego barwa powraca do nicości pierwotnej — na tem dość przyzwoity szal — obszycie żółtej perkalowej sukni sięga do kostek, szaroniebieskie pończochy, sznurowane trzewiki. Za nią przyzwoicie ubrana służąca z dwoma koszykami, siatką do ryb, workiem do maki... Boże, czuwaj nad nami! Jakże ta jedwabna osoba rzuca dokoła siebie wściekle spojrzenia, z jakim szaleństwem pcha się w najgęstszy tłum, jakże się rzuca na wszystko, na jarzyny, owoce, ryby i t. d.; jakże wszystko obziera, obmacuje, o wszystko się targuje, a nie kupuje nic...

*On.* Powiem ci, co to za osoba, której nie brak na żadnym jarmarku, sza-

lona gospodyni. Tak mi się zdaje, że to musi być córka jakiegoś zamożnego łyka, może jakiego bogatego mydlarza, a której rękę *cum annexis* zdobył sobie nie bez wysiłku, jaki tajny sekretarz. Pięknością i wdziękiem nie obdarzyło jej niebo, natomiast uchodziła ona u wszystkich sąsiadów za najgospodarniejszą, najbardziej domową pannę i rzeczywiście jest ona tak gospodarna, i co dnia gospodaruje od rana do wieczora, w tak okropny sposób, że biedny tajny sekretarz już mało co zmysłów nie postradał i chciałby uciekać tam, gdzie pieprz rośnie. Nieustannie wyciąga się tarabanowo-trombonowy rejestr zakupów, zamówień, kramarszczyzny i wszelkich potrzeb domowych i tak gospodarstwo tajnego sekretarza wygląda niby stary zegar w szafie, którego nakręcona maszynerya wiecznie wygrywa jakąś obłąkaną symfonię, co to ją sam dyabeł skomponował. Niemal co czwarty dzień targowy towarzyszy jej inna służąca. *Sapienti sat!* Czy widzisz tam — nie, tu! — tę grupę, co się naraz utworzyła, godną istotnie, by ją uwiecznił ołówek Hogartha. Spójrz no tylko, kuzynie, na te trzecie drzwi teatru.

*Ja.* Para starych bab siedzi na miękkich stołkach, cały ich kram mieści się w niewielkim koszu, jedna ma pstre jaskrawe chusty, tak zwane towary dokuczliwe, obliczone na efekt głupich oczu, druga ma skład szarych i niebieskich pończoch, włóczki i t. d. Pochyliły się ku sobie, szepcą z sobą coś do ucha, jedna sący kubeczek kawy; druga zda się całkiem porwana przedmiotem rozmowy — zapomniała o sznapsiku, który miała wypić; rzeczywiście, para uderzających fizyonomii! Co za śmiech demoniczny, co za gestykulacya suchemi, kościstemi rękami.

*On.* Te dwie kobiety siedzą ciągle razem i, nie bacząc na to, że rozmaitość ich handlu nie dopuszcza żadnego starcia, żadnej zawiści zarobkowej, to jednak aż do dziś spoglądały one wciąż na siebie okiem nieprzyjaznem, i, o ile mogę ufać swej wyćwiczonej fizyonomice, rzucały sobie nawzajem różne przykre wymysły. O, patrz-że, patrz, kuzynie, jak to one coraz bardziej stają się jednym sercem i jedną duszą. Handlarka chust udziela handlarce pończoch swego kubka kawy. Co to może znaczyć? Przed niewiele

minutami przechodziła wtedy młoda, najwyżej szesnastoletnia dziewczyna, piękna jak dzień, której cała postać i zachowanie świadczyło o dobrych obyczajach i wstydlivych pożądanvach. Dziewczyna znęcona towarem zapatrzyła się w jej kosz. Cała jej dusza była skierowana ku białej chustce z kolorowym brzegiem, której być może bardzo potrzebowała. Targowała o nią, stara zaś używała wszystkich sztuczek przebiegłości kupieckiej, rozciągając szeroko chustkę i w promieniach słońca migając jej ostremi kolorami. Zgodziły się wreszcie na cenę. Kiedy jednak biedaczka wyjęła z supelka chustki do nosa ubogą swą kasę, gotówki jej nie starczyło na tak wielki wydatek. Z gorączkową, rozpaloną wargą, ze łzami perlącemi się w oczach, oddaliła się dziewczyna tak szybko, jak jeno mogła, gdy stara, śmiejąc się pogardliwie, złożyła chustkę na nowo i rzuciła do kosza. Grzechna przytem wymiana słów miała zapewne miejsce. Ale oto drugi dyabeł zna małą i potrafi wyłożyć smutną historię żbiedniałej rodziny, jako skandaliczną kronikę lekkomyślności a może występku, czem udelektowała się dusza starej oszo-

łomionej straganiarki. Kubkiem kawy wynagrodziła tęgie, grube, jak pięść, oszczerstwo.

*Ja.* Z tego wszystkiego, coś ty tu wykombinował, drogi kuzynie, może nie ma ani słówka prawdy, ale, przypatrując się tym kobietom, wszystko to, dzięki twemu, pełnemu życia przedstawieniu rzeczy, wydaje mi się tak prawdopodobnem, że, chcąc nie chcąc, muszę w to wierzyć.

*On.* Zanim się odwrócimy od ściany teatru, spójrzmy jeszcze na tę tłustą, wesolą kobietę z twarzą, tryskającą zdrowiem, a która w stoickim spokoju i niewzruszności, ukrywszy ręce pod biały fartuch, siedzi na trzcinowym krześle, ustawivszy bogaty stragan jasno polerowanych łyżek, noży, widelców, naczyń fajansowych, talerzy i waz z porcelany zastarzałej formy, filiżanek do herbaty, dzbanuszków do kawy, towarów pończoszniczych i Bóg wie czego jeszcze; a wszystko to porządnie rozłożone na białym obrusie, tak, iż cały jej zapas, zapewne skleiony z małych zbiorów, tworzy dziś prawdziwy *Orbis pictus*. Nie czyniąc osobliwej miny, słucha ona gadaniny tar-



gujących obojętnie, jakby ją ten cały handel nic nie obchodził, zgadza się, wyciąga jedną rękę z pod fartucha, aby od kupującej tylko wziąć pieniądze, przyczem pozwala jej samej zabrać kupiony towar. Jest to spokojna rozsądna kobieta, która potrafi z każdego piasku bicz ukreślić. Cztery tygodnie temu cały jej kram stanowiło pół tuzina bawełnianych pończoch, i tyleż szklanek. Handel jej rośnie z każdym targiem, a ponieważ baba nie przynosi z sobą lepszego krzesła, ręce zaś pod fartuchem chowa tak samo jak przed tem, świadczy to, że posiada równowagę ducha i że powodzenie nie wywołuje w niej pychy i arogancyi. Przychodzi mi teraz śmieszna idea do głowy! Wyobrażam sobie w tej chwili malutkiego złośliwego dyabełka, coby, jak na owym rysunku Hogartha pod krzesłem żebraczki, ukrył się tu pod zydłem kramarki i zazdrośny o jej szczęście w chytrze potajemny sposób podpiłował nogi stolika. Buch! szkło i porcelana nagle się wali i cały handel przepada. Byłoby to bankructwo w znaczeniu dosłownem tego wyrazu.

*Ja.* Istotnie, drogi kuzynie! nauczyłeś

mię teraz lepiej patrzeć. Patrząc tu i tam w tę różnobarwną ciżbę, w tę falującą gromadę, spostrzegam w różnych punktach młode panny, które w towarzystwie ciemno ubranych kucharek, noszących duże, jasnobarwne kosze krążą po targowisku, i robią zakupy różnych przedmiotów domowej potrzeby. Modny kostyum tych pańien, całe ich zachowanie wątpić nie pozwala, że są to co najmniej osoby zamożnego stanu mieszczańskiego. Jakże one tu na targ przychodzą?

*On.* To rzecz łatwa do wyjaśnienia. Od paru lat stało się zwyczajem, że nawet córki wyższych urzędników państwowych bywają na targ wysyłane, aby praktycznie poznać tę część gospodarstwa domowego, która dotyczy zakupu materiałów żywnościowych.

*Ja.* Bardzo chwalebny w istocie obyczaj, który przy swej użyteczności praktycznej, prowadzi do rozwoju zmysłu gospodarczego.

*On.* Tak sądzisz, kuzynie! Co do mnie, uważam tę sprawę wręcz odwrotnie. Jakiż inny cel może mieć to samoistne kupowanie, niżeli przekonać się

o dobroci towarów i o rzeczywistych cenach rynku? Własności, wygląd, oznaki dobrej jarzyny, dobrego mięsa i t. d. zaczynająca gospodyni uczy się łatwo poznawać w inny sposób a mała oszczędność na t. zw. koszykowem, co się i tak zdarza, gdyż towarzysząca panie kucharka jest bezwarunkowo w tajemnem porozumieniu ze sprzedawcami — nie usuwa tych ujemnych stron, jakie bardzo łatwo ściągnąć musi odwiedzanie targowiska. Nigdybym za cenę paru fenigów nie wystawiał córki na niebezpieczeństwo, by ją wepchnąć między najgorszy motłoch, by usłyszała jakie plugastwo, lub by musiała przełknąć niespójne słowa jakiejś brutalnej kobiety lub chama. I wreszcie, co dotyczy marzeń pewnych tęskniących do miłości młodzieńców w niebieskich kurtach na koniu albo w żółtych welniakach z czarnym kołnierzem pieszo, to rynek złą jest szkołą. Ale patrz, kuzynie! Jakże ci się podoba ta panna, która tam koło pompy idzie w towarzystwie starej kucharki? Weź mą lornetkę, weź mą lornetkę, kuzynie.

*Ja.* Ach, co za stworzenie, co za

wdzięk, co za powaby! ale ona ze wstydem oczy spuszcza, każdy jej krok jest pełny obawy, chwiejny. Bojaźliwie trzyma się towarzyszki, która jej w ścisku przemocą drogę przebija. Śledzę je dalej. Oto kucharka spokojnie stoi przed koszami z jarzyną — targuje — pociąga małą za rękę, ta zaś z twarzą na wpół odwróconą szybko, szybko wyciąga pieniądze z woreczka, podaje kucharce, zadowolona, znów idzie dalej. Nie mogę ich stracić z oczu! dzięki temu czerwonemu szalowi... Zdaje się szukają czegoś napróżno... Nakoniec, nakoniec: tam oto zatrzymały się koło jakiejś kobiety, która w ładnych koszykach wystawia swoje jarzyny — śliczna mała wszystką uwagę swoją uwięziła na najpiękniejszym kalafiorze — panienska sama wybiera główkę i kładzie ją do kosza kucharce — ale ta, bezwstydną — nie bacząc na nic, wyjmuje kalafior ze swego kosza, kładzie go z powrotem do kosza przekupki — i wybiera inny, mocno przytem kiwając pełną powagi, w wielobarwny czepiec strojną głową i biedną małą, która poraz pierwszy chciała być samodzielną, wyrzutami zawstydzona.

*On.* Jakże ty wyobrażasz sobie uczucia tej panienki, której chcą narzucić zmysł gospodarczy, zupełnie niezgodny z jej delikatnem usposobieniem? Znam ja tę piękną małą. Jest to córka pewnego tajnego nadradcy finansowego, natura daleka od wszelkiej przesady, istota, pełna prawdziwie kobiecego ducha i obdarzona tym ściśle trafnyim rozumem i delikatnym taktem, który jest właściwy kobietom tego typu.

*On.* Ho, ho, kuzynie! Nazywam to szczęśliwym spotkaniem. Tu na rogu zjawia się uzupełnienie tego obrazu. Jakże ci się podoba ta panna?

*Ja.* Ach, co za wdzięczna, smukła postać — młoda — trzpiotowata — szeroko rozwartem okiem w świat zapatrzona, która na niebie widzi wciąż blask słońca, w powietrzu słyszy radosną muzykę, jakże śmiało, jak bez troski przebija się przez gęstą ciżbę. Służąca, która jej z koszem towarzyszy zdaje się mało co od niej starsza i między nimi panuje widać pewna serdeczność. Panienka ma bardzo ładne rzeczy na sobie, szal modny, kapelusz odpowiedni do ranego stroju, suknia uszyta podług wielce

gustownych wzorów. Wszystko ładne i przyzwoite: ale co widzę! panienka nosi białe jedwabne trzewiki. Wyranżerowane pantofelki balowe na targu! Wogóle im bardziej się przyglądam tej pannie, tem bardziej mię uderza w niej pewna osobliwość, której nie mogę określić słowami. Prawda, bardzo gorliwie czyni swe zakupy, wybiera a wybiera, targuje się a targuje, gada, macha rękami, wszystko z najwyższem natężeniem; mnie się jednak coś tak zdaje, jakoby ona chciała tu coś więcej nabyć niż prowiant gospodarski.

*On.* Brawo, brawo, kuzynie! Wzrok twój zaostrza się jak widzę. Uważ; mój kochany, że pomimo bardzo modny kostyum, nie bacząc na trzpiotowatość całej osoby, już te białe jedwabne trzewiki na jarmarku, zdradzają tajemnicę, że mała jest z baletu albo wogóle należy do teatru. Czego ona jeszcze pragnie, może to się da rozwiązać bez trudu — ha, udało się! Patrzno, drogi kuzynie, nieco na prawo w ulicę do góry i powiedz mi, kogoż tam widzisz przed hotelem, gdzie jest dość odludno.

*Ja.* Widzę tam wysokiego, smukłego młodzieńca w żółtej, krótko skrojonej



kurtce z wełniaka z czarnym kołnierzem i stalowymi guzikami. Nosi on małą czerwoną, srebrem haftowaną czapkę, z pod której wyłaniają się piękne, czarne, może nieco za obfite włosy. Wyraz bladej, męskiej pięknej twarzy niemało podnosi szczupłą, czarna, modna bródka. Tekę trzyma pod pachą — niewątpliwie student, który zamierzał iść na kollegium; ale nagle w ziemię wrósł i stoi zapatrzony niezmiennie na rynek i zdaje się zapomniał o kollegium i o wszystkim.

*On.* Tak jest, drogi kuzynie. Cały jego duch skierowany jest ku naszej małej komediantce. Chwila nadeszła. Zbliża się nasz student do budy z owocami, gdzie apetycznie zgromadzono najpiękniejsze okazy; i niby to o owoce się pyta, których właśnie że niema. Jest to rzecz niemożliwa, aby dobry obiad nie kończył się deserem z owoców; nasza mała komediantka musi więc zakończyć swe zakupy stołowe przy tym straganie owocowym. Okrągłe czerwone jabłuszko wyslizguje się filuternie z małych paluszków, żółte przechyła się potem, lekkie zgięcie małej wróżki teatralnej podnosi je z wdziękiem — rozwija się pogawędka — wza-

jemna pomoc i rady przy wyborze jakiejś należycie ciężkiej pomarańczy i tak się dokonywa pewnie już przedtem nawiązana znajomość, przyczem naznacza się ramię miłe rendez-vous, które zapewne w rozmaity sposób będzie się powtarzało i urozmaicało.

*Ja.* Niechaj syn Muz uprawia miłość i wybiera pomarańcze, jak mu się spodoba; mnie to nie bawi, tembardziej, że oto w rogu frontowej ściany, gdzie stoją handlarki kwiatów, dostrzegam nawiązanie obraz anioła, przesłódką córkę tajnego radcy.

*On.* Na kwiaty nie spoglądam tu chętnie, drogi kuzynie; ma to swe szczególne powody. Sprzedawczyni, która podług prawidła trzyma najpiękniejszy kosz wyszukanych gwoździków, róż i innych rzadkich kwiatów, jest to bardzo piękna, wytworna dziewczyna, która dąży do wyższej kultury ducha; to też, o ile nie jest zajęta handlem, gorliwie czyta książki, których uniform wykazuje, że należą do głównej armii estetycznej Kralowskiego, co to aż do najdalszego kąta rezydencji zwycięzko szerzy światło ukształcenia duchowego. Czytająca kwia-

ciarka, to dla pisarza belletrysty widok nieodparcie czarowny. Zdarzyło się, że, dosyć już dawno, gdy mi droga wypadła obok tych kwiatów, (i w inne dni również są tu kwiaty na sprzedaż), ujrzawszy tę czytającą *fioraję*, w zdumieniu stanąłem bez ruchu. Siedziała niby w gęstej altanie kwitnących geraniów, na kolanach rozłożyła książkę, głowę oparłszy na rękach. Bohater musiał być właśnie w jakimś oczywistem niebezpieczeństwie albo też jakiś ważny moment akcji musiał się dokonywać; jagody dziewczyny zaczerwieniły się żywiej, wargi jej drżały, zdawała się zupełnie oderwana od otoczenia. Kuzynie, chcę ci wyjątkową słabość pisarską przedstawić bez żadnych względów. Stałem, jak wryty wobec tego widoku — dreptałem tu i tam; — co też ta dziewczyna czyta? Myśl ta zajmowała całą moją duszę. Duch próżności autorskiej poruszył się we mnie i łechtał przeczuciem, że to jedno z moich dzieł właśnie przeniosło dziewczynę w fantastyczny świat moich marzeń. W końcu nabrałem odwagi, zbliżyłem się i zapytałem o cenę wiązki gwoździków, które leżały w dalszym szeregu. W czasie więc, gdy dziewczyna podnio-

sła się, by mi podać kwiaty, wziąłem rozwartą książkę do ręki i zapytałem:—„Co to czytasz, piękne dziecko?“ O nieba, istotnie była to moja książka i właśnie \*\*\*. Dziewczyna przyniosła mi kwiaty i zarazem oznaczyła cenę umiarkowaną. Ale cóż mi kwiaty, cóż mi bukiet gwoździów! dziewczyna była dla mnie w tej chwili daleko szacowniejszą publicznością, niż cały elegancki świat rezydencyi. Podniecony, rozpłomieniony najśłodszym poczuciem autorskiem zapytałem na pozór obojętnie, jak się też dziewczynie książka podoba. „I, drogi panie — odrzekła tamta — to bardzo śmieszna książka; z początku — to prawie, że dostajesz zawrotu głowy, ale potem jest ci tak, jakbyś tam siedział w samym środku“.

Ku niemałemu memu zdziwieniu opowiedziała mi dziewczyna treść mojej bajki wcale składnie i wyraziście, tak, iż widziałem, że musiała ją czytać kilkakrotnie; powtórzyła, że to bardzo śmieszna książka, że, czytając, już to śmiała się serdecznie, już to robiło się jej na duszy zupełnie łzawo; poradziła mi też, abym, jeżeli dotąd książki tej nie czytałem, wziął ją po południu u Kralowskiego, gdyż ona zmie-

nia książki po południu. — Tu miało nastąpić uderzenie piorunu. Ze spuszczone-  
mi oczami, głosem, który miał być słod-  
czą równy miodowi z Hybli, z błogim  
uśmiechem przepełnionego szczęściem  
autora, szeptałem: „Tu, słodki mój aniele,  
tu stoi autor książki, co ci dała tyle roz-  
koszy — tu w żywej osobie przed tobą!”  
Dziewczyna wytrzeszczyła na mnie sze-  
roko oczy i stała niema z otwartymi usta-  
mi. Stanowiło to dla mnie wyraz najwyż-  
szego podziwu jakiegoś radosnego prze-  
rażenia, że podniosły geniusz, którego po-  
tęga twórcza takie dzieło wyłoniła — zja-  
wił się nagle tuż koło geraniów. Być mo-  
że, myślałem sobie, gdy dziewczyna sta-  
ła wciąż z niezmienioną twarzą, być może  
dziewczyna wierzy w szczęśliwy przypa-  
dek, który ją postawił wobec znakomite-  
go autora \*\*\*. Starałem się tedy we wszel-  
ki możliwy sposób wykazać jej swą toż-  
samość z owym autorem, ale ona była jak  
skamieniała — i z jej ust wymykały się  
tylko dźwięki: — hm — tak — to by by-  
ło — niby — — Ale jakże mam ci opisać  
głęboką pogardę, która mnie uderzyła  
w tym momencie!? Okazało się, że dziew-  
czyna nigdy nie pomyślała o tem, że

książki, które czyta, musiały wprzód być napisane. Pojęcie pisarza, poety było jej zupełnie obce — i sędzę rzeczywiście, że przy bliższem badaniu, wyszłaby na jaw jej pobożna, dziecinna wiara, że za sprawą miłego Boga książki rosną jak grzyby.

Zupełnie po cichu pytałem się jeszcze raz o cenę gwoździków. Tymczasem zupełnie inna, ciemna idea o fabrykacyi książek musiała się urodzić w dziewczynie; bo gdym wypłacał pieniądze, pytała mnie naiwnie i prostodusznie: czy to ja robię wszystkie książki u p. Kralowskiego.

*Ja.* Kuzynie miły, nazywam to ukaraną próżnością autorską; przecież, w czasie gdyś mi opowiadał swoją tragiczną historję, ja mimo to nie odwracałem oka od swej ukochanej. Przy kwiatkach dopiero utracił dumny demon kuchni całą swobodę. Markotna kuchmistrzyni postawiła ciężki koszt na ziemi — i oddała się w całości nieopisanej rozkoszy pogawędy z trzema przyjaciółkami, już to uderzając pulchne ręce o siebie, już to biorąc się za boki — stosownie do tego, czego wymagały retoryczne figury jej opowieści a mowa jej była, wbrew słowom Ewangelii, daleko więcej,



niż: tak, tak i nie, nie. Spójrzno, jaki prześliczny bukiet kwiatów wybrał sobie ten czarowny anioł i każe go nieść za sobą tęgiemu parobkowi. Jakto? Nie, to mi się niezupełnie podoba, że idąc skubie sobie ta panna wiśnie z koszyczka: jakże się zaprzyjaźni z owocami chustka batystowa, która się w nim prawdopodobnie znajduje.

*On.* Młodociany apetyt chwilowy nie baczy na plamy wiśniowe, przeciw czemu ma ona sól szczawikową i inne pewne środki domowe. I jest to prawdziwie dziecięcy brak uprzedzeń, że mała tylko w utrapieniu niemiłego targu pozwala sobie zażywać tej na nowo odzyskanej swobody.

*On (mówi dalej).* Ale od dłuższego już czasu uderzył mnie ten tam człowiek, jako nierozwiązana zagadka! Patrz, ten, co tam stoi koło pompy przy wozie, na którym baba wiejska z dużej beczki rozdaje tanie powidła śliwkowe. Przede wszystkim, kochany kuzynie, podziwiał ruchliwość kobiety, która zbrojna, długą drewnianą łyżką naprzód załatwia duże zakupy po ćwierć funta, po pół funta, po funcie, a potem łasuchom pożądlwym,

co wystawiają papierek, a pod nim nieraz czapkę barankową—z błyskawiczną szybkością rzuca wymaganą porcyę za trojaka! Ci natychmiast zdrowo łykają powidła jako sutą przekąskę poranną — „kawior dla ludu!“ Przy okazji podziału powideł, zapomocą wymijającej się łyżki, przypominam sobie, że raz w dzieciństwie słyszałem, jak to na pewnem bogatym weselu chłopskiem tak wspaniale się zdarzyło, że delikatną grubą skorupą z cynamonu, cukru i gwoździków pokryta zupa ryżowa była rozlewana warząchwia. Każdy z dostojnych gości winien był tylko pocziwie gębę otworzyć, aby otrzymać należną porcyę — i tak szło wszystko doskonale, jak w krainie pieczonych gołąbków. Ale, kuzynie, czyś uchwycił okiem tego człowieka?

*Ja.* Jużci. Cóż to za upiór ta szalona, awanturnicza postać? Co najmniej sześć stóp wysoki, zeschły od wiatrów mężczyzna, który nadto przy zgiętym grzbiecie trzyma się prosto jak świeca. Pod małym, trójkątnym, zgniecionym kapelusikiem sterczy z tyłu kokarda harbajtla, który się potem szeroko po grzbiecie uwija. Stary, skrojony podług dawno przestarzałej mo-

dy surdut—od góry do dołu na guziki spięty—przylega ściśle do ciała, nie robiąc ani jednej fałdy i już wtedy, gdy przechodził koło wozu, mogłem zauważyć, że ma on czarne spodnie, czarne pończochy i potężne cynowe sprzączki na trzewikach. Co też on może mieć w tej czworokątnej skrzynce, którą tak gorliwie trzyma pod lewem ramieniem, a która bardzo przypomina kramik wędrownego węgra.

*On.* Zaraz się o tem dowiesz, tylko patrz z uwagą.

*Ja.* Otwiera pokrywkę skrzynki — słońce się w niej przegląda, są to promienne odbicia — skrzynka jest blachą pokryta — babie ze śliwkami składa najpokorniejszy ukłon, zdejmując z głowy kapelusik. Cóż to za osobliwa, pełna wyrazu twarz! cienkie, zamknięte wargi, nos jastrzębi, wielkie czarne oczy, mocne brwi, wysokie czoło, czarny włos, tupet ufryzowany w kształt serca, małe sztywne loki koło uszu. Podaje skrzynkę babie wiejskiej na wozie; ta zaś bez pytania powidlami ją napelnia i przyjaźnie chyląc głowę, oddaje z powrotem. Po raz drugi się ukloniwszy, człowiek się oddala — kieruje się ku beczce śledzi — podaje han-

dlarce jedną przegródkę swej skrzynki, kładzie w nią parę nabytych rybek solonych, znów przegródkę do skrzynki składa. Trzecia przegródka, jak widzę, przeznaczona jest na pietruszkę i inne korzenie oraz przyprawy. Teraz przecina rynek w rozmaitych kierunkach powolnym, pełnym niezmiernej powagi krokiem, aż go zatrzymał widok rozłożonego na stole, oskubanego drobiu. Jak wszędzie tak i tu, zanim targować zacznie, głęboko się kłania — mówi długo i wiele z kobietą, która go ze szczególnie przyjazną miną wysłuchuje — ostrożnie składa skrzynkę na ziemi — i bierze dwie kaczki, które nader wygodnie wtrąca w szeroką kieszeń swego surduta. — Boże, za niemi idzie gęś — na indyka spogląda tylko okiem pełnem czułości — nie może jednak odmówić sobie rozkoszy, by go miłośnie nie pomacać wskazującym i wielkim palcem; szybko podnosi skrzynkę, niezwykle uprzejmie kłania się handlarce — i gwałtownie się odrywa od kuszących przedmiotów swej żądzy; stąd — płynnie właśnie ku budom rybaczek. Czy ten człowiek jest kucharzem, co ma ucztę zgotować? kupuje oto jeszcze ćwiartkę cielęciny, którą jeszcze

wsypuje do jednej ze swych olbrzymich kieszeni. Teraz zakupy już ukończył. Idzie w ulicę św. Karoliny, z tak osobliwym zachowaniem, jakby tu przybył z jakiejś dalekiej obcej ziemi.

*On.* Dość ja sobie nałamałem głowy nad tajemnicą tej egzotycznej figury. Jakże, kuzynie, myślisz o mojej hipotezie? Człowiek ten to nauczyciel rysunków, który żywot przepędził, a może jeszcze pędzi w średnich zakładach szkolnych. Za pomocą różnych zręcznych interesów zarobił dużo pieniędzy; jest skąpy, nieufny, cynik aż do cikliwości, stary kawaler; jednemu tylko bogu składa ofiary — brzuchowi; jedyną jego rozkoszą jest dobrze jeść, rozumie się samemu w swoim pokoju; żyje zupełnie bez służby, o wszystko troszczy się sam, w dni targowe, jak widziałeś, nabywa swą prowizję na pół tygodnia i w małej kuchni, tuż koło ubogiej izby sam przygotowuje swe potrawy, które potem, ile że kucharz ciągle o podniebieniu swego pana myśli, pożera z chciwym, może nawet zwierzęcym apetytem. Jak zręcznie i celowo przerobił on skrzynkę malarską na kosz targowy — sam widziałeś, drogi kuzynie.

*Ja.* Precz mi z tym wstrętnym człowiekiem.

*On.* Dla czego wstrętnym? I takie maskary powinny być na świecie, mówi pewien bardzo doświadczony człowiek — i ma rację, ponieważ różnorodność nigdy nie może być dość różnaita. Ale jeżeli ci się ten człowiek tak bardzo niepodoba, to mogę ci jeszcze o tem, czem on jest, co robi i czem się trudni, inną postawić hipotezę. Czterej Francuzi, prawie sami paryżanie: nauczyciel języka francuskiego, nauczyciel fechtunku, nauczyciel tańca i pasztetnik — przybyli w latach młodocianych razem do Berlina, i znaleźli tu obfity zarobek, jak to niegdyś, (przy schyłku minionego wieku) — nieraz się zdarzało. Od chwili, gdy ich połączył dyliżans, zawarli najściślejszą przyjaźń, byli jednym sercem i jedną duszą, i co wieczora po ukończeniu pracy, przepędzali razem czas przy skromnej kolacyi i na ożywionej iście po francusku rozmowie. Nogi tancmistrza zwolna zesztywniały, ramiona fechtmistrza z biegiem lat osłabły, nauczyciela języka przewyższyli jego rywale sławą swej najnowszej pronuncyacyi paryskiej, a chytre



pomysły pasztetnika utraciły renomę wobec młodych łaskotaczy podniebienia, wykształconych w szkole najdziwaczniejszych gastronomów paryskich.

Ale każdy członek wiernie złączonego kwartetu wydostał się na suchy ląd. Razem się przenieśli do obszernego, przyzwoitego, choć oddalonego mieszkania; zwinęli swe interesa i żyli razem, wierni obyczajom staro-francuskim, wesoło i bez troski, ponieważ oni jedni umieli ująć zgryzot i ciężarów nieszczęśliwych czasów. Każdy ma jakiś osobny interes, który zaspakaja pewne, już to korzystne, już przyjemne wymagania towarzyskie. Tancmistrz i fechtmistrz odwiedzają swych dawnych uczniów, wysłużonych oficerów wyższej rangi, kamerherów, hofmarszałków i t. d.; mieli oni bowiem najlepszą praktykę i zbierają nowiny dnia, jako materyał do rozmowy, która się nigdy nie może przerwać. Nauczyciel języka rozkopuje składy antykwarskie, aby coraz więcej mieć dzieł francuskich, których język uznała Akademia. Pasztetnik ma staranie o kuchnię; kupuje wszystko na targu sam, jako też sam przygotowuje, przyczem mu dopomaga stary

francuski kuchta. Nadto jest u nich pod opieką młody puciołowaty chłopiec, którego im pozostawiła stara, bezzębna Francuska, niegdyś wytworna guwernantka, a w końcu pomocnica w pralni; czterej przyjaciele zabrali go z *Orphelins françois* i przyjęli do służby. Tam oto idzie ten mały w niebieskiem ubraniu, dźwigając na jednym ramieniu kosz marymonckich bułek, na drugim kosz przesypujący się sałatą. W ten sposób wstrętnego, cynicznego, niemieckiego nauczyciela rysunków przemieniłem ci naraz w miłego Francuza-pasztetnika i wierzę, że jego postać zewnętrzna, jego cała istota doskonale temu odpowiada.

*Ja.* Pomysł ten przynosi zaszczyt twemu talentowi pisarskiemu. Ale oto od paru chwil oślepiają mi oczy owe dwa białe, wysokie, kołyszące się pióra, które się wydobywają z najgęstszej ciżby narodu. W końcu zjawia się osoba tuż koło pompy, wysoka, smukła kobieta, wcale niebrzydka z postaci; jej płaszcz z ciężkiej różowo-czerwonej materyi jedwabnej, jak z igły zdjęty — kapelusz najnowszego fasonu, na nim welon piękny koronkowy — białe rękawiczki jed-

wabne. Cóż to zmusiło elegancką, zapewne na śniadanie zaproszoną damę, by się przeciskać przez ciżbę na targu? Ale jakto — i ona robi zakupy? Stoi cicho i daje znak starej, brudnej, łachmanami przyodzianej babie, która idzie za nią, żywy obraz nędzy w mętach ludu; nie-szczesna dźwiga w ręku półzłamany kosz i, półkulejąc, idzie za nią z trudem. Wystrojona dama zatrzymuje się na rogu budynku teatralnego, by ośleplemu landwerzyście, który pod ścianą stoi pochyłony, dać jałmużnę. Z trudem zdejmuje rękawiczkę z prawej ręki — o nieba! jakaż się ukazuje czerwona od krwi, i przytem po męsku niemal zbudowana pięść! Nie długo szuka i wybiera: szybko daje do ręki ślepemu sztukę monety, szybko biegnie na sam środek ul. Karolińskiej i dopiero teraz zaczyna stąpać majestatycznym krokiem promenadowym — i, nie troszcząc się już o swoją towarzyszkę w łachmanach, z ulicy Karolińskiej wchodzi pod Lipy.

*On.* Baba teraz, dla odpoczynku, postawiła kosz na ziemi — i teraz możesz od jednego rzutu oka przejrzeć cały zakup eleganckiej damy.

*Ja.* Rzeczywiście zakup dość osobliwy. — Głowa kapusty, dużo ziemniaków, parę jabłek, mały bohenek chleba, parę śledzi zawiniętych w papier, serek owczy, nie najbardziej apetycznej barwy wątróbka jagnięca, bukietik róż, para pantofli, chłopiec do butów. — Co u Boga Ojca?

*On.* Dość już, dość kuzynie o tej różowo-czerwonej! — Uważaj dobrze na tego ślepcę, któremu lekkomyślne dziecię zepsucia dało jałmużnę. Czyli jest bardziej wzruszający obraz niezasłużonej nędzy ludzkiej oraz pobożnej rezygnacyi, oddanej Bogu i losowi? Plecami oparty o ścianę teatru, wyschnięte skostniałe ręce oparł na kiju, który postawił o jeden krok przed sobą na chodniku, aby tłum bezmyślny po nogach go nie deptał; trupioblada jego twarz utkwiona wprost przed siebie, czapka landwerska naciśnięta na oczy; i tak bez ruchu stoi on od wczesnego ranka, aż do końca targu — wciąż — na jednym miejscu.

*Ja.* Żebrze, a przecież dla oślepyłych żołnierzy istnieje przytułek.

*On.* Jesteś w wielkim błędzie. Ten biedny człowiek jest w służbie u kobiety handlującej jarzynami, która należy

do najniższej klasy przekupek, gdyż lepsze zwożą jarzyny w koszach, ułożonych na wózku. Mianowicie ten ślepiec przychodzi co rana, obładowany, jak zwierzę juczne, koszami pełnymi jarzyn, tak, że go ciężar niemal do ziemi ugina — on zaś z trudem jeno, chwiejnym idąc krokiem, za pomocą kija utrzymuje się prosto. Wielka, mocna kobieta, u której służy albo którego może ona używa tylko do przenoszenia jarzyn na targ — za ledwie trud sobie zadaje, by, gdy go siły niemal opuszczają, ująć go za ramię i dalej go zaprowadzić na to miejsce, które biedak teraz zajmuje. Tu baba zdejmuje mu koszyki z pleców, sama je teraz zanosz — i tak go pozostawia: ślepiec stoi, ona zaś nic a nic nie troszczy się o niego, aż do skończenia jarmarku — i całkowicie lub do połowy puste kosze na nowo wkłada mu na barki.

*Ja.* Rzecz jednak dziwna, że ślepotę rozpoznajemy natychmiast, choćby nawet oczy były niezamknięte i choćby jej nie zdradzał żaden widzialny brak na twarzy. Rzecz, zdaje się na tem polega, że ślepi mają nieustanną dążność do zobaczenia czegoś w nocy, która ich otacza.

*On.* Niema dla mnie bardziej wzruszającego widoku, niż kiedy widzę takiego ślepcę, który z podniesioną do góry głową, zdaje się patrzeć w szeroką dal. Zniknęła dla nieszczęśliwca wieczorna zorza żywota, ale jego oko wewnętrzne stara się już ujrzeć wieczne światło, które świeci po tamtej stronie, pełne pociechy, nadziei i błogosławieństwa. — Jednakże jestem zbyt poważny. — Ślepy landwerzysta w każdy dzień targowy dostarcza mi całego skarbu postrzeżeń. Możesz, drogi kuzynie, zauważyć wobec tego biedaka, jak się żywo wyraża miłosierdzie berlińczyków. Często całe szeregi ludzi przechodzą koło niego, a żaden nie pominie okazji i parę groszy wsunie mu do ręki. Ale ład i sposób, w jaki się rzecz ta odbywa: oto wszystko. Patrz-no, drogi kuzynie, w tę stronę jakiś czas i powiedz mi, co spostrzegasz.

*Ja.* Właśnie przechodzą trzy, cztery tęgie zdrowe służące; dźwigają ciężkie, nad miarę wszelkim towarem przepełnione kosze, co wrzynają się prawie do krwi w ich krzepkie sino nabrzmiałe ręce; nie brak im powodów do pośpiechu, aby się pozbyć ciężaru, a jednak każda chwilę się



zatrzyma, szybko sięga do kosza, i ślepcowi miedziaka wciska w rękę, nawet nie patrząc na niego. Wydatek ten jest konieczny i niepominięty w budżecie dnia jarmarcznego. To prawda! Oto idzie kobieta, której kostyum, której cała osoba wykazuje zamożność i wygody życiowe; ta zatrzymuje się przed inwalidem, wyjmując woreczek, i szuka, szuka — a żaden pieniążek nie wydaje się jej dość mały do tego aktu dobroczynności, który zamierza wykonać — woła swej kucharki — zdarzyło się, że jej drobna moneta wyszła, musi więc naprzód zmienić pieniądze u zieleniarek, w końcu znalazł się trojak przeznaczony na jałmużnę, teraz uderza ślepcę w rękę, aby zauważył, że ma coś otrzymać — ten otworzył dłoń — dobroczynna pani wciska mu trojaka i sama rękę mu zamyka, aby ten wspaniały dar nie zginął. — Czemuż to drepce ta mała wdzięczna panienka w tę i tamtą stronę, i zbliża się coraz bardziej ku ślepcowi? W przelocie szybko, tak że nikt tego nie widzi, prócz mnie, co ja mam w środku mej lornety — dała w rękę ślepcowi pieniądz — napewno nie trojaka. — Ten zażywny, dobrej tuszy pan w ciemnym sur-

ducie, który tam tak dobrodusznie nadchodzi — to zapewne bardzo bogaty obywatel. I on zatrzymuje się przed ślepym i rozpoczyna z nim długą rozmowę, przy czem innym ludziom drogę zamyka i przeszkadza im udzielać jałmużny landwerzyście; w końcu wyciąga potężną, zieloną sakiewkę z kieszeni, otwiera jej węzełek nie bez trudu, i tak ohydnie wśród pieniędzy przebiera, że zdaje mi się, aż tutaj brzęk ich słyszę. *Parturiunt montes!* — Chcę jednak szczerze wierzyć, że szlachetny ten filantrop, wzruszony widokiem nędzy, zrujnował się na fałszywy grosz. Przy tem wszystkiem jednak myślę, że ślepy w dni rynkowe stosunkowo nie małe zbiera zyski i dziwi mię, że przyjmuje wszystko bez najmniejszego znaku wdzięczności; tylko lekki ruch warg, który zdaje się dostrzegam, dowodzi, że stary mówi coś, co może być podziękowaniem, ale i ten ruch dostrzegam tylko od czasu do czasu.

*On.* Masz tu zdecydowany wyraz doskonale zamkniętej rezygnacyi. I cóż mu znaczą pieniądze? Korzystać z nich nie może; dopiero w rękach trzeciej osoby, której on bezwarunkowo zaufać musi, pieniądze jego otrzymają wartość. Mogę się my-

lić, ale mi się zdaje, że baba, której kosze z jarzynami dźwiga stary ślepiec, to wielka jędza, która biedaka źle żywi, mimo iż prawdopodobnie zabiera mu też wszystkie pieniądze, jakie ten otrzymuje od dobrych ludzi. W każdym razie, gdy przynosi kosze z powrotem, zrzedzi i gdera na starego, mniej więcej w stosunku do tego, czy miała targ lepszy czy gorszy. Już trupio-błada twarz ślepca, odzież w łachmanach, pozwalają mniemać, że jego położenie jest dość kruche i byłoby to rzeczą energicznego filantropa zbadać ten stosunek.

*Ja.* Przypatrując się jarmarkowi w całości, widzę, że wozy z mąką, nad którymi niby namioty rozpostarte są płótna, układają się w obraz malowniczy, gdyż tworzą punkt oparcia dla oka, tak iż dokoła nich różnobarwny tłum w wyraźne grupy się zbiera.

*On.* O białych wozach mącznych i mąką obsypanych młynarczykach i młynareczkach z różowemi ustami, a każda tu jest *bella molinara* — wiem nie mało; wiem też coś o ich przeciwieństwie. Z przykrością nie widuję już tu pewnej rodziny węglarzy, która sprzedawała swój towar właśnie naprzeciw mego okna pod tea-

trem — a teraz musiała się przenieść na drugą stronę. Rodzina ta składa się z wysokiego silnego mężczyzny o twarzy wyrazistej; jest on porywczy, niemal gwałtowny w ruchach, dokładny obraz węglarza, jak go zazwyczaj przedstawiają w roman-sach. W istocie, gdybym tego człowieka samotny napotkał w lesie, toby mię nieco ciarki przeszły, a jego życzliwe usposobienie w jednej chwili byłoby dla mnie naj-milsze na świecie. Obok tego człowieka, jako drugi członek rodziny, w ostrem z nim przeciwieństwie znajduje się ledwie na cztery stopy wysoki, osobliwie wyrosły chłopiec, niezmiernie pocieszny. Wiesz, drogi kuzynie, że są ludzie szczególnie zbudowani: na pierwszy rzut oka zdaje się, że są garbaci, a jednak przy bliższem badaniu, nie można określić, gdzie właściwie ich garb się mieści.

*Ja.* Przypominam sobie tu naiwne wyrażenie pewnego dowcipnego wojskowego, który z takim dziwem natury był w licznych interesach, a którego obrażała poprostu tajemnica jego dziwnej budowy. „Człowiek ten, mówił, ma garb, ale gdzie mu ten garb siedzi — o tem wie tylko dyabeł“.

Natura zamierzała, z mego węglarczyka utworzyć olbrzymią postać, co najmniej siedmiu stóp wysokości, gdyż o tem świadczą kolosalne ręce i nogi, pewnie największe, jakie w życiu swem widziałem. Ten mały parobczak, odziany krótkim płaszczem o wielkim kołnierzu, mający na głowie dziwaczną czapkę futrzaną, trwa w bezustannym niepokoju bez odpoczynku; w nieprzyjemnej ruchliwości wciąż podryguje i drepce tu i owdzie, już jest tu — już tam — i stara się grać rolę najmilszego, najbardziej czarującego *primo amoroso* na całym rynku. Nie przepuści żadnej kobiecie, choćby ta nie koniecznie należała do najwyższych kół społecznych: za każdą musi iść parę kroków, i zbliżać się do niej w nadzwyczajnych krygach, drygach, grymasach, słodkościach, zapewne w najlepszym smaku węglarskim. Nieraz tak dalece swą galanterię posuwa, że w rozmowie łagodnie otacza ramieniem biodra dziewczyny i, czapę zdjawszy z głowy, hołdy składa piękności lub ofiaruje jej swoje służby rycerskie. Szczególna rzecz, że dziewczęta nietylko że na to pozwalają, ale nawet małemu potworowi życzliwie składają ukłony i wo-

góle chętnie przyjmują jego galanterię. Mały ten urwis, ma niewątpliwie bogaty zasób naturalnego dowcipu, zdecydowany talent do błazeństwa oraz siłę jego wykonania: jest to pajac, tyśiąćskoczek, wszechurwis na całą okolicę, pod lasem, który zamieszkuje; bez niego żadne chrzciny, wesele, taniec, żadna biesiada, obejść się nie może; wszyscy się bawią jego figlami i przez cały rok się z nich śmieją. Reszta rodziny, ile że dzieci oraz parę dziewczek służebnych pozostawiają w domu, składa się tylko jeszcze z dwóch kobiet tego zbudowanych, o ciemnym, markotnym wyglądzie twarzy, do czego się zapewne przyczynia pył węglowy, który utkwiał w ich twarzy. Przywiązanie wielkiego szpica, z którym rodzina dzieli każdy kęs, spożywany w czasie targu, świadczy mi przytem, że w chacie węglarskiej wszystko idzie uczciwie i patryarchalnie. Mały zresztą ma siłę olbrzymią, przeto rodzina używa go do roznoszenia po domach kundmanom zakupionego węgla. Często widziałem, jak go kobiety objuczały dziesięciu workami, ułożonymi w wysoką górę na sobie — on zaś pośkakiwał z niemi, jakby żadnego ciężaru



nie miał na sobie. Z tyłu jego postać wyglądała tak wściekle i awanturniczo, jak tylko można sobie wyobrazić. Naturalnie z szanownej figury małego nie dostrzegłbyś nic więcej, tylko olbrzymi worek węgla, pod którym wyrastały niespodzianie dwie pary nóg. Zdawało się, że to po rynku skacze jakieś bajeczne zwierzę, jakiś rodzaj kangura z klechd ludowych.

*Ja.* Patrz no, patrz, kuzynie! tam koło kościoła powstaje hałas. Dwie straganiarki zapewne rozpoczęły gwałtowny spór o fatalne *Meum* i *Tuum*—i, zdaje się, zwałszy pięści, na swój sposób ujadają. Tłum się gromadzi — gęste koło ludzi otacza pokłócone baby — głosy podnoszą się coraz mocniej — coraz gwałtowniej poruszają się ręce w powietrzu — coraz bliżej podchodzą do siebie dwie kobiety — wnet ci wnet zaczniesz się walka na pięści— policja się przedziera przez tłum. Co to? Naraz widzę mnóstwo błyszczących kape-luszy pomiędzy gniewnymi babami—w jednej chwili udaje się kumoszkom złagodzić rozplomienione serca — kłótnia skończona — bez pomocy policji — spokojnie wracają kobiety do swych koszów z jarzynami — tłum, który tylko raz jeden,

zapewne w szczególnie drażliwym momencie walki, głośnym krzykiem określił w niej swój współludział — rozchodzi się na wszystkie strony.

*On.* Uważaj, drogi kuzynie, że przez ten długi czas, co my tu siedziemy przy oknie, była to jedyna kłótnia, zapalona na targu i że jedynie sam lud ją uspokoił. Nawet i poważniejszy, groźniejszy spór nieraz w ten sposób lud przytłumia — tak, iż się wszyscy między skłóconych wciskają, aby ich rozłączyć. Przeszłego targu między straganami rzeźników i owocarzy stał wielki chłop w łachmanach, o zuchwałej dzikiej minie i nagle rozpoczął walkę z chłopcem od rzeźnika; nie bacząc na nic, uderzył parobka straszliwym drągiem, który nosił jako broń na ramieniu. Niewątpliwie tamten runąłby na ziemię, gdyby się nie uchylił i nie poskoczył do swej buddy. Tu uzbroił się mocnym toporem rzeźnickim i chciał nim walić w zuchwałego chłopca. Wszystko tak wyglądało, jakby się cała ta sprawa miała zakończyć mordem i śmiercią — i sąd kryminalny o mało co nie miał tu roboty. Owocarki, wszystko mocne i dobrze odżywiane baby, uważały jednak za swój obowiązek tak

przyjemnie i ściśle otoczyć rzeźnickiego chłopca, że ten nie mógł się ruszyć z miejsca; stał między niemi z wysoko podniesionym orężem, jak to się opowiada w patetycznej mowie o surowym Pyrrusie: jako malowany okrutnik, zawieszony pomiędzy siłą a wolą, nie czynił nic.

Tymczasem inne kobiety, szczotkarze, kopyciarze i i., otoczywszy chłopca, nie dają mu się ruszyć, i umożliwiają w ten sposób policyi, aby na czas przyszła i areztowała tego niecnotę, który mi się wydaje zbiegiem z więzienia.

*Ja.* Zatem w istocie panuje wśród ludu poczucie koniecznego utrzymania porządku, co na wszystkich zbawczo może oddziaływać.

*On.* Przedewszystkiem, drogi kuzynie, obserwacye prowadzone przezemnie nad rynkiem umocniły mię w przekonaniu, że lud berliński uległ znacznej przemianie od czasu, gdy zuchwały, dumny wróg zalał kraj i napróżno się starał zgniebić ducha, który rozpostarł wkrótce swe skrzydła z odnowioną siłą, jak zgniecione pióro spiralne. Słowem: lud zyskał na obyczajności zewnętrznej; i jeżeli kiedy w piękny dzień letni po południu wybierzesz się na

zabawę ludową i będziesz obserwował towarzystwa, które się udają statkami do Moabit, to zauważysz nawet wśród zwykłych dziewczek służebnych i najemników dziennych — dążność do pewnej kurtuazy, co jest bardzo pocieszne. W masie odbyło się to samo, co w pojedynczej jednostce; ten, który dużo widział, dużo doświadczył nadzwyczajności — zapomocą *Nil admirari* wypolerował swoje zewnętrzne obyczaje. Niegdyś lud berliński był surowy i brutalny; np. jeżeli obcy pytał o jaką ulicę, albo o dom albo o cokolwiek-bądź, dostawał odpowiedź grubiańską albo szyderczą — albo też wprost fałszywą informację, która go prowadziła na manowce. Berliński ulicznik, który korzystał z najmniejszego pozoru, z nieco osobliwego kostiumu, ze śmiesznego zdarzenia, co się komu przytrafiło, i który je wyzy-skiwał bezczelnie, taki ulicznik już nie istnieje. Gdyż owe andrusy — cygarniki pod bramą, którzy sprzedają „szczerę hamburskie *avec du feu*“, obwiesie, co to kończą życie w Szpandawie albo w Straussbergu albo, jak to niedawno było jeszcze na eszafocie, nie są bynajmniej tem, czem właściwy ulicznik berliński, który wcale

nie był włóczęgą, ale zazwyczaj terminatorem u majstra, i choć to śmiesznie mówić, przy całej bezbożności i zepsuciu, miał zawsze pewien punkt honoru a nie brakło mu też groteskowego dowcipu wrodzonego.

*Ja.* Drogi kuzynie, pozwól mi sobie co rychlej opowiedzieć, jak to mię taki rodzimy dowcip ludowy niedawno wielce zawstydził. Przechodzę koło bramy Brandenburskiej; dorożkarze z Charlottenburga ścigają mnie, ofiarując mi swe usługi; jeden z nich co najwyżej szesnasto, siedemnastoletni chłopak był tak bezczelny, że pociągnął mię za ramię swoją brudną pięścią. „Proszę bardzo nie dotykać mej ręki — mówię rozgniewany. — „No, panie — odparł wyrostek, nic sobie z tego nie robiąc i wlepiwszy we mnie oczy — no, panie! czemuż bym miał nie dotykać pańskiej ręki? czy może pan nie jest uczciwy człowiek?

*On.* Ha, ha! ten dowcip, to prawdziwy dowcip, ale wyłonił się z cuchnącej pieczary najgorszego zepsucia. — Dowcipy owocarek berlińskich i t. d. były zresztą sławne i nawet zaszczyt im się czyni, że się je zowie szekspirowskimi, choć przy

bliższem oświeceniu widać, że ich energia i oryginalność polegała przedewszystkiem na bezwstydnem zuchwalstwie, przy pomocy którego najohydniejsze brudy podawano jako pikantną potrawę. — Nadto rynek był miejscem pomieszania, kłótni, kijobicia, oszustwa, kradzieży, i żadna uczciwa kobieta nie mogła się ważyć, by samej czynić zakupy, nie narażając się przytem na niesłychane obelgi. Bo nie tylko lud przekupniów w pole wyciągał przeciw sobie samemu i przeciw całemu światu, ale przychodzili tu również ludzie umyślnie w tym celu, aby wywoływać niepokój i przytem w mętnej wodzie łowić ryby podobnie jak np. zwербowany ze wszystkich końców świata motłoch, który niegdyś tkwił w rejmentach. Spójrz, miły kuzynie, jak to obecnie rynek przedstawia pociągający obraz przyzwoitości, pokoju i obyczajności. Wiem, że entuzyastyczni rygoryści, hyperpatryotyczni asceci żarliwie perorują przeciw temu podwyższeniu zewnętrznego wyglądu masy ludowej, uważają bowiem, że wraz z tem ogładzeniem obyczajów, zgładzi się również i zaginie ludowość wogóle. Co do mnie, to sądzę, że lud, który traktuje, zarówno swe-



go jak obcego, nie po prostaku albo z szyderczem lekceważeniem, ale z uprzejmością należytą, nie może przeto charakteru swego postradać.

---

Coraz bardziej zmniejszała się ciżba; coraz pustszy a pustszy stawał się rynek. Handlarki warzywa składały swe kosze częściowo na przyprowadzone ze sobą wózki, częściowo same się z nimi wlokły, wozy z mąką odjechały, ogrodniczki zgromadziły niewyprzedany towar, zapas kwiatów na wielkie taczki, czynniejszą stawała się policya, aby wszystko, a zwłaszcza szereg fur utrzymać w należytych porządku. Porządek byłby nienaruszony, gdyby się nie zdarzyło, że jakiś schizmatycki syn chłopski tędy i owędy wpoprzek placu odkrył swoją własną cieśninę Behringa i pokierował się wprost ku bramie kościoła niemieckiego.

— Ten rynek — mówił kuzyn — jest to i teraz wierny obraz wiecznie zmiennego życia. Ruchliwa działalność, potrzeba chwili ściąga masę ludzką w jeden punkt; w parę chwil znowu wszystko pustoszeje.

.

Głosy, które w hałaśliwym wrzasku przelewają się jedne z drugimi — zamilkły — i każde opuszczone miejsce głosi te okropne słowa: było! Trzeba korzystać z chwili.

Uderzyła godzina pierwsza; markotny inwalid wszedł do gabinetu — a w jego wydłużonej twarzy czytałeś: mógłby pan wreszcie opuścić okno i jeść obiad, bo przyniesione potrawy ostygną.

— A więc masz apetyt, kuzynie — pytałem.

— O, mam! — odparł kuzyn z bolesnym uśmiechem. Zobaczysz to zaraz.

Inwalid potoczył go na kółkach do pokoju. Przyniesione potrawy były to: talerz rosółu na mięsie, jajo na miękko, ugotowane w soli i pół białej bułki marymonckiej.

— Tylko trochę więcej — mówił kuzyn cicho i smętnie, ściskając moją rękę — troszyneczka więcej, najmniejszy kawałek najstrawniejszego mięsa powoduje mi niesłychane cierpienia, odbiera mi wszelką odwagę życia, ostatnią iskrę dobrego humoru, która jeszcze od czasu do czasu we mnie się zapala.

Wskazałem na papier, zawieszony nad

łóżkiem, rzucając się kuzynowi na piersi i gorąco go całując.

— Tak, kuzynie — odrzekł mi głosem, który mię przeniknął na wskroś i napęłnił rozdzierającą tęsknotą — tak kuzynie:

*Et si male nunc, non olim sic erit!*

Biedny kuzyn!



# SPIS RZECZY.

## TOM I.

	str.
PRZEDMOWA . . . . .	1
MAJORAT . . . . .	19
SKRZYPCE Z CREMONY	169
KAWALER GLUCK. . .	213
DON JUAN . . . . .	237

## TOM II.

ŚLUB . . . . .	5
WYBÓR NARZECZONEJ	55
CZŁOWIEK Z PIASKU .	161
NAROŻNE OKNO . . .	233

# M U Z Y

## BIBLIOTEKA LITERACKO-ARTYSTYCZNA

pod redakcją JANA LORENTOWICZA.

### DOTYCHCZAS WYSZŁY:

- 1) Piotra Skargi **KAZANIA I PISMA CO NAJ-PRZEDNIEJSZE**. Wybrał, objaśnił i wstępem opatrzył Wiktor Gomulicki. (Z portretem Skargi). Cena rb. 1.15.
- 2) August de Villiers de l'Isle Adam. **WYBÓR NOWEL**. W przekładzie i ze wstępem Wacława Rogowicza (z portretem). Cena k. 90.
- 3) Ernest Renan. **DYALOGI I FRAGMENTY FILOZOFICZNE**. Przekład i słowo wstępne Grzegorza Glassa (z portretem). Cena k. 75.
- 4) **WYBÓR POEZJI MIECZYŚŁAWA ROMANOWSKIEGO**. Układ i słowo wstępne Julii Dickstejnówny. 2 tomy. Cena k. 75 każdy tom.
- 5) Elemir Bourges. **ZMIERZCH BOGÓW**. Przekład Bronisławy Neufeldówny. Słowo wstępne Jana Lorentowicza. 2 tomy. Cena k. 75 każdy tom.
- 6) Zygmunt Krasiński. **IRYDION**. Słowem wstępem opatrzył i do druku przygotował Zdzisław Dębicki.
- 7) E. T. A. Hoffmann. **POWIEŚCI FANTASTYCZNE**. Słowo wstępne i układ Antoniego Langego. 2 tomy. Cena kop. 75 każdy tom.
- 8) M. de Cervantes. **NOWEŁE PRZYKŁADNE**. Tłumaczył z hiszpańskiego i słowem wstępem opatrzył Zdzisław Milner. 2 tomy. Cena kop. 75 każdy tom.
- 9) Ryszard Wincenty Berwiński. **WYBÓR PISM**. Opracował i wstępem poprzedził Eustachy Czekalski. 2 tomy. Cena kop. 75 za każdy tom.

### POD PRASĄ:

- 10) **SATYRA POLSKA**. Antologia. Wybór i słowo wstępne. Jana Lemańskiego. 2 tomy.
- 11) Zygmunt Krasiński. **NIEBOSKA**. Słowem wstępem opatrzył i do druku przygotował Zdzisław Dębicki.
- 12) E. A. Poe. **OPOWIEŚCI NADZWYŻAJNE**. Przekład i słowo wstępne Bolesława Leśmiana.
- 13) „**CYGANERYA WARSZAWSKA**”. Słowo wstępne i antologia (obficie ilustrowana) w opracowaniu Jana Lorentowicza.
- 14) Fryderyk de la Motte Fouqué. **ONDYNA**. Słowo wstępne i przekład Artura Górskiego.
- 15) Prosper Mérimée. **COLOMBA**. Przekład Władysławowej Reymontowej.

১৮৮৮

১৮



১৮৮৮

১৮

Biblioteka Śląska w Katowicach

ID: 0030001111628



I 715612